

**KARIN
FOSSUM**



**CARMEN ZITA
I ŚMIERĆ**

PRZEKŁAD JOANNA BARBARA BERNAT



**KARIN
FOSSUM**

**CARMEN ZITA
I ŚMIERĆ**

PRZEKŁAD JOANNA BARBARA BERNAT



Tytuł oryginału: *Carmen Zita og døden*

Przekład: Joanna Barbara Bernat

Copyright © Karin Fossum, 2023

This edition: © Word Audio Publishing International/Gyldendal A/S, Copenhagen 2023

Projekt graficzny okładki: Henriette Mørk

Redakcja: Ewa Penksyk-Kluczkowska

Korekta: Magdalena Bugalska

ISBN 978-87-0238-060-6

Wszelkie podobieństwo do osób i zdarzeń jest przypadkowe.

Word Audio Publishing International/Gyldendal A/S

Klareboderne 3 | DK-1115 Copenhagen K

www.gyldendal.dk

www.wordaudio.se

Po więcej darmowych ebooków i audiobooków kliknij **TUTAJ**

Spis treści

Strona tytułowa

Strona redakcyjna

Motto

Carmen, Zita i śmierć

Dlaczego moje dziecko ma rybie oko i ptasi pazur?

Jeśli ofiara wpadnie do wody nieprzygotowana, odruchowo bierze głęboki wdech lub dwa (tak zwany wdech z zaskoczenia), a wówczas woda dostaje się do dróg oddechowych. Wywołuje to silny, uporczywy kaszel. Gdy całe ciało znajdzie się pod wodą, tonący wstrzymuje oddech i w większości przypadków wraca na powierzchnię. Następnie bierze głęboki wdech, często wciągając więcej wody do płuc, co ponownie wywołuje kaszel. W tym momencie ofiara jest całkowicie spanikowana. Krzyczy i gwałtownie uderza rękami i nogami, usiłując chwycić jakikolwiek przedmiot, który akurat znajdzie się w pobliżu. Łódź, wiosło, człowieka.

Głowa ponownie się zanurza, a do płuc dostaje się coraz więcej wody. Tonący może jeszcze wynurzyć się raz czy dwa, niekoniecznie trzy, jak głosi powszechny mit. Potem opada na dno. I koniec. Walka w wodzie trwa od niespełna minuty do kilku minut, w zależności od stanu zdrowia i ogólnej wytrzymałości tonącego. Ale ostatecznie wyczerpany opada na dno. Otwiera usta i wciąga wodę do płuc. W końcu traci przytomność, jego ciałem wstrząsają konwulsje, robi się siny. I wreszcie, po długiej walce o życie, umiera.

*

Zawroty głowy przychodziły gwałtownymi falami i chociaż starał się z nimi walczyć, ostatecznie stracił równowagę. Nie uda mi się, pomyślał rozpaczliwie, to już koniec. Ze wszystkich sił próbował się utrzymać na nogach, podszedł do lustra wiszącego na ścianie i uważnie studiował swoje odbicie. Nie, to się nie uda, nie wyjdę z tego, to chyba guz, pomyślał, może w mózgu, dlaczego mnie

miałoby się upiec, nie jestem przecież lepszy od innych, ani trochę. Oczywiście, że to rak. Właśnie na to umieramy, co trzeci człowiek, pomyślał, albo nawet co drugi, powyżej jakiejś granicy wieku. Wkrótce będę przecież stary, jestem w połowie drogi do setki. Chyba czas już na mnie. Umrę na raka jak Elise, tylko ona odeszła po czterdziestce. Powoli, przez długi czas traciła siły. Błada, pożółkła i wychudzona, z niewydolnością wątroby i wszystkim, co się z tym wiąże, w wyniku histerycznego, wymykającego się spod kontroli podziału komórek, ostatnie godziny spędziła w białym i chłodnym łóżku na oddziale Rikshospitalet. Nie, nie myśl teraz o tym, wystarczy tego użalania się nad sobą.

Stał przez chwilę, oparty o ścianę. Próbował oddychać równo i spokojnie, uspokoić się, zebrać się w sobie. Wreszcie do tego doszło, pomyślał, nie mogę powiedzieć, że się tego nie spodziewałem, że jestem nieprzygotowany. Wiedziałem, że to się tak skończy, żyłem z tą świadomością już o wiele za długo, z tym podświadomym strachem, że mnie też to dotknie. Tak jak dotknęło Elise, jak trafiło w nią niczym piorunem. Zaciekła i agresywna choroba, niezłomna armia komórek rakowych wędrujących po ciele: najpierw zajmiemy płuca, potem szkielet, wreszcie mózg. Rozłożymy ten organizm na części, bo taka jest nasza natura. Przyjmij to z godnością, pomyślał, nie rób wokół siebie zamieszania, to nie przystoi. Może jednak to być drobiazg. Niech Bóg sprawi, by był to tylko jakiś drobiazg. Jaki Bóg, pomyślał zaraz w rozpacz, nie mam żadnego Boga, a może wkrótce umrę. I wszystko stanie się ciemnością i pustką, nicością, ogłuszającą ciszą. W kieszeni zabręczał mu telefon, spróbował się więc pozbierać, mimo całego tego chaosu, znalazł w nim teraz metodę. Podniósł aparat do ucha

i usłyszał po drugiej stronie nieco zdenerwowany głos Jacoba Skarrego, swojego kolegi. Znów oszołomił go zawrót głowy. Tym razem tak brutalny, że niemal go powalił. Komórka wypadła mu z ręki, schylił się po nią w pośpiechu. Zamiast jednak ją podnieść, kopnął pod kanapę. Zaklął i padł na kolana, następnie położył się płasko i wczołgał pod mebel. Telefon leżał daleko, pod samą ścianą. Ale było tam też coś jeszcze, coś małego i czerwonego pojawiło się w jego polu widzenia. Ku swemu zdziwieniu rozpoznał klocek lego. Musiał tam leżeć, odkąd Matteus był mały, przez tyle lat udawało mu się uniknąć długiej miotły, można by pomyśleć, że jest kompletnym niechlujem. Czwórka. Piękna, absolutnie idealna, mała czerwona kostka, najbardziej przydatny uroczy klocek, który pasuje wszędzie. Ścisnął go mocno w dłoni, czując ostre krawędzie na swojej skórze. I tak, leżąc na brzuchu pod kanapą, wspominał czasy dorastania w Roskilde, przy Gamle Møllevej. Białe murowany dom z niebieskimi framugami i malwami pod ścianą, stare śliwy wyrastające z trawnika i brązowe, różnobarwne karłowate kury paradujące w bujnym, kwitjącym ogrodzie. Każdego ranka musiał zbierać małe jajka do koszyka. Pamiętał swojego ojca, surowego i siwego, wysokiego i muskularnego jak on, i ceramiczne figurki matki na parapecie w kuchni. Doszedł do siebie, chwycił komórkę i wyczołgał się spod kanapy. Leżał chwilę, ciężko dysząc.

– Jesteś tam? Co się dzieje? Znowu masz zawroty głowy?

Mruknął coś niewyraźnie w odpowiedzi. Był bardzo zawstydzony i zaniepokojony.

– To ty dzwonisz – zauważył. – Ty powinieneś powiedzieć, co się dzieje.

Usiadł, otrzepał się z kurzu i schował klocek Lego do kieszeni koszuli. Zawroty głowy w końcu ustąpiły, na razie.

– Mamy utonięcie – powiedział Jacob Skarre. – W Damtjern, koło Granfoss, wiesz, takie małe jezioro, pamiętasz? Dwadzieścia minut od kościoła Møller. Chłopiec, szesnaście miesięcy. Matka znalazła go przy pomoście, było już za późno. Zespół pogotowia ratunkowego reanimował go trzy kwadranse, ale bezskutecznie. Nie wiadomo, jak znalazł się w wodzie. W dodatku jest zupełnie nagi, nie wiemy, co to znaczy, coś mi tu nie pasuje. Oczywiście mógł sam wejść do jeziora, mam jednak wątpliwości. Jeśli masz ochotę się przejechać, rozwiążemy to razem. Ostatni dom w Dambråtan, biały z czerwonym budynkiem gospodarczym. Chłopiec leży tutaj na trawie i czeka.

– Dobrze, już jadę. Będę za pół godziny. – I po krótkiej przerwie dodał: – Czy coś tu śmierdzi? Dlatego dzwonicz?

– Owszem, coś z matką. Nie potrafię tego dokładnie wyjaśnić, ale myślę, że powinniśmy przyjrzeć się jej bliżej. Wiesz, co mam na myśli.

– Nie dajcie ludziom wszystkiego zdeptać – powiedział Sejer – miejcie na nich oko. Gdzie są teraz rodzice?

– W komisariacie – odrzekł Skarre. – Holthemann ich przejął. Matka wpadła w histerię, a ojciec milczy.

Pies Frank Robert, chiński shar pei, nazywany przez niego po prostu Frankiem, podniósł wyczekująco głowę i spojrzał na niego uważnie. Między fałdami i zmarszczkami, znakiem rozpoznawczym tej rasy, dostrzegł tak go rozczulające intensywne spojrzenie. Oczy, którym nie mógł się oprzeć, gdy przybierały błagalny wyraz – wówczas cały

jego autorytet rozplątywał się w powietrzu. Pies był jego słabością, z którą nigdy nie walczył, rozpieszczanie tego małego, pomarszczonego zwierzaka radowało go. To z kolei doprowadziło do znacznej otyłości psa.

– Chodź, grubasku – powiedział – idziemy do samochodu.

Frank wstał, podszedł do drzwi i skomlał, nie mógł doczekać się spaceru. Mieszkali na trzynastym piętrze i zawsze szli schodami, a zwierzak zeskakiwał po stopniach w równym, dobrze wyćwiczonym rytmie. Wyszli na plac przed blokiem i skierowali się prosto do samochodu. Pies opadł na tylne siedzenie volvo jak zwykle z ciężkim westchnieniem. Chłopczyk, pomyślał Sejer, szesnaście miesięcy. Wypadek jest zdecydowanie najbardziej prawdopodobny. Ale mogła to też zrobić matka, w depresji, psychozie lub po prostu oszalała z wściekłości na nieposłuszne dziecko. Takie rzeczy się już zdarzały. Albo ojciec, albo razem, tak też bywało. Utonięcie, pomyślał, no cóż, zobaczymy. Włączył kierunkowskaz i wyjechał na drogę. Znowu poczuł lekki zawrót głowy, ale ku jego uldze minął dość szybko. Był w samochodzie, musiał być przytomny. Jak zawsze, gdy objawy ustępowały, znów patrzył z optymizmem w przyszłość. Jeśli zaczynały się podczas jazdy, zwykle zatrzymywał się natychmiast na poboczu. Ale teraz nagle minęły. Jakby to był tylko fałszywy alarm, nie ma się czym martwić, widocznie Bóg go wysłuchał i to tylko jakiś drobiazg.

– Idźże wreszcie do lekarza – powtarzała jego córka, Ingrid, wiele razy, zwłaszcza tego dnia, gdy była świadkiem jego napadu. Stracił wtedy równowagę i upadł przy kuchennym stole.

- Nie sądzę, by lekarz coś na to poradził - odparł - muszę z tym po prostu żyć. Być może naczynia krwionośne w mojej szyi są pełne zwapnień. Krew nie dociera do głowy, co jest podobno powszechne u osób starszych. A czy ci się to podoba, czy nie, jestem starszym mężczyzną. Coraz częściej będą się działy takie rzeczy.

- Tato - powiedziała wtedy zrezygnowanym tonem. - Masz dopiero pięćdziesiąt pięć lat, musisz mnie posłuchać! Porozmawiaj chociaż z Erikiem, jeśli nie chcesz iść do swojego lekarza rodzinnego.

- Ale Erik jest lekarzem medycyny ratunkowej - zaprotestował. - Chyba nie ma pojęcia o zawrotach głowy.

- Nie chcę z tobą rozmawiać, gdy gadasz takie głupoty - odparła, jak zawsze z lekkim śmiechem. Za każdym razem, gdy go słyszał, robiło mu się cieplej na sercu. A teraz... no, to martwe dziecko. Znalezione w małym jeziorze znanym jako Damtjern. Nie wyciągaj pochopnych wniosków, pomyślał, bądź otwarty i rozważny, myśl jasno. Wszystko musi tu być w porządku, wszystko musi być sprawiedliwie. To właśnie napędzało go przez całe dni pracy inspektora w regionie Søndre, towarzyszyło mu, odkąd był małym chłopcem dorastającym przy Gamle Møllevej. Silne i palące pragnienie prawdy i sprawiedliwości.

Na miejscu były już zaparkowane trzy samochody wezwanych służb.

Skarre, technicy i karetka. Ludzie stali oparci o auta, nic więcej zrobić nie mogli. A chłopiec, który utonął w Damtjern, leżał na folii. Sejer spojrział na ciało. Nagie i gładkie, z widocznymi żyłami. Tylko teraz żadnych zawrotów głowy, pomyślał, absolutnie, nie przy świadkach.

Chłopiec był zdrowy i dobrze odżywiony, na pierwszy rzut oka nie dojrzał w nim żadnej skazy. Wyraźnie widział delikatną niebiesko-zieloną pajęczynę żył na skroniach i blade i szkliste błękitne oczy. Tak, dziecko było całkowicie zdrowe przed wypadkiem. Jeśli doznało jakichkolwiek urazów, nie pozostawiły żadnego śladu.

– Matka twierdzi, że wpadła w szok – powiedział Jacob Skarre. – Była zajęta czymś w łazience, a po powrocie do kuchni zobaczyła, że chłopca nie ma. Wyleciała na podwórko i zbiegła w kierunku jeziora, podejrzewając najgorsze. Znalazła go przy pomoście. Skoczyła do wody, która w tym miejscu miała około metra głębokości, i wyciągnęła dziecko. Próbowala resuscytacji, ale bezskutecznie. No. To wstępne wyjaśnienie, zobaczymy, czy się utrzyma.

– Żadnych widocznych obrażeń – zauważył Sejer – żadnych ran ani siniaków, był cały i zdrowy.

Spojrzał na zegarek, wpół do trzeciej. Środa dziesiątego sierpnia, piękna pogoda, spokój i dość ciepło. Lato było długie i gorące, prawie bezdeszczowe, dlatego trawa wokół jeziora pożółkła i wyschła. I to małe ciało z drobnymi dłońmi i okrągłymi policzkami, blade, niebieskawe i chłodne jak gładki marmur.

– Zadzwonisz do Snorrasona? – spytał Skarre.

– Tak. Zawieziemy go prosto do instytutu. Pierwsze odpowiedzi uzyskamy prawdopodobnie dość szybko. Jeśli żył, kiedy wpadł do jeziora, w płucach będzie woda. Od tego powinniśmy zacząć.

– Smutny widok. – Skarre skinął głową w stronę małego ciała.

- To prawda. - Rzeczywiście smutny widok. Poza tym znowu kręci mi się w głowie, pomyślał Sejer, łapiąc oddech. Kucał przy martwym dziecku i teraz wahał się, czy wstać, w obawie przed zdemaskowaniem. Że też musiał nadejść dzień, kiedy on, inspektor, mierzący metr dziewięćdziesiąt sześć centymetrów wzrostu, nie jest już u szczytu formy, tylko w poważnym stanie rozkładu. Że też dogonił go wiek, a może coś innego i znacznie gorszego. Siedział więc i czekał, aż atak minie.

- Mieszkają w białym domu? - zapytał, wskazując na stary budynek z czerwonymi framugami.

- Tak - odparł Skarre - i są bardzo młodzi. Dziewiętnaście i dwadzieścia lat, wcześniej zaczęli. Hej. Czy widzisz w nim coś szczególnego, to znaczy w jego wyglądzie?

Sejer przyjrzał się drobnej twarzyczce o bladych policzkach. Tak, dziecko miało w sobie coś charakterystycznego, coś, co wydawało się znajome.

- Ma zespół Downa - orzekł. - Założę się. Spójrz na jego oczy, tam widać najbardziej. I na dłoniach, taka linia, no wiesz, poprzeczna bruzda. - Podniósł dłoń dziecka, by pokazać. Zimną, gładką i bez życia.

- Na pewno jest wystarczająco duży, by umieć chodzić - dodał. - Mógłby też doraczkować z domu do pomostu.

Skarre przeszedł kilka kroków po suchej trawie. Jego ciało było prężne i szybkie, jakby zawsze w gotowości, koszula munduru czysta i świeżo wyprasowana, buty wypastowane. Jakby mało było tej doskonałości, wierzył też w Boga. Jacob Skarre poświęcił się tej tajemnicy, którą nazywano wiarą.

- Zastanawiam się, dlaczego jest nagi – powiedział Sejer. – To pewnie też coś znaczy, chociaż jest tak gorąco. Niemowlęta pocą się tylko przez głowę. Może jest rozebrany z powodu upału.

- Jest oczywiście całkiem prawdopodobne, że dostał się do jeziora o własnych siłach – stwierdził Skarre. – To nie jest niemożliwa odległość. Zdecydowana większość dzieci uczy się chodzić około roku. Chociaż ja sam zacząłem dopiero po ukończeniu osiemnastu miesięcy. Moi rodzice nie spali w nocy, myśleli, że jestem niepełnosprawny.

- Kto by pomyślał – zdziwił się Sejer – jesteś przecież taki szybki.

Zwrócił się do techników:

- Zawieźcie go do Snorrasona i przekażcie mu, że czekam na wyniki.

Przeszedł kilka kroków przez trawę. Wpatrywał się w biały dom z ciemnymi oknami. Stelaż huśtawki czerwienił się w słońcu, zauważył też małą piaskownicę z kolorowymi zabawkami. Oparte o ścianę stały trzy stare rowery. Wzdłuż fasady domu ciągnął się zachwaszczony klomb. Obok huśtawki zaparkowano niebieskiego golfa.

- Skoro są tacy młodzi – powiedział – to pewnie nie mają innych dzieci.

- Zgadza się – potwierdził Jacob Skarre. – Mieli tylko jednego synka. Straszna tragedia.

Gdy ciało zabrano, wrócił do samochodu. Wypuścił psa, który wybiegł radośnie na trawę. Skarre spojrzął na grube zwierzę z lekkim samozadowoleniem.

- Nikt ci nie zarzuci, że wziąłeś go ze względu na wygląd - zauważył. - Przypomina wykręcany ręcznik.

- Wszelka piękność przemija - odparł Sejer. - Na pewno o tym wiesz.

Wyszedł na maleńki pomost. Stał wgapiony w niesamowicie nieruchome lustro wody, po którym nie widać było żadnych śladów tego, co się stało.

- Dlaczego dzwoniłeś? - zapytał Skarre. - Powiedz mi, co myślisz i dlaczego zabrałeś ze sobą dwóch techników do sprawy, która wygląda na zwykły tragiczny wypadek.

- To coś z matką - powiedział Skarre. - Jest taka afektowana. Trudno z nią nawiązać kontakt wzrokowy, jest jakaś nieuchwytna, to uruchomiło mi w głowie alarm, nie chciałem ryzykować. Jeśli to morderstwo - dodał - to mogłaby dość łatwo się wywinąć. Nie rozumiem tu do końca przepisów. Życie to życie, wszyscy jesteśmy tyle samo warci.

- Cóż... Nie wszyscy zgodzą się z tobą w tej kwestii. Między matką a dzieckiem jest jednak zupełnie inna więź psychologiczna. Jej młody wiek też mogłby przyczynić się do łagodnego wyroku. Dziewiętnaście lat, naprawdę wcześniej zaczęła. obrońcy łatwo będzie znaleźć okoliczności łagodzące. O ile w ogóle będzie jakaś rozprawa. Nie możemy spekulować na tak wczesnym etapie, czy prokurator wniesie oskarżenie. A jakie wrażenie wywarł na tobie ojciec dziecka?

- Jest bardzo cichy i nieśmiały - odrzekł Skarre. - Prawie się nie odzywał, trzymają się od siebie z daleka. A po przewiezieniu na posterunek nie pozwolono im ze sobą rozmawiać. Matka weszła tylko do domu przebrać się w coś suchego. Holthemann ich przyjął

i skontaktował się z psychologiem z Unicare, bo oczywiście jest to sytuacja kryzysowa. Wypadek czy nie, stało się, dziecko nie żyje.

Sejer wyłowił z kieszeni torebkę pastylek Fisherman's Friend i włożył jedną do ust.

– A poza tym? – Skarre wpatrywał się w niego uważnie. – Miałeś znów te swoje napady zawrotów głowy?

– Nie. Nic takiego nie miałem ostatnio. To chyba jakiś wirus, który szybko minął, tak bywa.

– Jesteś naprawdę beznadziejnym kłamcą. – Uśmiechnął się Skarre. – Chodź, przejdźmy kawałek od jeziora do domu, to może z pięćdziesiąt metrów. To nic takiego dla ciekawskiego malucha.

*

Jej ciało nie chciało się uspokoić, ręce szukały po stole czegoś, czym mogłyby się zająć.

– Co tak naprawdę myślicie? – spytała głosem ciekim ze zdenerwowania. Piszczący jak mysz w kocich pazurach, pomyślał Holthemann.

– Nic nie myślimy – odrzekł. – Jak uprzedziłem, mamy pewne procedury. Chcemy tylko panią przesłuchać, zarejestrować zeznania, a potem będzie pani wolna. Proszę się tym nie przejmować, to zwykłe postępowanie w przypadku nagłej śmierci. Musimy się trzymać przepisów, nie ma powodu do niepokoju.

– Właśnie nauczył się chodzić – powiedziała. – Siedział na podłodze i bawił się na dywanie, nagle zniknął.

– Co pani wtedy robiła?

– Byłam zajęta jakimiś pracami domowymi. Nie do końca pamiętam, mam w głowie chaos. – Przerwała, a na jej czole pojawiła

się głęboka zmarszczka. – Chyba coś gotowałam – zdecydowała w końcu.

– Szykowała pani obiad? – zapytał uprzejmie Holthemann.

Pomyślała chwilę. Najwyraźniej próbowała sobie przypomnieć, jak naprawdę wyglądała ta sytuacja. Mówiła cienkim, dziecinnym głosem, Holthemann się uśmiechnął. Uśmiech nieco złagodził jego dotychczas surową twarz.

– Tak, chyba czyściłam rybę. Tak mi się przynajmniej wydaje. Nie jestem w tym zbyt dobra, więc trochę to trwało. Tak, jestem trochę oszołomiona, ale pamiętam, jak stałam z rybą. A Nicolai naprawiał rower w piwnicy, to jego hobby. Nie rozumiem, jak to się mogło stać! – wykrzyknęła nagle. – Nie rozumiem!

Znów wybuchła płaczem. Ściskając chusteczkę w dłoni, załamała się całkowicie. Miała przerażoną minę, jakby nadal nie mogła pojąć, co się wydarzyło, nie docierało do niej, że synek naprawdę nie żyje, odszedł na zawsze. Że dziecko, które oczywiście kochała, zostało zredukowane do małego pakunku przewożonego teraz do Instytutu Medycyny Sądowej.

– Może coś pani podać? – zapytał naczelnik wydziału. Pomimo swojej zręczliwej natury czasem starał się być wyrozumiały. – Chce pani coś do picia, przynieść wody?

– Chcę tylko Nicolaia.

Naczelnik wydziału pochylił się i poklepał ją po ramieniu.

– Powinna pani porozmawiać z psychologiem – powiedział. – Pomoże pani uporządkować myśli. Teraz biegają we wszystkich kierunkach, prawda?

Dalej ocierała łzy. Miała zaledwie dziewiętnaście lat, a wydawała się jeszcze młodsza, chuda jak trzcina, z jasnymi, prawie białymi

włosami. Długie kolczyki w uszach i różowy lakier na paznokciach. Bluzka była o wiele za krótka, odsłaniała złocisty po słonecznym lecie brzuch, a pępek leżał w zagłębieniu jak matowa, jedwabista perła.

– Tommy ma dopiero szesnaście miesięcy – powiedziała przez łyżę. – Próbowałam robić mu sztuczne oddychanie, naprawdę, ale było już za późno. Miał całkiem sine usta. Nie wiem, czy dobrze to wykonałam, wygląda to tak prosto, kiedy ogląda się to w telewizji. Masażu serca nie robiłam, nie odważyłam się. Bałam się, że połamię mu kości, on jest taki mały. Gdybym złamała mu żebra, mogłyby przebić mu płuca, słyszałam o takich sytuacjach.

– Proszę się uspokoić – powiedział Holthemann. – Dokładnie przeanalizujemy wszystko, co się wydarzyło. Porozmawia pani z inspektorem, zarejestruje zeznanie pani i męża. Następnie zbadamy cały incydent, by nic nie pominąć.

Położyła ręce na stole. Zmięła chusteczkę w wilgotną, miękką kulkę.

– Ale powiedziałam już wszystko. – Czknęła. – Nie ma nic więcej, znalazłam go przy pomoście. – Napotkała jego wzrok i dodała zdecydowanie: – Wiem, że to moja wina. Może pan to po prostu powiedzieć, wiem, co pan myśli. Powinnam była bardziej uważać, ale oddaliłam się tylko na kilka minut, musiałam iść do łazienki.

– Do poczucia winy i tym podobnych jeszcze wrócimy – odparł Holthemann. – Ustalimy, czy w ogóle można mówić o winie. Niestety, wypadki zdarzają się każdego dnia i dzisiaj padło na was.

Odsunęła krzesło od stołu i pochyliła się, zbliżając głowę do kolan. Pozostała tak dłuższą chwilę, jakby miała zaraz zemdleć.

- Mam mroczki przed oczami - powiedziała tępo. Jej głos był cienki i chrapliwy, prawie niesłyszalny.

- Tak, to reakcja na stres - wyjaśnił fachowo Holthemann. - Spinają się mięśnie wokół oczu, to nic groźnego. Proszę postarać się uspokoić. Trzeba oddychać spokojnie, to powoli minie.

- Chcę tylko porozmawiać z Nicolaiem - poprosiła. - Czy on siedzi tu gdzieś całkiem sam?

- Nie, jest z nim policjant. Przyniosę pani coś do picia. A potem skontaktujemy się z pani rodzicami. Mieszkają tu, w mieście, prawda?

- Tak, przy Møllergata. Mama tego nie zniesie, tata też nie. Już miał jeden zawał serca, w zeszłym roku. Byliśmy zrozpaczeni. Nie rozumiem, dlaczego muszę tu siedzieć - skarżyła się. - Chcę zobaczyć Nicolaia, nie może mi pan zabronić, do cholery!

Holthemann milczał. Często brakowało mu słów w rozmowach z ludźmi w trudnej sytuacji. Był tu na prośbę Jacoba Skarrego, to on stwierdził, że temu przypadkowemu utonięciu trzeba się bliżej przyjrzeć, tak na wszelki wypadek. Wstał i zostawił ją samą, poszedł do pomieszczenia socjalnego, gdzie stała lodówka z zimnymi napojami. Wyciągnął z niej butelkę wody, w drodze powrotnej zdał sobie sprawę, że zapomniał wziąć kartonowy kubek z uchwyty na ścianie. Wrócił po niego i potem znów do pokoju, w którym siedziała. Podał jej kubek i pomógł otworzyć butelkę.

- Ma pani prawo do wsparcia i zrozumienia i na pewno je tu pani otrzyma. Teraz proszę się napić - powiedział stanowczo. - Rozpacz wywołuje pragnienie.

Może został zamordowany, pomyślał Sejer, wrzucony do jeziora, niechciany przez matkę. Albo przez ojca, albo przez oboje, odmieniec, w oczach niektórych przegrana sprawa. Nagła wściekłość, okrutny impuls, chęć zniszczenia. A może on szuka dziury w całym. Drzwi na podwórko były otwarte, chłopiec został bez nadzoru, wyszedł z domu, przez suchą trawę na krótkich, maleńkich nogach pokonał niewielką odległość do pomostu. Przyciągany przez błyszczącą wodę, migoczącą jak lustro. Nie jestem stronnicy, pomyślał Konrad Sejer, biorę pod uwagę wszystkie możliwe scenariusze. Pracuję z takimi sprawami od dawna, dlatego tak właśnie rozumię. Wszystko jest możliwe, to była prosta i jasna zasada. Mam wiele gorzkich doświadczeń, pomyślał, nie lubię być oszukiwany ani prowadzony na manowce. Jadąc, myślał znów o swoich rodzicach i wszystkim, co dali mu w dzieciństwie. Miłość i zrozumienie, uwagę. Zachętę i zaufanie oraz wiedzę o trudnym życiu, na dobre i złe. Ostrożnie, powiedział sobie, prawdopodobnie są niewinni, oboje. Skarrego jednak coś zaniepokoiło. Sejer zastanawiał się, co ten niepokój może oznaczać. Intuicja odgrywała ważną rolę w każdym śledztwie. To przeczucie, dokuczliwe podejrzenie, że coś jest nie tak. Może to być wymijające spojrzenie lub dziwny dystans do tego, co się stało. Ciało, które nie potrafi się uspokoić, nerwowe ruchy rąk, monotony głos podczas składania zeznań. Przebieg wydarzeń podawany jak wykute na pamięć zadanie domowe, jakaś zaplanowana wersja. Dłonie stale podnoszone do oczu, by otrzeć wyimaginowane lub prawdziwe, jak w tym wypadku, łzy. Bo wszystko poszło nie tak, nieważne, czy ktoś jest winny, czy nie. Albo przerażenie, ponieważ jakiś impuls spowodował katastrofę. Nie mogę już tego znieść, więc teraz cię zabiję. Nie

wytrzymam już z tym dzieckiem, nie radzę sobie z tym dzieckiem, poczucie niemocy. I rozmaite oznaki kłamstwa. Wreszcie ta nawracająca, niepokojąca myśl. Dziecko miało zespół Downa. Stąd też to podejrzenie, że coś jest nie tak. Chociaż prokurator był oczywiście zainteresowany wyłącznie faktami, to przecucie było nadal niezwykle ważne. Wynikało przecież z całego doświadczenia, jakie obaj nabyli podczas tych wszystkich lat spędzonych na służbie. Skarre zauważył pewne podejrzone niuanse, których nie był nawet w stanie ubrać w słowa, ale Sejer zawsze traktował kolegę poważnie i cenił jego bystrość. Jego obserwacje często były trafne. Rodzice siedzieli w komisariacie, płacząc rzewnie. Czy ten płacz wywołały żal i strata, czy też szok, panika i poczucie winy?

Znów zaczął myśleć o swoich zawrotach głowy. Chyba będę musiał zacisnąć zęby i zawlec się do lekarza, pomyślał, całą tę moją zawodną fizjonomię, nie ma innego wyjścia. Muszę jakoś przeżyć mnóstwo badań i dużo stresującego czekania. Może dolega mi coś naprawdę przerażającego. A życie, jakie znałem do tej pory, może się tak po prostu skończyć. Znowu pojawiło się w jego głowie słowo „rak”, ta myśl nie dawała mu spokoju. W przypływie potrzeby moralnego wsparcia wybrał numer swojej córki Ingrid, aby opowiedzieć o incydencie w Damtjern koło wodospadu Granfoss.

– Cześć, Ingrid, to tylko ja. Tak, jestem w samochodzie. Tak, używam zestawu głośnomówiącego, nie wygłupiaj się. Znaleźliśmy małego chłopca. Leżał w jeziorze niedaleko Granfoss, matka znalazła go przy pomoście. Ma ledwie kilkanaście miesięcy, więc jest to dość smutne. Tak, dokładnie, jadę do komisariatu porozmawiać

z rodzicami. Może wpadnę do ciebie? W drodze powrotnej, jeśli ci pasuje oczywiście.

Zapewniła, że jej pasuje, i spytała, jak on się czuje.

Chodziło jej o zawroty głowy. Odparł, że pewnie przejdzie mu, musi to tylko przeczekać, ale ta wymijająca odpowiedź jej nie zadowoliła.

- Samo przejdzie? Nie opowiadaj bajek, jestem na to za stara. Znam cię - kontynuowała - nie mówisz mi wszystkiego. Nie musisz mnie oszczędzać, pamiętaj, że byłam na wojnie. Zniosę prawdę.

Miała na myśli pobyt w ogarniętej wojną domową Somalią, pracowała tam jako pielęgniarka z mężem Erikiem, który był specjalistą medycyny ratunkowej. Kiedy wreszcie wrócili do domu, po kilku latach służby, przywieźli ze sobą chłopca. Jedyne dziecko Sejera, obecnie obiecujący tancerz, zatrudniony w Baletcie Narodowym.

- Nie - odrzekł. - Przysięgam, że nie będę cię oszczędzał. I tak, nadal miewam zawroty głowy, od czasu do czasu. Ale obiecuję, że teraz zajmę się tym porządnie. Ciąg dalszy nastąpi - dodał lekkim, swobodnym głosem.

Dojechał do przejazdu kolejowego w centrum, szlaban był opuszczony. Kiedy tak siedział, czekając na przejazd pociągu, znowu pomyślał o chłopcu. To prawda, co powiedział Skarre. Gdyby to, teoretycznie rzecz ujmując, rzeczywiście było morderstwo i stałaby za tym matka, łatwo byłoby jej się wywinąć. Cała ta osobliwa więź między matką a dzieckiem, tak wiele okoliczności łagodzących, tak wiele możliwych wyjaśnień. Nieprzewidywalność, pomyślał, utrata świadomości lub osłabione zdolności kontroli. Zaburzenia osobowości, psychozy, depresje i różne choroby, było tak wiele

możliwości do wyboru. W końcu przejechał pociąg towarowy z ciemnoczerwonymi wagonami. Sejer słyszał miarowy rytm sprzęgów, grzechotanie żelaza i metalu i zgodnie z dawnym, ukochanym nawykiem z dzieciństwa liczył wagony.

Jej włosy, rozwiane i prawie białe jak śnieg przywodziły mu na myśl przekwitłe dmuchawce z białym puchem. Uderzyło go wtedy, jaka jest wątła, chuda i smukła – jak gałązka. Dziecko urodziło dziecko, pomyślał, nie do wiary, że donosiła ciążę.

– Proszę za mną – powiedział uprzejmie. – Pójdziemy do mojego gabinetu, kilka pokoi dalej.

Wstając, spojrzała na psa. Frank podszedł, żeby się przywitać, a ona pogłaskała go delikatnie po głowie, ale nie wydawała się zbyt zainteresowana. Po tragedii zbladła, pod oczami pojawiły się cienie.

– Jeśli będzie pani przeszkadzał, odprowadzę go do samochodu – powiedział Sejer. – Zwykle leży nieruchomo, nigdy się nie denerwuje.

Potrząsnęła głową bez słowa. Jej wzrok pozostał skupiony na psie, jakby widok zwierzęcia dotknął w niej czegoś, za czym tęskniła.

– Jak ma pani na imię? – zapytał uprzejmie, gdy szli przez korytarz.

– Carmen – odparła. – Nazywam się Carmen Cesilie Zita.

To nazwisko wydawało się znajome. Nim zdążył zapytać, padła odpowiedź.

– Tak, mój ojciec jest właścicielem knajpki przy Torggata, Zita Quick. Prowadzi ją od dziesięciu lat, oboje tam pracujemy.

Oczywiście nie teraz, kiedy Tommy jest taki mały. Nicolai pracuje na zmiany, bo mamy otwarte całą noc.

Zamrugła i spojrzała na Sejera niebieskimi oczami o gęstych czarnych rzęsach.

– Ludzie przyjeżdżają aż z Oslo, żeby u nas zjeść – dodała z dumą. Mimo tragedii musiała zaznaczyć swoją wagę.

Otworzył drzwi do gabinetu. Frank wślizgnął się do środka i poszedł prosto na swoje miejsce przy oknie, gdzie położył się na kocu.

– Proszę usiąść gdziekolwiek – powiedział Sejer. Przyglądał się młodej postaci. – Proszę przyjąć moje kondolencje – dodał. – To wielka tragedia. – Wolał być miły. Nie chciał popełnić żadnego błędu, na wypadek gdyby okazała się niewinna.

– Dlaczego nie mogę być z Nicolaiem? – zapytała. Jakby się skarżyła, wydawała się zirytowana. Nie da się włamać do umysłu drugiego człowieka, pomyślał Sejer, trzeba wkładać się ostrożnie i z szacunkiem. Dlatego starannie ważył słowa, był w tym przeszkolony.

– Procedury mówią, że nie powinniście się kontaktować – wyjaśnił cierpliwie. – Rozumiem, że uważa to pani za brutalne traktowanie, ale tak nie jest. Mamy wiele takich zasad i przestrzegamy ich całkowicie automatycznie, co niekoniecznie oznacza, że jest się czym martwić. Porozmawiamy przez dłuższą chwilę, a potem będzie pani mogła wrócić do domu, do Granfoss. Nie zabrała pani wody – zauważył – mam przynieść nową?

Potrząsnęła głową. Usiadła na krześle przy oknie. Widok jej nie interesował, wzrok miała sztywno utkwiony w dłoniach, które złożyła na kolanach. Od czasu do czasu spoglądała na Franka, coś

ciągnęło ją w jego kierunku. Pies na szarym kocu najwyraźniej koł jej nerwy.

– Jak ma na imię wasz synek? – zapytał. – Tommy?

Przesunął krzesło po podłodze i usiadł obok niej.

– Tak. Nazywa się Tommy Nicolai.

Nagle zaczęła płakać. Sejer cierpliwie czekał, aż napad się skończy.

– Teraz przejdziemy przez wszystko razem – wyjaśnił. – Krok po kroku. Dokładnie, jak to się stało. Może pani najpierw opowiedzieć po swojemu, jeśli tak pani woli. A jeśli sprawia to pani trudność, będę zadawać pytania.

– Tak – odparła – proszę pytać, ale uprzedzam, że w głowie mam straszny chaos, trudno mi sobie cokolwiek przypomnieć.

– Rozumiem. Mimo wszystko spróbuję. Proszę mi opowiedzieć o tym dniu. Co pani robiła, kiedy odkryła, że Tommy’ego nie ma?

Widział, że przeszukuje pamięć, jej wzrok błądził po pokoju i znów spoczął na Franku, który zasnął na kocu.

– No, wie pan, zbliżała się pora obiadu. Pomyślałam, że przygotuję łososia. Wydaje mi się, że to właśnie robiłam, czyściłam rybę.

– Wydaje się pani? Nie jest pani pewna?

– Oczywiście, że jestem pewna. Proszę nie mówić do mnie jak do gówniary!

A jednak wahała się trochę, wcale nie wyglądała na pewną tej wersji. Sejer przypomniał sobie, że dziewczyna może być w szoku, a w takim stanie pamięć czasem zawodzi, widział już takie przypadki. No i też to, co się stało... W ogniu bitwy mogą paść ostre słowa.

- Nie jest pani pewna? - zapytał ponownie.

- Cały dzień widzę jakby przez mgłę - odparła krótko. Splotła palce. Była czujna, umiał rozpoznać sygnały.

- A tata Tommy'ego? Może pani powtórzyć, jak się nazywa?

- Nicolai Brandt. Tak, jesteśmy małżeństwem. Wiem, co pan sobie myśli. Myśli pan, że jesteśmy młodzi i głupi, że brakuje nam rozsądku.

- Nie, nic takiego nie przyszło mi do głowy. Gdzie był Nicolai, kiedy to się stało? Proszę mi opowiedzieć.

- Naprawiał jakieś stare rowery w piwnicy. Zarabia na prostych naprawach i bierze sporo zleceń, to jego ulubione zajęcie, ta naprawa rowerów, ma fioła na ich punkcie. Nie wiedział nawet, co się dzieje. Byłam sama w kuchni, a Tommy siedział na macie na podłodze. Goły, bo było tak gorąco, chciałam, żeby się trochę ochłodził. Bardzo się poci. Otworzyłam drzwi wyjściowe, żeby zrobić lekki przeciąg.

Sejer obserwował jej mowę ciała i ton głosu. Była teraz całkiem spokojna i skoncentrowana, jakby w końcu przejmowała kontrolę nad sytuacją. Jej głos był nieco monotony, to mogło oznaczać dystansowanie się. Jakby nie przyjmowała czegoś do wiadomości, czegoś okropnego, na co nie była gotowa.

- Potem musiałam iść do łazienki - kontynuowała. - Musiałam coś zrobić. I zajęło to trochę czasu. Kiedy wróciłam, zobaczyłam, że go nie ma, nie siedział już na swojej macie do zabawy, a salon był pusty. Tommy właśnie nauczył się chodzić - wyjaśniła - i jest naprawdę bardzo energiczny. W minutę potrafił pokonać niezły dystans, a przecież nie było mnie przez jakiś czas. Najpierw pobiegłam do sypialni, zajrzałam nawet pod kołdrę, wiadomo,

kompletnie spanikowałam. Potem wyleciałam z domu i szukałam go na podwórku. Ale nigdzie go nie było, ani w piaskownicy, ani za domem, nie chciałam nawet myśleć o jeziorze. Chociaż tam było i stanowiło oczywiste zagrożenie, po prostu nie mogłam o tym myśleć. Wreszcie tam poszłam, musiałam przecież przeszukać wszystko. Zauważyłam go tuż obok pomostu. Leżał na dnie twarzą do dołu. Bez zastanowienia rzuciłam się do wody i wyciągnęłam go na brzeg. A potem zawołałam Nicolaia, ile sił w płucach. Zbiegł z góry, był kompletnie spanikowany. To było takie dziwne, słyszałam krzyk, ale nie rozpoznawałam głosu, mimo że to był mój głos, rozumie pan, o czym mówię?

Zamilkła. Uniesioną dłonią otarła samotną łzę.

– Nie udało nam się go ocucić, już go nie było. Nicolai wezwał karetkę, przyjechali bardzo szybko, próbowali go reanimować, trwało to całą wieczność, może nawet godzinę, musiałyby pan zobaczyć, jak się starali. Ale ich wysiłki nic nie pomogły, Tommy już odszedł.

Sejer słuchał jej monotonnego zeznania. Przez cały czas obserwował ją, śledził jej ton głosu, mimikę i gesty. To wszystko coś znaczyło, lata doświadczeń w pracy z ludźmi nauczyły go interpretacji. Z pewnością można ją było uznać za wiarygodną. Najprawdopodobniej stało się tak, jak mówi, takie wypadki zdarzały się nagminnie, utonięcia większych i mniejszych dzieci, zwykle podczas zabawy. Ale istniała też możliwość, że to wszystko z jej strony było grą. Tkwiło w niej coś dramatycznego, coś wymyślnego, bez wątpienia była zaabsorbowana wyglądem i tym, jak odbierają ją inni. Plecy trzymała prosto, a podbródek wysoko.

– Czy Tommy był zdrowym chłopcem? – zapytał.

- O tak - odparła zdecydowanie. - No, ma zespół Downa. Ale poza tym jest absolutnie, całkowicie zdrowy, nigdy nie chorował, nic takiego. A tak, miał kiedyś infekcję ucha. Nagle dostał wysokiej gorączki i musieliśmy jechać na pogotowie w środku nocy. Podali mu tam lekarstwo i od razu wyzdrowiał. No, po paru dniach. Poza tym absolutnie nic.

- A na co dzień czym się przejawiał zespół Downa? Może pani o tym trochę opowiedzieć?

- No, potrzebuje trochę dodatkowej pomocy. Takie dzieci rozwijają się bardzo powoli, nie uczą się tak szybko jak inne - wyjaśniła. - Wie pan, jak to jest.

- Jak wyglądał wasz zwykły dzień w domu? Czy niepokoiło panią to jezioro i zagrożenie z nim związane?

Skinęła głową. Powiedziała, że to było ryzykowne mieszkać z małym dzieckiem tuż obok głębokiego, kuszącego akwenu.

- Ale nie mogliśmy ciągle bać się wszystkiego, co może się wydarzyć - dodała. - Ludzie żyją nad wodą. Dzieci dorastają nad morzem. W ciągu zaledwie kilku ostatnich lat dwójka dzieci utonęła tu na plaży. Wiem, że takie rzeczy się zdarzają. A teraz przytrafiło się to nam.

- No tak. - Skinął głową. - Oczywiście to prawda, co pani mówi, jednak chciałem spytać o coś jeszcze. Jest pani bardzo młodą matką. Czy Tommy był chcianym dzieckiem? Czy był planowany?

- Tak, był chciany. To znaczy... ja niczego nie używałam, Nicolai też nie. Więc nie byliśmy specjalnie zaskoczeni, kiedy zorientowałam się, że jestem w ciąży. Bardzo się ucieszyłam, gdy zobaczyłam pozytywny wynik testu. Naprawdę się cieszyliśmy. Skakaliśmy i tańczyliśmy po kuchni jak dwójka małych dzieci. To jest

odpowiedź na pana pytanie – dodała z bladym uśmiechem. – Tak, oczywiście, że był chciany. Upragniony, z całego serca, musi mi pan uwierzyć.

– A potem – podjął Sejer ze spokojem – Tommy w końcu przyszedł na świat. Może pani opowiedzieć trochę o swojej ciąży, jak się pani czuła? Czy było pani ciężko? Jest pani bardzo drobna, dziecko to pewnie nie lada ciężar do udźwignięcia.

– O nie – zaproponowała szybko, nagle pełna energii. – To było bardzo miłe uczucie. Ciąża przebiegała gładko, byłam w świetnej formie. Wszyscy wokół mówili, że wyglądam bardzo ładnie. I przez cały czas czułam się fantastycznie. Nie przytyłam też za dużo, zresztą Tommy ważył tylko dwa siedemset. Nicolai żartował sobie z tego. Mówił, że Tommy wyglądał jak pudding z kwaśnego mleka, był taki biały i gładki.

– Proszę mi opowiedzieć, jakim był dzieckiem. Czy był wesoły?

– Tak. – Skinęła głową. – Bardzo wesoły. Zdarzało się, że miał problemy ze snem, ale radziliśmy sobie z tym. W nocy wstawaliśmy na zmianę. Czasami się kłóciliśmy, ale ogólnie dobrze się dogadywaliśmy.

– Karmiła go pani piersią?

– Nie. Nie, nie karmiłam piersią.

– Dlaczego nie? Nie miała pani pokarmu?

– Nie chciałam karmić piersią – odparła twardo. – Widzi pan, jak wyglądam, nie nadaję się do tego. – Miała na myśli swoją płaską klatkę piersiową, pod krótkim, obcisłym topem widoczne były dwie bardzo skromne wypukłości.

Nagle zauważył u niej chwilową niechęć, jakby poruszył bolesny temat, o którym nie chciała mówić. Zamknęła się jak ostryga i stała

kompletnie niedostępna. Właśnie wtedy, patrząc na wątłą postać siedzącą obok niego w postrzępionych dżinsach, pomyślał, że być może to ona jednak jest odpowiedzialna za śmierć syna. Że zrobiła coś złego, że jest winna zbrodni, nawet najgorszej ze wszystkich. Myślał o tym wyłącznie z przyzwyczajenia, bo taki już był jego zawód. Podejrzliwość. Podawanie cudzych słów w wątpliwość. Niczego nie można brać za pewnik. Jednocześnie starał się nie osądzać. A jeśli to naprawdę było morderstwo, pomyślał zaraz, jak w ogóle mogliby cokolwiek udowodnić, skoro nie było świadków? Skoro matka twierdziła, że chłopiec sam zszedł do wody w chwili jej nieuwagi. Podczas gdy ona sama była zajęta w łazience. A ogromna, pokrojona w plastry ryba leżała na blacie.

– Był żądnym przygód małym chłopcem – podjęła Carmen. – Chciał wszystko odkryć. Raczkował po domu z zawrotną prędkością. Nadażanie za tym było męczące – dodała, ocierając łzę. – Cały czas bardzo się bałam, że coś się stanie.

Teraz pokonała jakąś przeszkodę i widziała wszystko z dystansu, wszystko, co wydarzyło się nad wodą, całą tragedię. Słowa płynęły tak łatwo, wyjaśniała, że Tommy był wszędzie i trudno było się nim opiekować, doprecyzowała, że nie jest niczemu winna i że to wszystko był wypadek. Zobaczył, że zdystansowała się od tragedii, odsunęła ją od siebie na krótką chwilę. To nie potrwa długo, pomyślał, rzeczywistość uderzy ją z gwałtownością sztormu. To, co się stało, będzie powracać wciąż na nowo w całej potworności, każdego dnia. Przez resztę życia. A w dniu, w którym sama umrze, w dniu, w którym nie będzie miała przyszłości, w dniu, w którym

będzie mogła tylko wracać pamięcią do przeszłości, wszystko wróci ze szczegółami. Dziecko w ciemnej wodzie, twarzą w dół.

– Od jak dawna mieszka pani z Nicolaiem? – zapytał spokojnie.

– Od dwóch lat. Ale jesteśmy razem od czterech. Miałam tylko piętnaście lat, kiedy się poznaliśmy. Przed nim byłam z kimś innym, ale skończyło się to już po miesiącu, tamten człowiek zawiódł moje zaufanie. Od tamtej pory zawsze byliśmy we dwoje, tak dobrze do siebie pasujemy. Chociaż bardzo się różnimy, to trzeba przyznać.

– Różnicie się? W jaki sposób?

– Nicolai jest bardzo powolny i ostrożny – wyjaśniła – a ja szybka i impulsywna. Rozumie pan, co mam na myśli.

– Czy był dobrym tatą?

– O tak, najlepszym na świecie. Jest o wiele bardziej cierpliwy ode mnie. Nigdy się nie irytuje ani nie denerwuje, jest bardzo miły. Nie jest impulsywny, ma bardzo ostrożną naturę i można na nim polegać.

– On też próbował udzielić pierwszej pomocy?

– Tak, oboje próbowaliśmy. Ale widzieliśmy, że już za późno, że jest siny, to było absolutnie straszne. To Nicolai musiał wezwać pogotowie, ja byłam kompletnie rozhisteryzowana i nie mogłam sobie z niczym poradzić. Czy możemy odmówić sekcji zwłok? – zapytała gwałtownie. – Przepraszam, że pytam, ale nie mogę znieść myśli o tym, wiem, co oni robią, czytałam w gazecie. I nie chcę, by ktoś tak grzebał w ciele Tommy’ego.

Sejer zwrócił uwagę na słowo „grzebać” i na jej niechęć do dokładnego zbadania ciała, ale nie wyciągnął z tego żadnych nowych wniosków. Spotkał się z tym problemem już wcześniej. Często w związku z samobójstwem lub śmiercią łóżeczkową. Ludzie

pragnęli pochować swoich bliskich w całości, było to całkowicie zrozumiałe. Nie chcieli zapadłego ciała wypchanego papierem.

– Sekcja zwłok jest bardzo ważna – zauważył. – Może nam wiele wyjaśnić.

– Przecież znalazłam go w wodzie – nie ustępowała. – Utonął. Przyczyna śmierci jest jasna, nie widzę sensu sekcji.

– Musi pani zrozumieć – powiedział Sejer cierpliwie – że mamy tu do czynienia z nagłym, nieoczekiwanym zgonem. W takich przypadkach procedura nakazuje wykonanie sekcji zwłok. Proszę mi uwierzyć, będziemy bardzo ostrożnie postępować z ciałem.

Od tego momentu stała się mniej chętna do rozmowy. Zamknęła się w sobie i unikała jego wzroku, obracając na palcu srebrny pierścionek z czerwonym kamieniem. Może była zmęczona, a może zdenerwowana, trudno określić. Sejer nabrał teraz pewnych podejrzeń, więc starał się ją nieco przycisnąć. Wiedział, że w przeszłości wiele dzieciobójstw błędnie uznawano za wypadki. Ale dzieci, najslabsi członkowie społeczeństwa, mają prawo do sprawiedliwości. Po raz kolejny przypomniały mu się jego młodzińcze ideały. Wszystko to, czego nauczył go ojciec, prawo, prawda i sprawiedliwość.

– Mogę zadzwonić do taty? – zapytała. – Muszę wszystko mu opowiedzieć. Mają tylko mnie – dodała. – A Tommy jest ich jedynym wnukiem.

Znów zaczęła szlochać.

– Miałam siostrę, ale jej już nie ma – dodała. – To będzie dla nich za dużo. Tata ma chore serce, a mama jest taka nerwowa.

– Oczywiście – powiedział spokojnie Sejer – będzie pani mogła zadzwonić. Musi pani być jednak przygotowana na nieprzyjemne

rozmowy z nami. Tak to już jest, mimo że zawsze mamy dobre intencje. Proszę się nie bać, razem wyjaśnimy tę sprawę.

Ponownie odszukała wzrokiem Franka. Spał na dywanie. Potem spojrzała Sejerowi prosto w oczy. Zmrużyła oczy.

– Czy jestem o coś podejrzana?

Sejer pozwolił jej chwilę posiedzieć w niepewności. Miał to samo przeczucie, co Skarre – że coś jest nie tak. Że czegoś brakowało w jej zachowaniu, biorąc pod uwagę tragedię, która się wydarzyła. To uczucie sprawiło, że parł dalej.

– Jak uprzedziłem – powiedział – musimy ustalić przebieg wydarzeń. Funkcjonariusz przeszuka wasz dom, to też zwykła procedura, nie musi się pani martwić.

Carmen wgapiała się w niego.

– Co takiego? Dom? Przecież utopił się w jeziorze, nic z tego nie rozumiem!

Znowu wybuchła płaczem. Odgarniała z czoła opadające włosy.

– W domu nic przecież nie ma – upierała się. – Nie mogę zrozumieć, kto dał wam prawo zawracać mi głowę takimi rzeczami. Przeszukać dom?! I co tam chcecie znaleźć?

Sejer wstał z krzesła. Przesunął je tak, że siedzieli twarzą w twarz. Carmen ewidentnie poczuła się niepewnie i spochmurniała.

– Nie chciałam krzyczeć – powiedziała – po prostu to wszystko jest takie dziwne. Trudno mi uwierzyć, że to się stało. Czy to pan będzie przesłuchiwał Nicolaia?

– Tak, ja z nim porozmawiam. Muszę sprawdzić, czy wasze wersje się zgadzają. Rozumie pani, że tak właśnie pracujemy, prawda?

- Ale przecież na pewno będzie się zgadzać. - Znów się rozpląkała. - Nie myśli pan chyba, że kłamię?

*

W przedpokoju wisiało trochę ubrań na rzędzie kołków.

Dwie pary kozaków, jedne kalosze, kilka par innych butów na półce. Zawieszana reklamówka, prawdopodobnie ze śmieciami, które mieli wyrzucić do kosza przy drodze, drzwi do piwnicy, ciemnej i tajemniczej. Większy przedpokój z komodą i lustrem, samotna kurtka z odblaskami na rękawach. Po prawej stronie mały salon, w którym dominował płaski telewizor, dość duży, może pięćdziesiąt cali. Dwa fotele, jeden z podnóżkiem. Regały z wieloma książkami, niektóre w dużym formacie, o ptakach i zwierzętach. Obok pokoju telewizyjnego jadalnia ze stołem i czterema krzesłami oraz biurko z iMakiem.

Skarre chodził od pokoju do pokoju i notował każdy szczegół. Zwiędłe kwiaty w doniczkach, czasopisma na stole. Pilot i pusta puszką po coli, na kanapie koc z czerwonymi frędzlami. Mata do zabawy na podłodze, z dzwoneczkami i kieszeniami. Na ścianie czarno-białe zdjęcie dziecka, zrobione przez dobrego fotografa amatora, być może samego Nicolaia. Zespół Downa był widoczny w oczach dziecka i w niskim, nieco grubym ciele z pulchnymi dłońmi. Chłopiec stał na kwiecistej łące wśród stokrotek i mleczy, miał na sobie tylko pieluchę. Tak, to rzeczywiście było gorące lato, ludzie zrzucali z siebie ubrania, jak tylko mogli. Długo stał i patrzył na fotografię chłopca, ogarnęło go wzruszenie. Oderwał się wreszcie i poszedł do sypialni, zajrzał do środka, stojąc w otwartych drzwiach. Czuł, że narusza czyjąś prywatność, jak zawsze, jakby był

podglądaczem. Wtrącał się w życie innych ludzi, ale było to konieczne. Otrząsnął się i podszedł do okna. Z tej części domu nie było widać jeziora, patrzył prosto na kępę ciężkich drzew, w bezpośrednim sąsiedztwie nie widział żadnych innych domów. Dwa pojedyncze łóżka złączone ze sobą. Jeden stolik nocny był schludny, na drugim stały budzik, spray do nosa, papierowe chusteczki, szklanka wody. Zegarek na rękę, szczotka do włosów i opakowanie paracetamolu na wypadek gorączki lub bólu głowy. Pościel była niebieska w białe chmurki, może z Ikei. Na kołdrze leżał stary pluszowy miś i patrzył ślepo na niego czarnymi szklanymi oczami. A w kącie białe dziecięce łóżeczko z karuzelą – cztery kołyszące się ptaki z czerwonymi piórami. Tu też leżał pluszowy miś, nowszy, wydawał się drogi. Może kupili go dziadkowie, podczas gdy stary pluszak został wygnany do łóżka dla dorosłych. W łazience wisiało kilka wypranych par skarpetek. Poza tym nic ciekawego. Wszedł ponownie do salonu, usiadł na sofie, wybrał numer Sejera.

– Nic godnego uwagi – zameldował. – Żadnych szczególnych znalezisk, zwykły, codzienny bałagan.

– Gdzie jesteś teraz?

– W salonie.

– Musisz iść do kuchni – polecił Sejer. – Zobacz, czy jest tam ryba. Czy nie ma czegoś na blacie, składników szykowanego obiadu?

Skarre wyszedł i rozejrzał się po schludnej kuchni.

– Tak, wygląda jak łosoś, jest częściowo pokrojony. To cię satysfakcjonuje? Poza tym nic. W łazience schną skarpetki, mały bałagan przy łóżku, takie codzienne drobiazgi. Na blacie butelka po whisky. Więc jedno z nich pije, przypuszczalnie Nicolai.

– Dlaczego tak myślisz?

- Dziewczyny w tym wieku nie piją przecież whisky.

- Masz chyba rację – odparł Sejer. – Jak dotąd zeznania Carmen wydają się wiarygodne. Dziwne jednak, że sprawia wrażenie zdezorientowanej co do przebiegu wydarzeń. Daj znać, jeśli znajdziesz coś jeszcze. Tymczasem porozmawiam z Nicolaiem i zobaczymy, czy ich wersje są zgodne.

- Więc co o tym myślisz? – spytał Skarre.

- Standardowa sprawa, może jedno z nich kłamie. Jeśli tak jest, to winny nie może nam uciec.

*

- Było już za późno – powiedział Nicolai Brandt – zupełnie zsiniał. Paznokcie i usta miał aż niebieskie, był biały jak płótno. Widziałem, że to Tommy, ale jednocześnie wydawał się taki obcy. I zdałem sobie sprawę, że to już koniec, a Carmen wpadła w kompletną histerię, nie mogliśmy myśleć, chyba wszystko zrobiłem źle. Do niczego się nie nadaję – dodał dramatycznie, ocierając łzę.

- Gdzie pan był, kiedy Carmen wezwała pana na pomoc? – zapytał Sejer.

- W piwnicy. Naprawiałem rower. Zarabiam trochę na takich drobiazgach, to był rower kolegi. Nasmarowałem i wymieniłem łańcuch, i tyle.

- Tak więc – cierpliwie podsumował Sejer – stał pan pochylony nad tym rowerem. Co pan pomyślał, kiedy usłyszał pan krzyk Carmen?

- Ona nie krzyczała, ona wrzeszczała – poprawił Nicolai. – Od razu zdałem sobie sprawę, że Tommy jest w wodzie. Zawsze bałem się tego przekłętą jeziora. Tommy jest wszędzie, dopiero co

nauczył się chodzić, więc jest nieprzewidywalny. Rzuciłem więc rower i pobiegłem tak szybko, jak tylko mogłem, do wody. Carmen go już wyciągnęła. Próbowaliśmy wszystkiego, co się dało, aby go przywrócić do życia, ale nic nie pomogło, już go z nami nie było. Już wtedy, już po kilku minutach, zdałem sobie sprawę, że jest za późno. Zadzwoniliśmy więc na numer alarmowy, szybko przyjechali i podjęli próbę reanimacji. Ale im też się nie udało, chociaż byli w tym lepsi niż my, robili to przecież wiele razy. Widzieliśmy, że się na tym znają. Pewnie uratowali wiele istnień ludzkich. Więc ciągle miałem nadzieję. Czekałem, aż się obudzi i może odkaszlnie trochę wody. Aż kolor wróci na jego twarz i Tommy znów zacznie oddychać.

Nicolai był bardzo blady, mimo słonecznego lata, a oczy miał ciemne z żalu i rozpacz. Być może po raz pierwszy zobaczył śmierć z bliska, miał dopiero dwadzieścia lat. A śmierć widziana z takiej odległości po raz pierwszy jest zawsze dramatycznym przeżyciem.

– No tak – powiedział po chwili Konrad Sejer. – Czy Tommy schodził już kiedyś sam do jeziora? To przecież niedaleko, może pięćdziesiąt metrów. Czy wychodził sam z domu na trawnik, czy coś w tym stylu? Pamięta pan takie epizody?

Nicolai splótł ręce na kolanach. Także był wątłym chłopakiem, pasował do smukłej Carmen, a teraz byli jak dwie potępione dusze postawione obok siebie. Miał cienkie, zaczesane do tyłu włosy, które sięgały karku. Na jednej dłoni mały tatuaż, chyba jakiś japoński znaczek.

- Co oznacza pański tatuaż? – zapytał Sejer zaciekawiony.
- Odwagę.
- I co, działa?

- Nie, w ogóle. Zawsze byłem tchórzem. Czy możemy zostać skazani za zaniedbanie?

Sejer zignorował pytanie.

- Dlaczego nazywa się pan tchórzem? - zapytał. - Kto tak powiedział?

- Ja tak mówię. Po prostu to wiem, nie musi mnie pan pocieszać. Bo chyba na to nie zasłużyłem.

- No dobrze - odparł Sejer, bo chciał kontynuować. - Tommy. Czy wcześniej wychodził z domu? Na podwórko czy do ogrodu?

- Tak, zdarzyło się to parę razy. Kiedy dociera do schodów, pokonuje je na czworakach. Mówiłem Carmen, że wszystkie drzwi muszą być zamknięte, bo on jest taki szybki. Ale dzisiaj jest tak gorąco, dlatego drzwi były otwarte na oścież.

- Może pan powiedzieć coś o tym, co robiła Carmen, kiedy zniknął Tommy? Czy wie pan coś o tym?

Pomyślał chwilę. Odgarnął cienkie włosy wytatuowaną dłońią.

- Nie wiem. Pewnie kręciła się po domu. Zajmowała się obiadem czy coś. Dbą o dom, lubi go porządkować i upiększać. I przygotowywać jedzenie, prawdziwa z niej gospodyni.

- Gdzie pan pracuje?

- U teścia, w centrum miasta. W jego restauracji przy Torggata, w Zita Quick.

- Dobrze się panu pracuje dla teścia?

- Tak, on jest w porządku. Ale miał rozległy zawał serca, więc nie może się przemęczać, a my z Carmen pomagamy, jak tylko możemy. Nie zarabiamy dużo, na szczęście niewiele nam potrzeba. Od urodzenia Tommy'ego Carmen nie pracuje. Ma wrócić do pracy, jak tylko Tommy...

Nagle przypomniał sobie, co się stało. Frank wstał ze swojego miejsca i podszedł do Nicolaia. Polizał jego dłoń ciepłym językiem.

– Lubi pan psy? – spytał Sejer, by trochę go rozproszyć.

Skinął głową i pogładził pomarszczony łeb.

– Tak, podobnie jak Carmen. Ale nie chcieliśmy mieć psa ze względu na Tommy’ego. To znaczy... czekaliśmy, aż skończy trzy, cztery lata. Odkładanie rzeczy na później to głupota, teraz to widzę. Nagle życie się kończy... i na wszystko jest za późno. Teraz dom będzie taki pusty. Przyzwyczailiśmy się do krzyków i śmiechu dziecka, nie wiem, jak mamy teraz żyć! – Wybuchł płaczem. Siedział bezradnie na krześle i ocierał łzy.

– Otrzymacie pomoc psychologa – zapewnił Sejer. – Jeśli oczywiście ją przyjmiecie.

Nicolai stanowczo potrząsnął głową.

– Nie, nie wierzę w gadanie. Wolałbym, żebyście po prostu zostawili nas w spokoju. Czy możemy już wrócić do domu? Nie rozumiem tych wszystkich pytań, bardzo mnie to denerwuje.

– Tak, wkrótce będziecie mogli wrócić do domu. Czekamy też na sekcję zwłok, będziemy w kontakcie.

Nicolai potrząsnął głową z frustracją.

– Ale przecież nie ma tu czego szukać – powiedział. – Myślę, że moglibyście dać sobie z tym spokój.

– Proszę wybaczyć – odrzekł Sejer – ale biorąc pod uwagę okoliczności, jest to absolutnie niezbędne. I nawet jeśli nie rozumie pan konieczności śledztwa, zapewniam, że leży to w najlepszym interesie Tommy’ego. Wszystko musi się wyjaśnić, może mi pan zaufać?

- To wydaje mi się takie okropne - mruknął. - Ledwie mogę o tym myśleć, otworzą to małe ciało i powyciągną wszystko ze środka.

- Potem wcale tego nie widać - zapewnił Sejer - ma pan na to moje słowo. Może pan być pewny, że pożegna się z synem bez przerażających widoków. Proszę o tym porozmawiać z domem pogrzebowym, oni pomagają w takich sprawach.

Nicolai długo milczał. Kierując wzrok w stronę okna, Sejer pomyślał o Carmen. Jaki miałaby motyw, żeby świadomie wrzucić Tommy'ego do wody? Czy nie mogła już go znieść? Czy wcale nie był chcianym dzieckiem, jak twierdziła? Czy uczynił ją niewolnicą, czy posiadanie chorego syna było dla niej obciążeniem, zbyt wielkim brzemieniem, przytłaczającym, bez końca, nadrzędnym i męczącym obowiązkiem? Więc dzisiaj, w środę dziesiątego sierpnia, zdecydowała się na ten krok, na pozbycie się go raz na zawsze? Może dlatego, że był inny... Czy naprawdę mogło tak być? Czy może nic z tych rzeczy. Tylko tragiczny wypadek, jakich bywa wiele, niczyja wina?

Kiedy ich wypuścił, była szósta po południu. Jacob Skarre odwiózł Carmen i Nicolaia do domu. Na podwórku się rozejrzył, dom stał dość daleko od sąsiadów, samotnie. Niewątpliwie nad jeziorkiem mogła się wydarzyć jakaś zbrodnia tego sierpniowego dnia. Żywa dusza by tego nie zobaczyła.

*

Frank nie próbował się przywitać, Holthemann też nie był zainteresowany, więc pies posłusznie się odsunął i położył w kącie. Naczelnik wydziału nie miał dla niego nawet odrobiny ciepła,

zwierzę już dawno się z tym pogodziło. Teraz Holthemann spojrzął na Sejera zmrużonymi bladymi oczami ukrytymi za grubymi i niezbyt czystymi okularami. Pod ścianą w kącie stała jego laska ze srebrną rączką i wygrawerowanym na zamówienie herbem. Holthemann miał chorą nogę, naprawdę bardzo chorą. Szwankowało mu krążenie, żyły aż do pachwiny były zatkane, a strach przed amputacją nie dawał mu spać. Niewykluczone, że trzeba będzie usunąć kończynę powyżej kolana. Ta myśl przyprawiała go o mdłości ze zgrozy. Często budził się w nocy po kilku godzinach snu, mokry od potu, śniąc o surowym, odciętym kikucie. Nie chciał protezy, nie podobała mu się idea części zamiennych, był dumnym człowiekiem. Widział jednak, że skóra na nodze jest przebarwiona od kostki w górę, a kiedy przyciskał palec do mięsistej łydki, tworzył się dół, który pozostawał przez długi czas. Przerażało go to śmiertelnie.

Fakt, że poruszał się tak wolno, wprowadzał w błąd wielu ludzi – myśleli, że jest powolny i ociężały. W rzeczywistości był ostry jak kosa, pomimo swojego wieku i wyglądu oraz grubych okularów.

– Zatrzymasz ich? – zapytał z lekkim uśmiechem. – Są jakieś sprzeczności?

– Carmen Zita jest trochę zdezorientowana co do przebiegu wydarzeń – odrzekł Sejer. – Waha się i wydaje się niepewna, kiedy proszę ją, by mi wszystko zrelacjonowała. Tak, to tylko drobiazg, może nieistotny szczegół, jest przecież w szoku. Ale oczywiście zdezorientowanie może coś znaczyć, więc jestem czujny. Ojciec dziecka wydaje się bardzo wiarygodny, jego smutek jest prawdziwy w jakiś inny sposób. Carmen udaje, myślę, że gra. Ale łyzy są

prawdziwe, płyną bez przerwy. Nigdy nie widziałem, żeby ktoś tak beczał. I w przeciwieństwie do ciebie nie miałem chusteczek.

Holthemann odchylił się i założył ręce za głowę.

– I tak trudno będzie coś udowodnić – pomyślał. – To znaczy, jeśli w ogóle doszło do przestępstwa. Mógł zejść do wody sam. Powiedziała, że jest bardzo ruchliwy, że dopiero co nauczył się chodzić i chce wszędzie wejść. Co mówi Snorrason? Rozmawiałeś z nim?

– Obiecuje szybko dostarczyć nam wyniki. Ale obawiam się, że żadne decydujące ustalenia nie zostaną poczynione. Co by to miało być? Na ile zdołaliśmy ocenić, na ciele nie ma śladów przemocy, ale oczywiście musimy dowiedzieć się, czy żył, kiedy wpadł do wody, to jest teraz priorytet. Biorę wszystko pod uwagę, być może szukam dziury w całym. Ale moje przeczucia nie zaprowadzą nas daleko w sądzie i chyba powinniśmy się z tego cieszyć, prawda?

– Nie bądź taki pewny naszego systemu – upomniał go Holthemann – nie jest nieomylny. Czy mamy coś na temat tej dwójki?

– Nie, żadne z nich nie było karane. Twoja noga. – Ruchem głowy wskazał łydkę Holthemanna. – Żyje jeszcze?

– Ledwo. Prawie nie mam w niej czucia, jest całkowicie odrętwiała.

– Zaczynij korzystać z bieżni – zasugerował Sejer. – Poprawisz krążenie.

Naczelnik wydziału potrząsnął głową.

– Nie – odparł stanowczo. – Co ma być, to będzie. Nikt nie zmusi mnie, żebym biegał jak szczur w kołowrotku.

*

Dziesiąty sierpnia. Wieczór.

Carmen obserwowwała go przez okno. Stała tak przez chwilę, załamując ręce. Nicolai przeszedł przez podwórko na pomost. Siedział na krawędzi i wyglądał tak beznadziejnie. Poszła za nim, powoli i z wahaniem, niepewna, co powiedzieć. Słowa, których gorączkowo szukała, rosły jej w ustach, poczuła, że chce jej się pić.

– Nicolai – zaczęła ostrożnie – on już nie wróci. Jakoś musimy sobie z tym poradzić. Mam na myśli przyszłość, musimy coś wymyślić. Chodź już, musimy coś zjeść, jest późno. – Stała na pomoście, ciągnęła go, prosiła. Ale twarz Nicolaia poszarzała z żalu, a jego rzadkie brązowe włosy były w dzikim nieładzie. Nigdy nie widziała go takim, nigdy nie widziała go tak bezradnego i opuszczonego.

– Jak możesz myśleć o jedzeniu, kiedy Tommy odszedł na zawsze? – spytał. – Naprawdę nie rozumiem tego.

Usiadła obok niego i wzięła go pod ramię. Czuł jej paznokcie na swojej skórze, jak ostre szpony.

– Jeśli nie będziemy jeść, też umrzemy. A Tommy by tego nie chciał.

Nicolai wybuchnął, nie mógł się pozbierać.

– Nic nie wiesz o tym, czego chciał Tommy! Powinnaś była zamknąć drzwi. Wiesz, jaki on jest, chodzi wszędzie. Ludzie mówią, że te dzieciaki są powolne, ale to nieprawda, Tommy był szybki jak wiewiórka.

– Tak... ale było tak gorąco. A ty byłeś jak zwykle w piwnicy, tam jest przyjemnie chłodno, więc łatwo ci mówić. Nie powinieneś mnie

obwinić – dodała – tak nie można. Już i tak jest mi źle, nie musisz tego pogarszać, poza tym musimy porozmawiać, bo trzeba zaplanować pogrzeb, jest dużo rzeczy do załatwienia. Wkrótce przyjedzie tata, pomoże nam się do tego zabrać.

Nicolai wydlubał odłamek ciemnego drewna paznokciami obgryzionymi do krwi.

– O co cię pytali? – spytała Carmen po chwili. – Mnie o różne rzeczy. Chcieli nawet wiedzieć, czy karmiłam go piersią. Nie rozumiem, dlaczego muszą wchodzić w takie szczegóły, to po prostu niegrzeczne.

– Ty nic nie pojmujesz – powiedział ostro. – Nie rozumiesz powagi sytuacji. Tommy nie żyje, odszedł. Utonął i to nasza wina, bo nie zachowaliśmy należytej ostrożności. Co tak naprawdę robiłaś, kiedy Tommy wychodził z domu? Co robiłaś?

Pomyślała chwilę.

– Zwyczajnie kręciłam się po domu, sprzątałam. Chciałam oczyścić rybę na obiad. Byłam w łazience, wypłukałam pranie. Wszystko działo się tak szybko. Szukałam go w każdym pokoju, zanim pomyślałam o jeziorze. Chodź, musimy wrócić do domu – nalegała. – Mama i tata zaraz przyjadą, pomogą nam z jedzeniem.

– Ty i to twoje jedzenie – powiedział z goryczą. – Idź i się nażryj, ja się stąd nie ruszam. Jeśli twój ojciec chce, żebym coś zrobił, może przyjść tu na pomost, będę tu siedział do nocy.

Wstała, przygnębiona i zrozpaczona. Wpatrywała się w samotną lilię wodną na jeziorze. Dziwne, że była tylko jedna, taka piękna i biała. A potem wyrzuciła to z siebie, słowa wypadły jej z ust, zanim zdążyła zebrać myśli:

– Możemy mieć jeszcze jedno. Jesteśmy tacy młodzi.

Nicolai wciągnął szybko powietrze, jakby ta myśl była potworna.

– Chcę się przeprowadzić – powiedział szybko. – Nie chcę mieszkać w pobliżu wody, nie z dziećmi. I nie chcę drugiego dziecka, daj spokój!

Umilkła. Ruszyła w stronę domu, a on podążał wzrokiem za jej smukłą sylwetką. Było w niej coś dziwnego, gdy tak szła, w tej krótkiej bluzce. Pomimo tej całej tragedii jej kroki były szybkie i lekkie, jakby wszystko po prostu po niej spłynęło, i uderzyło go straszne podejrzenie, mimo upału poczuł dreszcze na plecach. Była właściwie całkiem obojętna, od razu chciała ułożyć sobie życie na nowo, choć byli przecież w żałobie. W głębokim, bezdennym smutku. On sam nie mógł myśleć o jedzeniu, śnie, pracy ani o dniach, które miały nadejść bezbrzeżnie smutnym ciągiem.

– Idziesz? – krzyknęła, odwracając się po raz ostatni.

– Czy ja właśnie nie powiedziałem, że nie? – Nagle go oświeciło. – Idź, po prostu idź. Żyj sobie swoim życiem!

Stała przez chwilę, patrząc na niego, przerażona wybuchem. Nie poznawała go, nie znała tej wściekłości, nigdy wcześniej jej nie widziała.

– Rozwiedziemy się? – zapytała od razu. Teraz ona była wściekła, był taki nieprzyjemny i trudny.

– Tak – odrzekł. – Może i tak. Potem możesz przeżywać żałobę na swój własny, dziwny sposób.

*

Najchętniej nosiłby ją w kieszeni koszuli, blisko serca, miał ją zawsze przy sobie i w ten sposób chronił od wszelkich okropności i udręk, chronił przed każdym niebezpieczeństwem. Kochał Carmen

Cesilie najbardziej na całym świecie, z niesłabnącą cierpliwością ojca kochał tę drobną jasnobloną istotę – swoją córkę. Przytulił ją mocno i z uczuciem, niemal zniknęła w jego przestronnych objęciach i pozostała tam na długi czas. Marian Zita był ciężki i barczysty, miał krępe, beczkowate ciało i cienkie nogi o szerokich stopach skierowanych na zewnątrz. Gęsta czarna grzywa włosów z drobnymi pasmami srebra i ciężkie, twarde pięści przyzwyczajone do pracy. Wcześniej, w samotności, Marian Zita przeklinał Boga i Maryję Dziewicę. Wszystkie siły wyższe go zawiodły, był wściekły z żalu i rozpacz. Carmen płakała mu w koszulę, niepokieszona. Ojciec zawsze był jej najwierniejszym sprzymierzeńcem, we wszystkim. Bez względu na to, co się działo, bez względu na to, co przedsięwzięła, stał po jej stronie, a przez lata wiele razy potrzebowała jego pomocy. Jak wtedy, przed Nicolaiem, kiedy miała chłopaka, który ją bił. I kiedy zaszła w ciążę z Tommym w wieku siedemnastu lat. Teraz nastąpił stan wyjątkowy. Matka rozejrzała się po podwórku, przeniosła wzrok w stronę jeziora i dostrzegła Nicolaia na końcu pomostu.

– Jak myślisz, czego on chce? Czy mamy pójść go pocieszać?

– Nie – odparła Carmen. – On chce być sam. Mówi, że będzie tak siedział do nocy – dodała. – Nie radzi sobie zbyt dobrze z emocjami, po prostu całkowicie się blokuje. Nic się nie da z tym zrobić, na wszystko odpowiada „nie”. Chodź, wejdziemy. Może za jakiś czas wróci do siebie, może zmieni zdanie.

Rodzice podążyli za nią do domu. Na widok maty z kólkami i dzwoneczkami mama się rozplakała.

– Że też nie postawiliśmy ogrodzenia. – Westchnął Zita. – Będzie mnie to prześladować do końca życia. Mogliśmy wezwać cieśnię,

zrobilibyśmy to w jeden dzień.

Carmen wysunęła krzesło i usiadła przy kuchennym stole.

– Teraz musimy coś zjeść – powiedziała stanowczo. – Ale kiedy wspomniałam Nicolaiowi, że potrzebujemy jedzenia, wściekł się. Przecież nie obrazimy pamięci Tommy’ego, jedząc.

W spojrzeniu ojca szukała pocieszenia, które zawsze od niego otrzymywała. Przez całe życie uważała za oczywiste, że ma do tego prawo.

– Prawda, tato? – zapytała błagalnie. – Jestem taka głodna. Nie jadłam cały dzień. Nie obrazimy pamięci Tommy’ego, jeśli coś zjemy?

Ojciec potrząsnął głową.

– Nie, kochanie, oczywiście, że nie. I bez względu na to, czego chce Nicolai, idę do niego.

Carmen złapała go za ramię.

– On mówi, że to moja wina – poskarżyła się. – Że powinnam była zamknąć drzwi i bardziej uważać.

Ojciec wyrzucił w górę ramiona z frustracją. Ciężka postać prawie straciła równowagę.

– Ta tragedia to był wypadek – powiedział – i absolutnie nie można winić nikogo, zwłaszcza ciebie. Pewnie jest po prostu zrozpaczony. Nie wie, co mówi, a potem będzie tego żałował, wiem, jak to jest. Pamiętaj o Louisie – dodał z naciskiem – wiem, o czym mówię. – Poglaskał ją po policzku. – Jest coś takiego w żalobie... – dodał. – Trudno nam myśleć racjonalnie. I z naszych ust padają słowa, których później żałujemy.

Następnie wyszedł i przeciął podwórko, wolnym krokiem dotarł na koniec pomostu. Ciemne deski skrzypiały pod sporym ciężarem.

– Jak się czujesz? – zapytał łagodnie. – Trzymasz się jakoś?

Nicolai wzruszył ramionami. Wpatrując się w samotną lilię wodną, poczuł potężną dłoń Zity na karku. Silny, mocny uścisk człowieka zdecydowanego.

– W ogóle się nie trzymam – wyznał. – Nie daję sobie rady. Siedzę tutaj i nie mam zamiaru się ruszyć.

Zita stał przez chwilę w milczeniu. Doskonale rozumiał przygnębienie Nicolaia, sam był przecież sierotą. Życie nie zawsze układało mu się tak dobrze.

– Nie wiem, co robić. – Westchnął. – Co mógłbym powiedzieć na pocieszenie, nie ma przecież nic takiego. Nie mam słów.

Próbował złapać wzrok zięcia. Usiadł obok niego na krawędzi pomostu.

– Kilka chwil nieuwagi i już – kontynuował. – Wszystko stało się tak szybko. Współczuję ci. Będziemy cię wspierać w każdy możliwy sposób, wiesz, że możesz na nas liczyć. – Podniósł głos, bardziej zdecydowany: – Masz prawo do przeżywania żałoby w spokoju. Nikt ci nie zabroni poddać się, ryczeć, wściekać i przeklinać los. Ale jedno muszę powiedzieć... – Ostatnie zdanie wybrzmiało jeszcze głośniejsze: – Nigdy, przenigdy nie wolno ci zrzucić winy na moją córkę.

Nicolai siedział przez chwilę w milczeniu. Oderwał wreszcie wzrok od lilii wodnej i spojrzał ponuro na teścia.

– O wielu rzeczach nie masz pojęcia – powiedział.

– Co to ma niby znaczyć? Teraz już musisz się wytłumaczyć.

– Nie wszystko da się wyrazić słowami – odparł Nicolai. – Można tak to ująć.

Zita poczuł się nieswojo. Nie podobał mu się kierunek, w którym szła ta rozmowa, nie rozumiał tych zaszyfrowanych wiadomości.

- Nie bądź taki tajemniczy - warknął. - Masz mi teraz powiedzieć, co ci leży na sercu, nie podobają mi się takie aluzje. Chodź, no chodź do domu, mamy dużo do obgadania. I przepraszam za to, co powiem, ale nie tylko ty jesteś w żałobie. To cios dla nas wszystkich.

Nicolai nie miał jednak ochoty na gadanie, nie wierzył w kojące i zbawienne działanie słów. Mimo to wstał niechętnie, przeszedł przez trawnik, stanął i rozejrzał się ze smutkiem. Wszystko było jakoś nowe, zmienione, nie był to znany i ulubiony krajobraz, do którego przywykł. Powinniśmy byli postawić ogrodzenie, pomyślał, śledząc chybotliwy krok teścia w drodze do domu. Ogrodzenie całej działki z zamykaną furtką. W ten prosty sposób uratowałyby życie Tommy'emu, ale teraz było za późno, najgorsze już się stało. Wszedł za Zitą do domu, pozwolił się objąć teściowej, Elsie. Zawsze była wstrzemięźliwa, jednak ta sytuacja całkowicie ją odmieniła, przytuliła go z całej siły, zalana łzami. Wyrwał się i poszedł do salonu, włączył telewizor, usiadł sztywno na fotelu i oglądał wiadomości, wpatrując się tępo w migoczące obrazy. Zawsze znajdzie się ktoś w gorszej sytuacji, pomyślał, ale co to za mizerna pociecha. Wstał ociężale i wrócił do kuchni.

- Musimy wybrać dom pogrzebowy - powiedział Zita. - Nie największy i najdroższy, wolałbym jakiś mniejszy. Centrum. Słyszałem, że są dobrzy, chociaż jest ich tylko dwóch, to niewielka firma. Kiedy można odebrać Tommy'ego?

Carmen i Nicolai spojrzeli na siebie. Żadne z nich nie znało odpowiedzi, zapomnieli zapytać.

- Pewnie są jakieś ustalone procedury na takie rzeczy – podsunął Marian. – To nie może potrwać długo, wiedzą przecież, że czekamy. Macie jakieś przemyślenia na temat pogrzebu?

- To nasze dziecko – odparł Nicolai łamiącym się głosem.

- Przepraszam, chciałem tylko pomóc. Tak to jest, że pewne decyzje musimy podjąć już, w tej chwili. Myślałem, że potrzebujecie kogoś, kto przejmie stery, i tak macie już dużo na głowie. Jak było na policji? Czy są wyrozumieli, czy traktowali was z szacunkiem?

- Węszą i dopytują – odparła Carmen. – O różne rzeczy. Przesłuchiwali nas w osobnych pokojach, to było okropne.

- Ale to na pewno tylko taka procedura. Zasady, których muszą przestrzegać w przypadku nagłej śmierci, wypadku. By dokładnie ustalić, jak to wszystko się stało.

- Ale my to już wyjaśniliśmy. Szczegółowo. Mimo to uprzedzili, że może będziemy musieli przyjść jeszcze raz. Jakby były kolejne pytania. Po sekcji zwłok. Tylko że nic tam nie znajdują, nic mu nie było. Raptem infekcja ucha, która natychmiast ustąpiła. Powiedziałam im, że z Tommym wszystko było w porządku.

Zamilkli i w ciszy jedli dania przygotowane przez Elbę.

Nicolai czuł głód, ale wziął tylko kilka kęsów, rozpacz zżerała go od środka. Zita wyszedł na dziedziniec, kręcił się niespokojnie, nie wiedząc, co robić. Czy ten ból można w jakikolwiek sposób złagodzić? Cały czas obwinał się za brakujące ogrodzenie. Nicolai wolał się wycofać, chciał być sam. Opłakiwać syna bez widzów. O północy znów wyszedł z domu i udał się nad jezioro. Usiadł na końcu pomostu i zalewał się gorzkimi łzami. Czarne lustro wody przyciągało go do siebie z nieodpartą siłą.

*

Jedenasty sierpnia, rano.

– Śniła mi się śmierć – skarżyła się. – Była tu w pokoju, w stanie całkowitego rozkładu. Cała w plamach, przegniła, z długimi żółtymi paznokciami, w życiu nie widziałam czegoś tak brzydkiego. Całą noc siedziała na narzucie i dyszała, to było absolutnie obrzydliwe. Kiedy się obudziłam, wydawało mi się, że wciąż czuję jej zapach, taki słodki smród zgnilizny. A potem coś mnie ukłuło w udo. Patrz, jest czerwone i zaczyna puchnąć.

– Osa – orzekł ze znużeniem Nicolai. – W szufladzie w łazience jest maść. Zyllokaina, przynajmniej trochę pomaga.

– Nie spałeś?

– Nie.

– Piłeś whisky?

– Tak.

– Więcej niż jedną szklanę?

– Tak. To nie twoja sprawa. Mogę chyba robić ze swoim życiem, co chcę? Jeśli mam ochotę je spierdolić, to to zrobię.

Zastanawiała się przez chwilę. Chciała powiedzieć to, co trzeba, być dobra i pomóc mu. Bo tego wymagała sytuacja. Musiała ugasić ten ogień, od którego robiło jej się tak gorąco za uszami. Zauważyła jednak pustą szklanę na stole i się zaniepokoiła. Jak mógł pić tak wcześniej rano?

– Nie poprawisz sytuacji, głodząc się i męcząc – powiedziała. – Nic nie zmienisz tym, że ciągle będziesz pijany. Nie potrzebujemy znieczulenia, musimy przez to przejść. Poza tym mamy sprawy do

załatwienia. Pogrzeb i wiele innych rzeczy. Posłuchaj mnie, potrzebuję twojej pomocy!

Milczał. Po prostu siedział, ciągnąc za frędzle koca. Oczy miał spuchnięte od płaczu, włosy w nieładzie, przez chwilę patrzyła po prostu na niego, nie wiedząc, co powiedzieć. Wreszcie poszła do kuchni, nastawiła wodę na herbatę. Musiała przecież żyć dalej. Potrzebowała powietrza w płucach, krwi napływającej do rąk i nóg, musiała być w ruchu. Usłyszała jego głos dobiegający z salonu:

– Jak myślisz, po co przeszukiwali dom?

Wyszła z kuchni i opadła na krzesło. Oblizwała palec i pogłaskała nim miejsce użądlenia, ślina powinna złagodzić swędzenie, prawda?

– Teraz nie musisz się tym przejmować – odparła, a jej głos był pocieszający. – Już i tak jest wystarczająco źle, a ty tylko pogarszasz sytuację, dręcząc się. Nie mam pojęcia, po co chcieli oglądać dom, robią przecież, co chcą.

Odrzucił koc i spojrzał na nią ponuro. Oczy, w których zawsze widziała życzliwość, nagle patrzyły na nią oskarżycielsko.

– Tommy nie był dla ciebie wystarczająco dobry – powiedział.

Carmen nie rozpoznawała jego głosu. Znów wydawał się zgorzkniały, to ją zdezorientowało.

– Wiedziałem to od zawsze – kontynuował. – Od kiedy w szpitalu na salę weszli lekarze. Ze złymi wiadomościami. Pamiętam twoją minę, jak zaczęłaś płakać, kiedy zdałaś sobie sprawę, jak źle się sprawy mają. Urodziłaś właśnie dziecko, a ryczałaś.

Carmen patrzyła na niego przez stół, wściekle drapiąc czerwoną skórę. Wpadła szybko do łazienki po maść.

– Ty też nie klaskałeś z radości – przypomniała. – Nie mogę nic poradzić na moje uczucia, jestem jaka jestem. Ale nie możesz

twierdzić, że go nie kochałam. Kochałam go. Bardzo. Bardziej, niż myślisz.

Otarła pojedynczą łzę, poruszona własnymi słowami. Jednocześnie tak dziwnie było siedzieć tu, wcześniej rano, razem z Nicolaiem, bez płaczu, zamieszania czy marudzenia Tommy'ego. Wszystko było nieskończenie ciche, jakby czas się zatrzymał, a przed nią rozciągał się nowy dzień, pełen świeżej i błogosławionej wolności.

– Oni się nie poddadzą – powiedział Nicolai. – Będą zadawać coraz więcej pytań, tacy już są. Co zrobiliśmy, czego nie zrobiliśmy, co zaplanowaliśmy. Czy go kochaliśmy i jak bardzo go opłakujemy. Jak bardzo go opłakujesz? – zapytał natychmiast, patrząc na nią wilgotnymi zielonymi oczami.

Ożywiła się trochę. Wyjaśniła wszystko, co było do wyjaśnienia. Że wyszła z łazienki i zobaczyła, że go nie ma. I tak, zajęło to trochę czasu. Tyle, że Tommy miał czas opuścić dom i przemierzyć podwórze, a potem pięćdziesiąt metrów w dół do jeziora.

– Bardzo – odparła, patrząc na jego zawziętą twarz. – Mogą mnie wzywać na kolejne przesłuchania. Mogą pytać i grzebać, ile chcą, ale ja nie mam nic więcej do powiedzenia, kompletnie nic.

Tak naprawdę, głęboko w środku, chciała być dobra. Za wszelką cenę chciała mieć go po swojej stronie. Wstała i podeszła do kanapy, siadła mu na kolanach. Pocałowała napięty, blady policzek.

– Wiem, że nie chcesz tego słyszeć – powiedziała. – Ale prędzej czy później będziemy mieli kolejne dziecko. Może dziewczynkę. Margrete lub Marię, możesz wybrać.

– Nie chcę żadnej dziewczynki. Chcę Tommy'ego.

Delikatnie przeczesала jego włosy dłonią.

- Ale nigdy go już nie odzyskasz. Teraz mamy tylko wspomnienia. Byłeś dobrym tatą, możesz być z tego dumny.

- Co robiłaś w łazience? - zapytał nagle. - Dlaczego go zostawiłaś?

Odpowiedziała szybko, po krótkim zastanowieniu:

- Robiłam małe pranie. Nie myślałam o drzwiach, musisz mi wybaczyć. Nie było mnie może z pięć minut, w tym czasie mógł zajść daleko. Nie wolno ci zwałać winy na mnie. I czy ci się to podoba, czy nie, życie toczy się dalej. Teraz musimy się skupić na pogrzebie, żeby w kościele było ładnie.

Nie chciał jej na kolanach. Odsunął ją i posadził na sofie, przeczesał palcami cienkie, gładkie włosy.

- Nie zostawia się tak małego dziecka bez opieki - wytknął z goryczą. - Zwłaszcza takiego jak Tommy. Mogłaś mnie zawołać, zająłbym się nim, kiedy ty robiłaś pranie. Że też nigdy się nie ogarniesz! Nie pierwszy raz wyszedł z domu. Po prostu przyznaj, że popełniłaś błąd, jesteś kompletnie nieodpowiedzialna.

- Pranie było chyba co najmniej tak samo ważne jak twoje rowery. To ja robiłam tutaj wszystko. Ty tylko bawiłaś się z nim wieczorem, zostawiałaś najlepszą zabawę dla siebie.

- Kto ma zadzwonić do domu pogrzebowego? - zapytał.

- Tata - odparła. - Zadzwoni do Centrum. Wyjaśni wszystko, że musimy czekać na ciało. To znaczy, jeśli nie dasz rady sam tego zrobić. Dobrze, że mamy tatę. Nie wiem, jak byśmy bez niego przeszli przez to wszystko. To jak? Napijesz się herbaty? Słyszę, że woda się gotuje.

Odmówił. Podeszedł natomiast do kredensu i wyjął butelkę whisky. Nalał sobie kolejną porcję, podniósł szklanekę i wypił.

- Nie możesz pić o siódmej rano – powiedziała przerażona.

- Mogę robić, co tylko chcę – warknął z goryczą. – Nikt nie będzie decydować, jak mam przeżywać żalobę.

*

Lubił słyszeć w pokoju czyjś oddech, nawet jeśli był to tylko pies, od czasu do czasu jego łapy drżały, gdy biegł przez rozległe przestrzenie swojego snu, goniąc zdobycz, może kota lub królika. Ciągłe sam, pomyślał Sejer, rozciągając swoje długie, muskularne ciało. Takie stało się jego życie. To nie było w planie, a jednak tak się potoczyło. Odsunął kołdrę i postawił stopę na podłodze. Zastanawiał się czasem nad zakupem pojedynczego łóżka, zwolniłoby to miejsce w jego spartańskim pokoju. Ale nigdy nie zrealizował tego pomysłu, bo w jego wyobraźni Elise wciąż spała obok, bezgłośnie na pustym miejscu, a te fantazje dawały mu łagodną, przelotną pociechę. Elise jednak złożono już do ziemi, w ciemności, i ta myśl go przygnębiała. Podeszedł do okna i odsunął zasłonę. Spojrzał na uśpione miasto, które miało się wkrótce obudzić, migoczącą misę światła między niebiesko-czarnymi wzgórzami. Wkrótce rozbłyśnie i się ożywi. Rzeka była wstęgą barwy ołowiu, upartą i silną w swej powolnej podróży ku morzu. Sejer poklepał Franka czule po głowie i poszedł do łazienki. Spojrzał na siebie w lustrze, napotkał badawcze spojrzenie. Miał oczy szare jak łupek, tak powiedziała Elise kiedyś, gdy byli jeszcze młodzi. I wcale nie miał zawrotów głowy, nie dzisiaj. Jego głowa była czysta jak liza, a myśli lekkie i wolne. Wreszcie skończyło się to, co od tak dawna nie dawało mu spokoju. Musiało się już skończyć, biorąc pod uwagę brak objawów. Frank wszedł do

kuchni i podszedł do miski, zaczął siorbać leniwie wodę z poprzedniego dnia.

– Jak myślisz, Frank? – powiedział do psa – czy to morderstwo? Założę się, że coś jest nie tak. Stawiam dwa schabowe. Chociaż jesteś już bez wątpienia gruby.

Zwierzak położył się na progu, spojrział na pana, który stał z brzytwą w dłoni. Ściany łazienki były wyłożone niebiesko-białymi kafelkami ze skaczącymi delfinami. Jakie to śmieszne, pomyślał Sejer o delfinach, ale kiedyś naprawdę wydawały się śliczne. Bo było w nich coś odpornege, coś inspirującego.

– Myślisz, że spali zeszłej nocy? – zapytał psa. – Ona prawdopodobnie spała, ale on nie. Mam nadzieję, że Snorrason znajdzie coś, co rozjaśni sytuację. Niewykluczone, bo nic mu nigdy nie umknie. Może organizm jest pełen toksyn, to byłaby zła wiadomość. Rozwiążemy to razem, umowa stoi? Masz dobry nos, a ja jestem podejrzliwy. – Pies warknął w odpowiedzi i padł na podłogę. Sejer przygotował się i założył ubranie, starannie zawiązał krawat, granatowy i jedwabny. Wiele lat wcześniej Elise wyhaftowała na tym krawacie wisienkę z cienką zieloną łodyżką. Zawsze lubiła haftować.

Pewnie już wstali, pomyślał, pogrążają się teraz w rozpacz. Wpatrując się w niebo, zanoszą gorzkie modlitwy do Boga i przeklinają los. Ale do kogokolwiek się zwrócą, nie otrzymują odpowiedzi, żadnych pocieszających słów. Carmen rozpacza, Nicolai milczy, zamknięty w sobie. Tak sobie to Sejer wyobrażał, bo przecież tak bardzo się różnili. Ze wszystkich rzeczy, które ludzie muszą przechodzić, utraty dziecka, ledwie kilkunastomiesięcznego, chyba nie da się udźwignąć. Musiała wyciągnąć martwego syna z wody,

cała w panice i lęku. Założył psu smycz i wyszedł na zewnątrz, ruszył na skos przez parking i na chodnik. Przed nimi przeszło tą drogą wiele osób, a Frank jak zwykle poszukiwał jakiejś zdobyczy. Idąc, obserwował wschodzące światło i bujną roślinność. Paprocie, osty i trybule, wierzbówka i bylica, które od czasu do czasu wywoływały u niego łzawienie. Kiedy pies zrobił swoje, Sejer wrócił do bloku, do swego mieszkania na ostatnim piętrze. Podniósł leżącą na wycieraczkę gazetę i na ostatniej stronie znalazł skromną notatkę. Szesnastomiesięczny chłopiec utonął w Damtjern. Natychmiast podjęto próby resuscytacji, ale bezskutecznie, po około godzinie stwierdzono zgon chłopca.

Umył zęby, włożył skórzaną kurtkę i wziął z biurka teczkę z dokumentami. Na razie miał tam tylko kilka skromnych stron dotyczących śmierci Tommy'ego. Zapytał Franka, czy chciałby mu towarzyszyć w pracy. W odpowiedzi pies podbiegł do drzwi i usiadł tam, machając ogonem.

– Jedziemy do Granfoss – oznajmił Sejer. – Pojedziesz z nami.

Skarre wrzucił do ust kwaśnego żelka. Cukier w krwiobiegu natychmiast go ożywił.

– Nie masz wstydu – rzekł z uśmiechem.

– Nie będę ich męczył, to grzecznościowa wizyta. By pokazać, że nam zależy. Zapytać, jak przeżyli pierwszą trudną noc. Nasz zawód bywa nieprzyjemny, mogę się z tym zgodzić. Ale jeśli mały Tommy został świadomie wrzucony do wody, ktoś poniesie konsekwencje.

– Więc klamka zapadła – podsumował Skarre. – Nie poddasz się, znam cię. Skąd u ciebie taka pewność, że coś jest nie tak?

– Cóż... Ściśle mówiąc, to ty zacząłeś, ja tylko przejąłem podejrzenie, którym mnie zaraziłeś, gdy staliśmy nad stawem. Ale Carmen Zita jest wyraźnie zdenerwowana. I nie jest przytłoczona smutkiem, chociaż ryczy jak wodospad. Ten płacz wskazuje raczej na obawy o to, co może się zdarzyć.

– Odmówiłem sekcji zwłok – powiedział Sejer z nagłą szczerością, byli już na miejscu, ale siedzieli jeszcze w samochodzie. – To znaczy, kiedy Elise zmarła. Nie chciałem tych myśli. Nie chciałem tych obrazów w głowie. Otwieranie ciała, wyjmowanie organów jest strasznie brutalne.

– Odmówiłeś? – zdziwił się Skarre. – Tak można?

– Tak – odparł Sejer. – W wielu przypadkach można. W końcu to najbliższy krewny decyduje o losie ciała. Chyba że mamy do czynienia z podejrzaną śmiercią. Wtedy rodzina nie decyduje. Ale wiesz, jak było. Nie jest tajemnicą, że zmarła na raka wątroby.

Ta otwartość zaskoczyła Skarrego. Sejer był zwykle skryty, a zwłaszcza jeśli chodziło o jego zmarłą żonę. I wszystko, co miało związek z tą tragedią. Chociaż było to dawno temu. Skarre doceniał te zwierzenia, uznał, że są oznaką czegoś, może zaufania. Znali się przecież od dawna, zaprzyjaźnili się. Starszy i młodszy, rodzaj ciepłej harmonii, która zaowocowała niekończącą się serią rozwiązanych spraw. Obaj słynęli w okolicy ze swojego stylu pracy i talentu.

– Jest wcześniej – powiedział – może jeszcze nie wstali.

– Pewnie w ogóle nie spali – odparł Sejer. – Nie wykluczam, że siedzą i czekają. Wiesz, taki jest los kłamcy: ciągle czekać na zdemaskowanie.

Carmen Cesilie miała na sobie krótkie dżinsowe szorty i sweter z Królewną Śnieżką i siedmioma krasnoludkami. Znów sprawiała wrażenie, że jest jeszcze dzieckiem. Na widok dwójki mężczyzn na progu cofnęła się o krok i uniosła głowę.

– Co teraz? – chciała wiedzieć. – Coś nowego o Tommym? Już, po jednej nocy?

Sejer wyciągnął rękę, a ona ją ujęła, ale uścisk Carmen był słaby i niechętny.

– Zaprosi nas pani do środka? – spytał spokojnie Sejer.

Wycofała się do przedpokoju.

– Tak, oczywiście, proszę wchodzić. Tata zaraz tu będzie – dodała, jakby chciała zasugerować, że ma ograniczony czas i że są średnio mile widziani. Że właściwie ich wizyta jej nie na rękę, że bardzo chce, żeby sobie poszli, zauważyli jej niechęć, dystans w zimnym spojrzeniu. – Pomoże nam z pogrzebem – dodała. – Nie mamy też pieniędzy. Nie mamy prawie nic. – Smutno wzruszyła ramionami. – Tata prowadzi firmę i załatwi kilku tymczasowych pracowników do Zita Quick. Nikt z nas nie może teraz pracować, po tym wszystkim, co się wydarzyło. Proszę, zapraszam do kuchni. Ale muszą panowie przestać mnie dręczyć, zaczynam mieć dość.

Weszła przed nimi do domu. Usiadła przy kuchennym stole, zrezygnowanym spojrzeniem wskazała puste krzesła. Znów otarła dłonią łzy, które popłynęły potokiem.

– Co się z nim dzieje teraz? – zapytała. – Przeprowadzono sekcję zwłok? Leży teraz w takiej szufladzie w kostnicy?

Sejer skinął głową.

– Tak. Prawdopodobnie minie trochę czasu, zanim dostaniemy wszystkie wyniki.

- Ale my byśmy chcieli jak najszybciej zorganizować pogrzeb - powiedział Nicolai zaniepokojony. - Jak długo musimy czekać?

- To zależy od dochodzenia - odrzekł Skarre. - Od tego, czy cokolwiek znajdziemy. Obiecujemy informować państwa na bieżąco o wszystkim, co się dzieje.

- Ale czy możemy zacząć planować uroczystość? - spytała Carmen. - Jest tak wiele do ustalenia. Muzyka, kwiaty i inne takie rzeczy. Zostanie pochowany przy kościele Møller, czy możemy wybrać miejsce? Tam na zboczu rośnie kilka ładnych brzoź. Mamy tam już jedną kwaterę. A może po prostu losowo coś nam przydzielią?

- Spodziewam się, że przydzielią państwu miejsce - powiedział Skarre. - Ale na pewno będzie ładne. Jestem pewien, że Tommy dostanie wszystko, co najlepsze.

- Moja siostra, Louisa, leży pod tymi drzewami - ciągnęła Carmen. - Byłoby miło, gdyby mogli leżeć blisko siebie, są spokrewnieni. Ciocia Luisa... - Nagle się uśmiechnęła. - W każdym razie zapytam księdza, a nuż spełni to życzenie. To znaczy, muszą przecież wysłuchać, jakie mamy zdanie.

- Tak, proszę tak zrobić - odrzekł Sejer. - Dobrze słyszeć, że mają państwo pomoc przy pogrzebie. Rzeczywiście, to jest dość droga sprawa, natomiast dostaną państwo zasiłek, nie jestem pewien kwoty, jest chyba uzależniona od dochodów, ale zawsze to coś. Muszą państwo troszczyć się o siebie nawzajem w smutku - dodał łagodnie. - Inaczej będą państwo bardzo samotni, proszę mi wierzyć.

- Co pan wie o żałobie? - wybuchnął nagle Nicolai.

- Wszystko - odrzekł twardo Sejer. - Zarówno prywatnie, jak i zawodowo, częścią mojej pracy jest również opieka nad innymi. Każdy przeżywa stratę na swój sposób, muszą państwo o tym pamiętać. Czy mogę zapytać o coś jeszcze? Jeśli odpowiedź nie będzie dla państwa za trudna. Czy Tommy preferował któreś z państwa? To znaczy, czy był bardziej przywiązany do jednego z rodziców?

- Tommy był synkiem tatusia - oznajmił stanowczo Nicolai. - I jestem z tego dumny.

- Tak, zawsze tak jest - dodała Carmen - tata jest taki dobry. Bo nie ma go cały dzień. Stąd wielka radość, gdy w końcu wieczorem wróci do domu. I ma energię do zabawy. Podczas gdy ja dźwigałam całą odpowiedzialność, przez cały dzień. Ostatecznie kończą się pomysły, a Tommy był też bardzo uparty, nie zawsze było łatwo utrzymać go w ryzach. Sama jestem też córeczką tatusia, więc wiem, jak to jest. Musiałam pogodzić się z tym, że z Nicolaiem i Tommym było tak samo.

- Mam prośbę... - powiedział Sejer. - Czy możemy przyjść na pogrzeb Tommy'ego?

- Tak - odparła Carmen. - Oczywiście, że będą panowie mile widziani w kościele. Ale proszę przyjechać normalnym samochodem. I żaden z panów nie może być w mundurze - zastrzegła, ruchem głowy wskazując Skarrego. - Po prostu nie chcę, żeby ludzie zaczęli gadać, wiedzą panowie, jak to jest, mieszkamy w małej miejscowości.

Sejer obiecał spełnić te życzenia.

- Proszę dać nam znać, jeśli potrzebują państwo pomocy psychologa - dodał łagodnie.

Nicolai potrząsnął głową.

- Nie mam za wiele do powiedzenia. Straciliśmy dziecko i rozpaczamy, co może z tym zrobić psycholog, jak może nam pomóc, to po prostu nonsens. I proszę przynajmniej nie proponować mi terapii grupowej. Takie siedzenie i wywnętrzanie się przed innymi nie wchodzi w rachubę. Z mojego punktu widzenia smutek jest sprawą prywatną. Nawet jeśli jest więcej osób w takiej sytuacji, Tommy był wyjątkowy. Pod każdym możliwym względem. Tylko my straciliśmy takiego chłopca.

- Rozumiem - odrzekł Sejer - ale gdyby pan zmienił zdanie, proszę mnie powiadomić. Zapewniam, że od innych możemy wiele zyskać. Wymiana doświadczeń może dużo dać, nawet jeśli teraz pan tego nie widzi. Wielu wędrowało tym szlakiem przed panem, dobrze iść wydeptaną ścieżką. Teraz zostawimy państwa w spokoju. Powiadomimy państwa, gdy tylko będzie można odebrać ciało.

Carmen wyszła za nimi. Stała przez chwilę w drzwiach, wreszcie spytała:

- Co oznacza ta wizyta? Proszę o szczerą odpowiedź.

Sejer położył dłoń na jej ramieniu.

- Tyle, że nam zależy - rzekł - absolutnie wszystko, co robimy, leży w najlepszym interesie Tommy'ego.

*

Knajpka Mariana Zity znajdowała się przy brukowanym deptaku miasta, wciśnięta między targ a 7-Eleven. Nad oknami wisiały czerwone markizy, a nad drzwiami napis „Zita Quick”. W środku były miejsca dla dwudziestu osób, w powietrzu unosił się silny zapach

przypraw i smażonego jedzenia. Za ladą stała dziewczyna. Miała na sobie czerwony fartuch i siatkę na włosach.

– Zapraszam – powitała ich. – Na miejscu czy na wynos? Krzesła tutaj są całkiem dobre, ale te na zewnątrz są zrobione z kutego żelaza, mamy na nie sporo skarg. Tak tylko podpowiadam. Zapraszam – powtórzyła, a jej policzki poczerwieniały, być może dlatego, że Skarre wyglądał tak surowo w swym nieskazitelnym mundurze, z wielkimi blond lokami pod czarną czapką.

– Czy coś się stało?

Sejer skinął głową w stronę stolików w najgłębszej części sali.

– Może – odrzekł z poważną miną. – Czy możemy usiąść z panią? Potrzebujemy kilku minut.

Skinęła głową. Wyszła zza lady, przeszła przez salę do stolika. Jest w wieku Carmen, pomyślał Sejer, może trochę starsza, ale raczej w okolicach dwudziestki.

– Tak, to znaczy... – zaczęła trochę niepewnie – tak sobie pomyślałam.... Czy chodzi o dziecko Carmen i Nicolaia?

Sejer spojrzał na nią życzliwie. Z jej szyi zwisał medalion, być może zawierał zdjęcie kogoś, kogo kochała. Teraz siedziała, bawiąc się nim, zdenerwowana i niespokojna.

– Tak, zgadła pani – odparł. – Chcemy tylko porozmawiać krótko o tym, co wydarzyło się w Damtjern. Wie pani, zawsze tak robimy, gdy ktoś umiera gwałtowną śmiercią. A zwłaszcza jeśli chodzi o dziecko.

– Ale to chyba był wypadek? Spadł z pomostu, prawda? Papa Zita tak powiedział wczoraj, zadzwonił i powiedział, że Tommy wyszedł z domu i wpadł do jeziora. Prawie nie zrozumiałam, co mówił, jakby kompletnie nie był sobą, nigdy nie widziałam go w takim

stanie, to było przerażające. Zawsze był taki duży i silny, a teraz płakał jak dziecko. Kilka razy musiałam prosić o powtórzenie i trudno było mi wymyślić odpowiedź. Szczerze mówiąc, nawet nie pamiętam, co odpowiedziałam, odebrało mi mowę z wrażenia. Tak, mówiąc wprost, do niczego się nie nadawałam.

– Jak dobrze zna pani Carmen i Nicolaia? – zapytał Sejer.

Patrzyła na nich oczami brązowymi jak kasztany, wydawała się prawdomówna i bezpośrednia.

– Niezbyt dobrze, jestem tu tylko na zastępstwo – powiedziała w końcu. – Pracuję, kiedy ktoś jest na chorobowym, urlopie i tak dalej. A dzisiaj jestem tu właśnie z powodu tego, co się wydarzyło. Ale tak, rozmawiam z nimi od czasu do czasu i współczuję im obojgu. Brak mi słów, niemożliwe, że to się tak skończyło. Tommy był superdzieckiem. No, wiadomo, mimo że był inny. Jest coś dobrego w takich dzieciach. W jakiś sposób domagają się własnego miejsca w naszych sercach.

– Ładnie powiedziane – rzekł Sejer. – Byłoby miło, gdyby każdy patrzył na to w ten sposób. Czy może pani coś powiedzieć o tym, jakimi byli rodzicami? Są tacy młodzi. Jakim ojcem był Nicolai? Proszę opowiedzieć mi wszystko, co pani wie.

– Był naprawdę nakręcony na ojcostwo. Chyba nigdy się nie złościł, z żadnego powodu. Uwielbiał Tommy’ego takiego, jaki był.

– A Carmen?

– Ach, Carmen... Myślę, że była przygnębiona. I to też rozumiem, jest to przecież bardzo trudne. Może po prostu się wstydziła, nigdy o tym nie mówiła, no, w ogóle nie mówiła o Tommym, pomyślałam nawet, że to dziwne. Ludzie są przecież zwykle tak zajęci swoimi dziećmi, a ona nic. Jak ktoś wspomniał o chorobie Tommy’ego, to od

razu zmieniała temat, zaczynała mówić o pogodzie czy o czymś tam. Przykro mi to mówić, ale tak właśnie jest. Dużo o tym myślałam ostatnio. Mieć dziecko, z którego zawsze trzeba się wszystkim tłumaczyć. To musi być takie trudne i wyczerpujące, nigdy od tego nie uciekniesz, nigdy się nie kończy, ciężko to sobie wyobrazić. Odmieniec. Inny, powolny i niesamodzielny. I to już na zawsze.

Wypuściła powietrze i zamilkła, zmieniając pozycję na krześle. Jakby nagle poczuła się nieswojo na myśl o tym, do czego właśnie się przyznała. Ale rozmawiała przecież z policją, wiedziała, że musi powiedzieć prawdę, choćby nie wiadomo co, więc po prostu wyrzuciła ją z siebie.

– Ludzie widzieli, że coś z nim jest – mówiła – wydaje mi się, że Carmen nienawidziła odpowiadać na pytania. Ale kochała go przecież, na swój sposób. Wszyscy ludzie kochają swoje dzieci.

– My też tak uważamy – odrzekł Skarre. – No więc... Teraz będzie miała pani więcej pracy. Nie wiadomo, kiedy oni wrócą do restauracji, prawda?

– Tak, pomogę, jak się da, i tak potrzebuję pieniędzy. To takie smutne. Nie wiem nawet, co powiedzieć. Że też dzieją się takie rzeczy, to absolutnie straszne.

– Czy kiedykolwiek go pani pilnowała? Jako opiekunka do dziecka?

– Tak, faktycznie tak było, ale tylko raz. Byłam u nich w domu nad Damtjern. Papa Zita skończył pięćdziesiąt lat i urządzono dla niego wielkie przyjęcie w lokalu obok wodospadu Granfoss. Chcieli oszczędzić Tommy'emu tego zamieszania. Mieli zespół i takie tam, chyba myśleli, że to będzie dla niego za dużo hałasu.

Sejer zamyślił się na moment.

- Jak ma pani na imię? - zapytał po chwili.

- Elisabeth.

- Elisabeth... No cóż. Czy mogę zapytać o coś zupełnie osobistego?

- No tak. Jakoś to zniosę. - Uśmiechnęła się lekko. Poprawiała siatkę na włosy i złożyła ręce na stole, siedząc i czekając jak uczennica.

- Czy ma pani dzieci?

- Nie, nie mam dzieci. Nie mam nawet chłopaka.

Skarre spojrział na nią jasnoniebieskimi oczami.

- Ma pani na myśli, że teraz, dzisiaj, nie ma pani chłopaka?

- No tak, z ostatnim zerwałam w piątek. - Teraz zaśmiała się perliście. A śmiech wydawał się wyzwajający, mimo całego tego mroku.

- No dobrze - powiedział Sejer, bo chciał wrócić do tematu. - Gdyby spodziewała się pani dziecka... Pani i pani ewentualny partner... którego obecnie pani nie ma, no ale... jakiś partner. I lekarz zrobiłby amniopunkcję, jak to się dzisiaj robi u kobiet, które uważa się za znajdujące się w grupie ryzyka. Pani to nie dotyczy, no ale założmy. Założmy, że dowiedziała się pani, że dziecko, które ma pani urodzić, ma zespół Downa. Czy zdecydowałaby się pani na aborcję? A może mimo to postanowiłaby kontynuować ciążę? Przepraszam, że jestem taki niedelikatny, zrozumiem, jeśli pani nie odpowie, jestem po prostu ciekawy.

Elisabeth nagle zamilkła. Widzieli, że naprawdę myśli, że to trudne pytanie.

- Proszę odpowiedzieć szczerze - wtrącił Skarre. - Na ile pani jest w stanie. Zapewniam, że nie będę pani oceniał.

– Mam nadzieję, że nie będę musiała podejmować takiej decyzji – powiedziała w końcu. – To takie okropne. Ale myślę, że dokonałabym aborcji. To jest w końcu wybór na całe życie.

Sejer i Skarre skinęli głowami.

– A co z Carmen i Nicolaiem? Czy wiedzieli wcześniej o diagnozie?

– Nie, na pewno nie. Jeśli tak, to trzymali to w tajemnicy przed światem, ale my prawdopodobnie byśmy się o tym dowiedzieli. Po porodzie też nikt o tym nie mówił, wychodziło to stopniowo. Ale Papie Zicie było bardzo przykro, bo martwił się o Carmen, to jest jasne. Bo przecież mają tylko ją. Poza tym dziewiętnaście lat temu stracili jej bliźniaczkę. A teraz wszystkie smutne wspomnienia wróciły. Boże. Nie wyobrażam sobie tego całego nieszczęścia. – Obracała medalion między palcami, wydawała się smutna.

– Bardzo pani dziękuję – powiedział Sejer. – Teraz chcielibyśmy zamówić hamburgera, bo nie jedliśmy nic od śniadania. I proszę, żeby przygotowała go pani z miłością, bo wtedy smakują najlepiej.

Zaśmiała się i odsunęła krzesło. Zniknęła za ladą. Chyba poczuła ulgę, że rozmowa wreszcie się skończyła, ale zauważyli też, że dziewczyna ma zmarszczone czoło, jakby martwiła się tym, co powiedziała. Jakby komuś zaszkodziła. Kiedy była zajęta szykowaniem jedzenia, Sejer podszedł do ściany, na której wisiały wszystkie dyplomy. Najlepszy burger w mieście, 2006 rok. Najlepszy burger w mieście, 2007 rok. I tak dalej, w długim rzędzie. A potem mosiężny szyld: „Otwarte 24 godziny”.

– Co ty byś zrobił? – zapytał Skarre, gdy czekali na jedzenie. – Z takim dzieckiem.

Sejer się zamyślił. Czuł zapach smażonego burgera rozchodzący się po sali.

– Musiałbym posłuchać Elise. Wziąć pod uwagę jej uczucia. Cokolwiek myślimy o równouprawnieniu, to matka jest najbliższa dziecku. Ale może w głębi duszy liczyłbym na aborcję. Teraz to ty mnie męczysz, szczerze mówiąc, ale mam za swoje. I tak, myślę, że to straszne stać przed takim wyborem. Zresztą wiele ich musimy dokonywać. Ale natura nakazuje nam umrzeć przed dziećmi, a trudno umrzeć wcześniej niż dziecko, które potrzebuje pomocy przez całe życie. A ty? Czy postrzegałbyś to jako wolę Bożą i czułbyś się zobowiązany do wychowania dziecka z zespołem Downa?

– Dobre pytanie. Nie odpuszczasz mi. W zasadzie to myślę, że też odrzuciłbym takie dziecko. Ale miałbym straszne wyrzuty sumienia.

*

Czternasty sierpnia, przedpołudnie.

Letnie upały nie ustawały, ale nadciągała gwałtowna burza, a na niebie piętrzyły się ciężkie czarne chmury. Sejer lubił burze, ten intensywny dramat natury, był też już bardzo zmęczony upałem, który tego lata nie odpuszczał. Upałem duszącym, przez który miał ciężką głowę. Teraz tęsknił za świeżością, niższą temperaturą i obfitą, wyzwalającą ulewą.

Patolog Barty Snorrason miał duże doświadczenie – pracował w Instytucie Medycyny Sądowej od ponad trzydziestu lat. Mówił po norwesku ze świetnym akcentem, z wibrującymi, ostrymi spółgłoskami, jak większość Islandczyków. Wysoki, rudowłosy mężczyzna cieszył się wielkim autorytetem i słynął z dokładności. Sejer wielokrotnie pokładał w nim zaufanie i cenił jego zawile

i odkrywcze wnioski w sprawach małych i dużych. Snorrason był też samotnikiem i zwykle można go było znaleźć w gabinecie. Siedział pochylony nad stosem papierów, z okularami zsuniętymi na nos, skupiony całkowicie. Po sekcji małego chłopca, z której właśnie sporządził szczegółowy raport, był bardzo przejęty. Nie umiał się do tego przyzwyczaić, martwe małe dzieci za każdym razem wprawiały go w depresyjny nastrój, a ten długo go nie opuszczał.

– W tym zawodzie skromność nie ma sensu – zaczął poważnie Sejer – dlatego liczę na jakieś odpowiedzi. Wiem, że masz tendencję do ustalania priorytetów zgodnie ze swym sumieniem. Kobiety i dzieci mają pierwszeństwo, prawda?

Snorrason wskazał krzesło.

– Tak, przyłożyłem się do pracy. Jedno wiemy na pewno: żył, gdy wpadł do jeziora, w płucach ma mnóstwo wody, mój Boże, jak ten biedak walczył. W panice wciągnął tyle tej wody. I oczywiście wykonałem wiele testów. Na wynik zapewne będziecie musieli chwilę poczekać, przed nami w kolejce sporo osób. A ty, ustaliłeś coś? Wyciągnąłeś coś więcej od rodziców?

– Nie – odrzekł Sejer – powtarzają tę samą historię. Carmen obstaje przy swoim, jeśli chodzi o bieg wydarzeń. Ale tłumaczy się z wahaniem, jakby sama nie miała pewności, co się działo. Mówi na przykład: nie jestem pewna, ale chyba czyściłam rybę. To akurat okazało się prawdą. Ale czuję jakiś niepokój. Wiesz, jak to jest, jak się włączy intuicja. Ta dziewczyna z natury jest próżna i egzaltowana, łatwo zwątpić w jej słowa. To prawie jak zapach, jakaś taka atmosfera. Z wiekiem, podobnie jak ty, stałem się sprytnym, starym lisem.

Snorrason zdjął okulary i odłożył je na biurko. Przetarł oczy, jakby był zmęczony. Może i tak się czuł, nie należał przecież do najmłodszych. Emerytura nadal nie wchodziła w grę, mimo że miał już sporo ponad sześćdziesiąt lat. Dużą część swojej pracy spędzał również na uczeniu młodszych, tych, którzy pewnego dnia mieli przejąć zadania dla niego już za trudne. Wstał i poszedł do zielonej szafki na akta, wyciągnął z niej wstępny raport i zabrał się do czytania.

– Tommy Nicolai Zita. Wiek, szesnaście miesięcy. Dobrze odżywiony i prawdopodobnie zdrowy, oczywiście z wyjątkiem zespołu Downa. Nie jest to jednak choroba, tylko wada genetyczna, która prowadzi do wtórnych schorzeń i trudności. Nie miał problemów z sercem, jak to bywa u wielu osób z zespołem Downa, był w dobrej formie. Nie ma powodu sądzić, że nie poradziłby sobie całkiem dobrze w życiu, pomimo pewnych wyzwań. Na malutkim ciałku nie ma widocznych urazów. Żadnych ran, żadnych złamań, żadnych siniaków, żadnego krwawienia wewnętrznego. Toksyny? Nie wiem, jest za wcześnie, by to stwierdzić. Próbkę zostały pobrane i wysłane do laboratorium, czekamy na wynik.

Spojrzał poważnie na Sejera.

– Biedny, nieszczęsny mały człowieczek. Śmierć przez utonięcie nie jest łagodna, nie następuje też szybko. Woda pali w płucach jak ogień, to potwornie bolesne. Więc bierzesz pod uwagę możliwość, że wydarzyło się tu jakieś przestępstwo?

– Tak – odrzekł Sejer. – W panie Carmen jest coś, co mnie niepokoi. Jest silna, uparta i asertywna, ryczy jak wodospad, ale wydaje się to udawane. Pewnie wiesz, co mam na myśli, jest w tym coś brzydkiego.

Snorrason odłożył papiery.

- Masz na myśli brak szczerego żalu?

- Cóż... Trzeba być ostrożnym w osądzie, jeśli chodzi o żalobę. Nie ma żadnych zasad, którymi można by się kierować, żadnej ścisłej wiedzy. I każdy przeżywa stratę inaczej. Jedni chcą szybko zapomnieć i iść dalej, inni zagrzebują się we wspomnieniach. Ale jest w niej coś dziwnego, coś nieszczerego. Jak powiedziałem, płacze na zawołanie, łzy leją się strumieniami. Kiedy zadaję szczegółowe pytania, mocno się denerwuje i od razu przybiera postawę obronną, walczy zaciekle, aby utrzymać mnie na dystans. Ojciec, Nicolai, jest bardziej powściągliwy i wydaje się autentycznie wstrząśnięty. Więc doszło do przestępstwa, być może stoi za tym ona. Takie jest moje wstępne podejrzenie. Ale nie jest ono wiele warte bez dowodów. Szczerze mówiąc: mam nadzieję, że nie dokonasz żadnych odkryć potwierdzających moje przypuszczenia. Ale wiesz, chłopiec był przecież chory. Może to jest motyw sam w sobie?

- Wiem, czego się obawiasz, ale to może być trudne do udowodnienia. Jak dotąd, nie znalazłem niczego, co potwierdzałoby twoje przypuszczenia. To smutne, ale prawdziwe. Oczywiście są rzeczy, które nam umykają, choćbyśmy byli nie wiadomo jak bystrzy. Nie znamy tych liczb, ale na pewno są wysokie. Pewna część wypadków to morderstwa z premedytacją, oczywiście są tacy, którym uchodzi to na sucho. Ale rozpaczanie nad tym nie ma sensu, obaj robimy, co w naszej mocy. Mamy do czynienia z małym dzieckiem, musimy pamiętać o swoich obowiązkach i czujnym okiem szukać wszelkich nieprawidłowości. - Założył okulary na nos. - Świadomie i dobrowolnie utopić dziecko, stać i przyglądać się tej walce w wodzie, to wymaga pewnej dozy szaleństwa - dodał. -

Trzeba mieć, mówiąc wprost, lodowate serce. Jak myślisz, czy matka chłopca chowa w sobie taką brutalność? W końcu ma dopiero dziewiętnaście lat.

– Za wcześnie, by to określić – odparł Sejer. – Dopiero kilka razy z nią rozmawiałem.

Snorrason podjechał krzesłem do biurka, aby zasygnalizować, że ma dużo pracy.

– Skontaktuję się z tobą, gdy tylko dostanę wyniki z laboratorium.

*

Czy stała tam i patrzyła?

Czy wyniosła go nad wodę, podczas gdy Nicolai był zajęty rowerem? Czy przeszła przez trawnik na pomost, wrzuciła go tam, gdzie woda była głęboka, patrzyła, jak walczy i się szarpie? Czy przyglądała się temu martwymi oczami, z lodowatym sercem? Utopić szczura, pomyślał Sejer, nawet to przepelniłoby mnie wstrętem. Krzyki, udręka, wycie, konwulsje i panika, niezależnie od tego, czy ludzkie, czy zwierzęce, były trudne do zniesienia. Nastawił płytę Moniki Zetterlund. Znalazł paczkę tytoniu w szufladzie w kuchni i zabrał się do skręcania grubego papierosa. Palił tylko jednego, wieczorem, starał się ograniczać niezdrowe nawyki. I po całym dniu znoju musiał napić się whisky, która rozgrzewała serce, choć sama była w temperaturze pokojowej. Frank leżał u jego stóp, ziając szybko, z pyska wystawał mały różowy język. Elise, pomyślał, spoglądając na jej zdjęcie na ścianie. Whisky wpędziła go w sentymentalny nastrój, a nikotyna oszołomiła, lekko zakręciło mu się w głowie. Elise, widzisz mnie teraz? Czy widzisz, że dobrze sobie radzimy, Frank i ja? Wiesz, każdemu czasem zdarzają się ciężkie dni,

dni, których nie można znieść, dni, które trudno przetrwać. Bo nie ma życia bez przeciwności, dni bez zmartwień, lat bez bólu, nocy bez samotności. W życiu każdego człowieka są zarówno udręka, ponure myśli, jak i iskiere nadziei. Tak to się w nas cały czas zmienia, pomyślał, wszyscy idą przez burze, całe życie. Teraz Carmen i Nicolai byli w oku cyklonu. Zaciągnął się papierosem, wciągając dym do płuc. Nadal był trochę oszołomiony, jakby unosił się lekko, pływał w powietrzu, poza swoją świadomością. Za oknami panował zmierzch, zbliżała się noc, a on witał ją jak starą znajomą. W oddali usłyszał słaby grzmot, nadciągała burza. Nie mam się teraz wcale tak źle, pomyślał, sącząc letnią whisky. W każdym razie jestem dość zadowolony z obecnego stanu rzeczy. Oby tylko zdrowie go nie zawiodło, oby tylko te zawroty głowy nie uniemożliwiły mu funkcjonowania. Czemu mnie miałyby się upiec? Nigdy nie myślałem, że ominą mnie nieszczęścia, które tak często dotyczą nas, ludzi. Każdego dnia los powala kogoś na ziemię, brutalnie i bezlitośnie, i pozostawia bez nadziei. Prędzej czy później padnie na mnie. Ej, powie los, tak łatwo ci szło przez długi czas, ale teraz twoja kolej. Musisz wstać i walczyć, teraz albo nigdy.

Frank poszedł do kuchni się napić. Sejer w salonie słyszał chleptanie, było w nim coś kojącego. Whisky rozgrzała mu żołądek i uspokoiła ciało. Nic dziwnego, że ludzie uzależniają się od alkoholu, pomyślał, on pomaga na wszystko. Na ból, nieszczęście i smutek, zmartwienia i lęki, na wszelkie trudności i kłopoty. Alkohol wypełnił jego krwiobieg, rozgrzał go i rozluźnił. Sejer wstał i podszedł do okna, spojrzął z góry na miasto, które tak bardzo kochał. Rzekę ze wszystkimi mostami, pięknie oświetlony browar, okazały kościół. I ruchliwy port, do którego wpływały promy pełne

samochodów z zagranicy. Miały one wkrótce toczyć się po norweskich drogach w niekończących się korkach – hondy, toyoty i mercedesy. Pociągi wjeżdżające i wyjeżdżające ze stacji, od czasu do czasu łódź ze świecącymi latarniami na rzece. Odstawił szklanke na kuchenny blat i ruszył do łazienki umyć zęby. Potem poszedł do łóżka, przykuśtykał Frank, by położyć się na narzucie, jak miał w zwyczaju, i tak razem leżeli, nie śpiąc, przez piętnaście minut. Powoli zapadli w głęboki, spokojny sen.

*

Piętnasty sierpnia, popołudnie w Granfoss.

Carmen chodziła z plastikowym workiem i zbierała zabawki ze wszystkich zakamarków domu, pluszowego misia, smoczek i gryzak, żółty plastikowy traktor i czerwony wóz strażacki, rzeczy, którymi zwykle bawią się chłopcy. Zabawki do ciągnięcia i pluszaki, lego i Playmobil, klocki i zwierzęta. Następnie podeszła do komody w sypialni. Wyciągnęła szuflady, zaczęła wkładać do worka odzież dziecięcą. Jej ruchy były szybkie i sprawne, nie wahała się ani sekundy, ubrania Tommy'ego zostały sprawnie złożone i schowane.

– Możemy to przekazać do sklepu charytatywnego. – Podeszła do sprawy praktycznie. Nicolai stał w drzwiach i patrzył na nią z szeroko otwartymi oczami. W środku kłębiły się uraza i wściekłość. Nie mógł uwierzyć, że to się dzieje, że zwinęła rzeczy Tommy'ego, pozbyła się każdego śladu i okruszka, jeszcze zanim złożyli go w ziemi.

– Mogłaś poczekać – zaprotestował z rozpaczą.

Ale Carmen nie słuchała, kontynuowała sprzątanie.

- Zaraz przyjadą z zakładu pogrzebowego - powiedziała - musi tu jakoś wyglądać. Poza tym nie mogę już znieść tych wszystkich jego rzeczy, porzucanych tutaj, przypominają mi o nim. A przecież on nie wróci.

- Powiedziałaś, że możemy mieć kolejne dziecko - zauważył - że moglibyśmy mieć dziewczynkę. Zmieniłaś zdanie? Te wszystkie ubrania i zabawki mogą się nam wtedy przydać. Tak samo wózek i łóżeczko, i to wszystko, czemu to robisz?

Kontynuowała pakowanie ubrań do worka. Większość była niebieska lub biała, spodnie, swetry i kombinezony, rękawiczki i czapki. Nic nie odpowiedziała na jego pytania; zaciskając zęby, całkowicie go ignorowała. To ja jestem matką, pomyślała z goryczą, to ja decyduję.

Nicolai próbował się pozbierać, stojąc w otwartych drzwiach. Czuł się jak tchórz, bo nie potrafił skonfrontować Carmen ze wszystkimi szalejącymi w nim emocjami. W głębi duszy czuł niewytłumaczalny strach, szybsze bicie serca, głębokie poczucie, że coś jest nie tak. Nie był pewien, co się stało dziesiątego sierpnia. A jego wyobraźnia szalała. Tommy, pomyślał, mój mały. Pewnie jeszcze się spotkamy w lepszym świecie. Tak sobie mówił w duchu, chociaż nie był przecież wierzący, bo nie mógł znieść alternatywy - myśli, że stracił syna na zawsze. Przez szesnaście miesięcy miał szansę być oddanym ojcem. Podnosił dziecko i podrzucał je w powietrze, aż piszczało z radości, grał z nim piłkę i wieczorem śpiewał kołysanki. Ciepłe ciało blisko policzka i łagodny, mydlany zapachu świeżo wykąpanego chłopczyka. Tommy był w jego oczach, mimo poważnej wady genetycznej, uosobieniem najlepszego małego człowieka na świecie, radości i szczęścia.

- Może uda nam się sprzedać wózek - powiedziała Carmen, patrząc na niego gniewnie. - Pewnie dostaniemy za niego niezłą sumę, jest jak nowy.

- Ale przecież... - Otworzył usta zaskoczony. - Ten wózek to prezent od twoich rodziców, ogarnij się, co oni powiedzą?

- Nie ma się co martwić na zapas, tata mnie zrozumie. Poza tym jest niebieski. A następnym razem możemy mieć dziewczynkę.

Wrzuciła do worka kolejne rzeczy. Był już prawie pełny. Zwykle, kiedy tak się schylała, wypinając krągły tyłek, budziła w nim gorącą żądzę. Teraz nie czuł nic poza apatią. Podniosła się i przerwała na chwilę. Odgarnęła jasne włosy z oczu i wsparła dłonie na biodrach. Na powabnych krzywiznach, które dotychczas tak lubił.

- Może powinniśmy go skremować? - spytała. - Dostaniemy urnę i pewnie moglibyśmy zabrać ją ze sobą do domu. Wtedy będzie tutaj z nami, co o tym myślisz?

Nicolai spojrział na nią z przerażeniem. Zatoczył się i musiał oprzeć o framugę. Spalenie maleńkiego Tommy'ego na popiół, nie, to nie wchodziło w rachubę.

- Pochowamy go w ziemi - rzekł z rozpaczą. - Nie mów takich rzeczy!

Znów wypięła pupę i skupiła się na dolnej szufladzie.

- Tak tylko chciałam o tym wspomnieć - powiedziała - bo przecież jest taka możliwość. Też nie jestem za kremacją, chciałam tylko wiedzieć, co o tym sądzisz. Boże, musimy przecież być w stanie rozmawiać o różnych rzeczach, nie bądź taki przewrażliwiony!

- I tak nie obchodzi cię, co sądzę - odparł. Łzy napierały, szczypały pod powiekami. - Nie rozumiem cię - podjął po chwili. - Odłóż ten worek, wychodzimy. Pójdziemy na plażę, muszę popływać.

Kontynuowała opróżnianie dolnej szuflady, chciała skończyć. Pomysł pójścia na plażę bardzo jej się spodobał, ale najpierw musiała iść do łazienki, bo mogli kogoś spotkać, a zależało jej, jak zawsze, by dobrze wyglądać. Nawet teraz, chociaż wszystko było takie trudne, dbała o zachowanie pozorów.

Wyruszyli więc ścieżką na plażę, trzymając się za ręce, jak zakochana młoda para. W nocy mocno grzmiało, a potem w okolicy spadły ulewne deszcze. Teraz chmury odpłynęły, wszystko było nowe i świeże, chociaż powrócił upał, który i tak już trwał bardzo długo. Słońce paliło niemiłosiernie z lekko zamglonego nieba. Mocno trzymał jej dłoń, ścisnął ją tak, że aż zabolalo. Pod dzinsy włożył kąpielówki, wiedział, że przepłynięcie dłuższego dystansu sprawi mu ulgę.

– Myślisz, że skończyli już sekcję? – spytała Carmen. Ścisnęła lekko jego dłoń, jakby chciała złagodzić efekt tego poważnego pytania.

– Obiecali zadzwonić – odparł. – Nie mamy żadnych informacji. Sam nie wiem. Nic przecież nie znajdą. Szkoda, że nie dało się tego uniknąć, ale nie ma sensu protestować, to oni decydują.

I znów mocno ścisnął jej dłoń.

– Przepraszam – powiedział od razu.

Carmen spojrzała na niego i odwzajemniła uścisk. Miała na sobie pierścionek z czerwonym kamieniem, którego ostrą krawędź wyraźnie wyczuł w dłoni.

– Za co przepraszasz?

Nicolai przyspieszył, ją też do tego zmuszając.

– Wiem, że jestem ciężarem – wyjaśnił – że marudzę. Ale po prostu jestem zupełnie bezradny w te sytuacji. I nie chcę teraz

kolejnych dzieci, tak dla twojej wiadomości. Nie zaczynaj nawet rozmowy o takim zastępstwie, bo żadne zastępstwo nie jest możliwe.

Carmen potrząsnęła głową, zrezygnowana i przygnębiona.

– Pokochasz też nowe dziecko – powiedziała. – Znam cię. Jesteś bardzo dobry. Jesteś najlepszym tatą na świecie. Poza tym możemy trochę poczekać, aż wszystko się uspokoi. Teraz, w środku tego wszystkiego, trudno nam myśleć. Może uda nam się ruszyć dalej po pogrzebie. Tata mówi, że pogrzeb jest punktem zwrotnym. Mam nadzieję, że uda się go pochować pod drzewami, obok Louisy.

Resztę drogi przeszli w milczeniu.

Kiedy dotarli na miejsce, Carmen usiadła na gorącym piasku, a Nicolai zdjął dzinsy. Powoli wszedł do wody i zaczął pływać. Był dobrym pływakiem, miał odpowiednią prędkość, oddalał się od brzegu silnymi, zdecydowanymi ruchami, a ona podążała za nim wzrokiem.

– Nie za daleko! – krzyknęła. – Najlepiej płyn wzdłuż brzegu, bo nie będę mogła cię uratować, jeśli dostaniesz skurczu.

Próbowała zaśmiać się lekko, ale śmiech utkwiał jej w gardle. Nicolai nie odpowiedział, po prostu płynął dalej, rozgarniał wodę silnymi ruchami. W oddali Carmen dostrzegła statek, czerwony kadłub odznaczał się wyraźnie na horyzoncie. Spoglądała co chwilę w wodę, szukając Nicolaia, odpłynął już bardzo daleko, zaczęła czuć się nieswojo. Dlaczego nie zawracał? W głowie zaświtała jej straszna myśl – może on ma już dość, może chce uciec od tego wszystkiego? Wstała, by lepiej widzieć, dostrzegła jego głowę pośród niskich fal, podskakiwała w górę i dół jak mały korek. Carmen zaczęła gromadzić mokry piasek na zamek. Ale nie miała do tego talentu

i budowla nieustannie upadała. Tak często bywała tutaj z ojcem. Był silny jak niedźwiedź, niósł ją na ramionach, a ona kołysała się całą długą drogę jak w łodzi, potem odstawiał ją na ziemię i odpowiadał na wszystkie jej pytania. Dlaczego ryby nie toną? „Ryby – odpowiadał ojciec – oddychają powietrzem przez skrzela. To jakby taki napój gazowany z małymi perełkami gazu. Pomyśl tylko, jak szybko poruszają się tam na dole w wodzie. Wszystko, co żyje na ziemi, musi oddychać powietrzem”. Tak, ojciec zawsze był po jej stronie. Bez względu na wszystko, był jej mentorem, jej pomocą i wielką radością. Znowu spojrzała na wodę, żeby sprawdzić, czy Nicolai już płynie do brzegu. Niestety, nie wracał.

– Do cholery, Nicolai, wracaj już, bo pójde do domu! – krzyknęła. – Nie mogłam uratować Tommy’ego i nie mogę ciebie uratować!

W końcu się opamiętał, zawrócił i ruszył w kierunku brzegu, a ona odetchnęła z ulgą. Uspokojona, zabrała się znowu za budowę zamku. Uklepała piasek w kształt wieży, wykopała fosę i kanał do brzegu, by doprowadzić do niej wodę, cieszyła się z tej konstrukcji, uśmiechała się delikatnie do Nicolaia, gdy wychodził na brzeg.

– Przestraszyłeś mnie – powiedziała potem, biorąc go za rękę.

– Dlaczego? – odparł ze zdumieniem. – Wiesz, że dobrze pływam. W wodzie czuję się najlepiej.

Przeoczył mały zamek z piasku, nie był pod wrażeniem, poczuła się zraniona jego chłodem. Szła przez chwilę w milczeniu. Miała na sobie turkusowe sandały, jeden z pasków zaczął ją ocierać, nie nadawały się do chodzenia, wiedziała, że powstanie pęcherz, że

potem pęknie i stanie się raną. Trzeba będzie ją opatrzyć. Głupie buty, pomyślała zirytowana.

- Ludzie pomyślą, że się posikałeś – zażartowała. Dżinsy Nicolaia miały ciemne plamy od mokrych kąpielówek, które miał pod spodem. Ale jego to nie obchodziło, szedł przed siebie. Chciał wrócić do domu. Zejść do ciemnej piwnicy i usiąść w spokoju.

- Nie idź tak szybko – prosiła Carmen – but mnie obciera.

*

Siedemnasty sierpnia, rano, Møllergata.

Nazywał się Felipe Marian Zita i pochodził z Barcelony, a jego żona Elsa była blondynką z oczami niebieskimi jak norweski fiord. On był złocistobrązowy i ciemny. Dlatego na myśl o jasnowłosej Carmen Sejerowi nasunęło się pierwsze pytanie: czy rzeczywiście jest jej biologicznym ojcem?

- Genetyka to złożona dziedzina – odparł Zita – splątała nam trochę figła. Carmen i jej białe włosy były dużym zaskoczeniem. Wielu pytało o to samo – dodał. – Jest pan w dobrym towarzystwie. Proszę, proszę wejść. Elsa zrobiła kawę. Właśnie rozmawiałem z Carmen, dzwoniła, jak codziennie. Mówi, że ma koszmary, co nie jest takie dziwne po tym wszystkim, co się wydarzyło. Ale nawiedzają ją złe sny, bardzo często. Nicolai jest kompletnie załamany, trochę się o niego martwię, ma wrażliwą naturę. Carmen radzi sobie lepiej, to silna dziewczyna, ma to po mnie. Proszę wejść – powtórzył. – Nie do końca rozumiem, czego pan oczekuje, ale możemy pogadać, pewnie ma pan swoje powody. Nie będziemy robić trudności, to nie w naszym stylu, jesteśmy pokornymi ludźmi.

Zita mówił szybko i dużo, był wyraźnie zdenerwowany. Może jednak wynikało to tylko z jego południowego temperamentu, pomyślał Sejer, gorąca hiszpańska natura, prawie nieokiełznana.

– Proszę, niech panowie usiądą. Elsa przyniesie kawę, to znaczy jeśli mają panowie na to czas.

Sejer i Skarre podziękowali i rozsiedli się wśród kolorowych poduszek.

– Carmen na pewno będzie miała kolejne dziecko – ciągnął Zita. – Jak ją znam, to nawet nie będzie tego odkładać. Ale Nicolai myśli inaczej, pewnie będzie chciał trochę poczekać. Mówi, że nie da się zastąpić Tommy’ego. Ale przecież nie mówimy o zastępowaniu.

Wstał, wziął kubki z szafki i wrócił na swoje miejsce przy stole. Salon został urządzone w wyraźnie południowym stylu. Ciężkie ciemne meble, tapiserie na ścianach, w oknach dużo roślin. Drewniany konik na biegunach, z pełnym skórzanym siodłem. Tommy pewnie siedział na nim wiele razy, pomyślał Sejer smutno. Podziwiał nowoczesny żyrandol, który mienił się w świetle dnia setką kryształów.

– Jak to jest, że wszyscy nazywają pana „Papa Zita”? – dopytywał się Sejer.

– Przez Carmen – odrzekł Marian Zita, popijając kawę. – Ona to zapoczątkowała, gdy była jeszcze mała. Potem wszyscy inni też zaczęli nazywać mnie papą, a mnie to sprawia przyjemność. Chciałbym być tatą dla wszystkich. Zwłaszcza dla Nicolaia, który stracił oboje rodziców w katastrofie lotniczej. Tak, pewnie słyszeli panowie, polecieli cessań prostą w burzę. A dla innych, którzy pracują w Zita Quick, też jestem tatą. Wszystkich ich szkoliłem

w pracy, są naprawdę dobrzy. Ludzie mogą nie zdawać sobie z tego sprawy, ale praca w lokalu tego typu jest naprawdę wymagająca, a my mamy świetną reputację i trzeba o nią dbać. Każdego dnia musimy świadczyć usługi najlepszej jakości. Jesteśmy też otwarci całą dobę, właściwie jako jedyni w całej gminie. A to oznacza wielu pracowników i wysokie koszty płac. Ale to dobry interes. Naprawdę dobry.

Jego żona, Elsa skinęła głową. Była wyraźnie powściągliwa z natury. Teraz spoglądała badawczo na Sejera i Skarrego, a w niebieskich oczach malowały się podejrzliwość i wątpliwości.

– Czemu właściwie zawdzięczamy tę wizytę? – zapytała odrobinę ostrym głosem.

– Mamy do czynienia z tragiczną śmiercią – odrzekł Sejer. – Takie rozmowy jak ta są wtedy rutynową procedurą.

– Mówicie tak pewnie wszystkim – powiedziała z goryczą w głosie. – To tylko procedura. Nie do końca rozumiem, jak mielibyśmy pomóc. Nie popełniono przestępstwa. Żeby to było jasne, bo to chyba podejrzewacie. To dlatego tu panowie przyszli i nie będę znosić bez słowa takiego mieszania się w nasze sprawy!

Sejer dmuchnął na kawę i pociągnął mały łyk.

– Tak, wszystkim to mówimy – przyznał ze spokojem. – Ponieważ to prawda. Proszę mi powiedzieć, czy nie martwiło państwa, że dom stoi tak blisko wody? Myśleli państwo o tym?

– Tak – przyznał Marian Zita – często się tym martwiliśmy. Woda kusi dzieci. Ale Tommy był taki mały, więc wydawało się nam, że mamy mnóstwo czasu. To znaczy oczywiście rozważaliśmy postawienie ogrodzenia wokół domu. Z zamykaną furtką. Ale

zwlekaliśmy z tym, właśnie tak, i nagle było już za późno, nauczył się chodzić. Tak mi szkoda Carmen i Nicolaia, że brak mi słów.

Skarre odstawił filiżankę na spodek, porcelana zabrzęczała.

– Jak zareagowała Carmen, gdy okazało się, że Tommy ma zespół Downa?

– Przyjęła to ze spokojem. To trzeba przyznać. Prawda, Elsa, że tak było?

– Tak – potwierdziła żona stanowczo. – Oboje przyjęli to ze spokojem. Jak mówiliśmy, Carmen jest silna, zawsze taka była. Wiadomo jednak, że to smutne mieć dziecko, które jest inne. Więc im też było przykro, to oczywiste. Każdy ma prawo odczuwać rozczarowanie.

– A państwo? – zapytał Skarre. – Co państwo sądzili o przyszłości Tommy’ego? Czy martwiliście się o to, jak to się potoczy i jak on sobie poradzi?

Matka Carmen piła kawę. Nadal wydawała się zaniepokojona pytaniami i odpowiadała z wyraźną niechęcią.

– Będę szczerą – oznajmiła. – Kiedy urodził się Tommy, byłam w totalnym szoku. Carmen jest taka młoda. Myślałam, że tylko starsze matki rodzą takie dzieci, z zespołem Downa. To było całkowicie nierealne i byłam kompletnie zdruzgotana. No, wreszcie to wyrzuciłam.

– A Carmen? – dopytywał Skarre. – Jaką była matką dla Tommy’ego?

– Najlepszą – wtrącił Zita. – Oboje byli dobrymi rodzicami. Tommy miał wszystko, czego potrzebował, a my pomagaliśmy finansowo. Żeby Carmen mogła być w domu, przynajmniej przez parę lat. Potem Tommy miał pójść do przedszkola. W Solhella, tam

jest przedszkole dla dzieci ze specjalnymi potrzebami, gdzieś w Løkka. Obiecano mu miejsce po skończeniu drugiego roku życia. Plan był taki, że Carmen będzie pracowała w restauracji razem z Nicolaiem. Za dwie pensje mogli nieźle sobie poradzić. Nic nie płacą za czynsz za dom w Granfoss. Ja jestem właścicielem i nie chcę ich przecież wykorzystywać.

– A Nicolai? – spytał Skarre. – Czy są państwo zadowoleni z zięcia?

– O tak – zapewnił Zita. – Zawsze był bardzo dobry dla Carmen. Ale nie jest tak silny jak ona, a teraz całkowicie się załamał. Siedzi całą noc na fotelu, nie chce spać. Mówi, że życie się skończyło, że nie ma się już czym cieszyć. Wiadomo, że jesteśmy zaniepokojeni. Nie wiem, jak to będzie... – dodał z nagłym zniechęceniem.

Zawahał się trochę, a jego wzrok stał się nieobecny. Siedział przez chwilę w milczeniu. Wstał, ocierając łzę jedną ręką.

– Najgorsze – kontynuował – jest poczucie winy. Chyba wszyscy się z nim zmagamy. Carmen czuje się winna, bo nie było jej przez pięć minut i zapomniała o otwartych drzwiach. Nicolai czuje się winny, ponieważ był w piwnicy. I ja czuję się winny, bo nie zdążyliśmy z ogrodzeniem.

– A pani? – Sejer odwrócił się do Elsy. – Czy pani też czuje się winna?

– Nie – odrzekła stanowczo – ja nie czuję się winna. To był wypadek i nie ma winnego. Nie chcę nawet słyszeć, że to czyjaś wina, i tak jest mi źle. Więc proszę tak nie mówić!

Ona też otarła łzę.

– Nawet nie próbujcie – kontynuowała – zostawcie nas w spokoju!

- Oczywiście - odrzekł Sejer - nie będziemy już państwa niepokoić. Nie polujemy na nikogo, musimy jedynie poznać prawdę na temat tego, co się wydarzyło, zgodnie z przepisami.

- Dobrze. - Elsa się wyprostowała jak struna. - Poznacie prawdę. Dziesiątego sierpnia było strasznie gorąco. Nagi Tommy bawił się na swoim dywaniku. Carmen poszła do łazienki i nie było jej przez pięć minut, a Tommy wygramolił się z domu, poszedł na pomost i spadł z niego. Oto, co się wydarzyło. Teraz chcielibyśmy w spokoju przeżywać żałobę.

Zita odprowadził ich na schody.

Stał chwilę w progu i przeproszał za rozgoryczoną, zrozpaczoną żonę.

- Rozumiemy, że sytuacja jest trudna - powiedział Sejer - na pewno nie będziemy zawracać państwu głowy kolejnymi pytaniami. Życzymy państwu dobrego dnia. I mamy nadzieję, że młodzi nie będą się zadręczać poczuciem winy.

Zita zrobił kilka kroków po żwirze, stanął i trzymając ręce w kieszeniach, postukiwał nogą o ziemię.

- Tak, dadzą sobie radę. Carmen jest silna. Jeśli chodzi o Nicolaia, potrzebuje więcej czasu, ale pewnie też sobie poradzi.

- Jak pan zareagował, gdy Carmen zaszła w ciążę w wieku siedemnastu lat? - dopytał jeszcze Sejer.

- Radością. - Zita nie wahał się ani chwili. - Dziecko to błogosławieństwo, prawda? Poza tym bardzo ceniliśmy Nicolaia. Obiecaliśmy, że pomożemy, jak tylko będziemy mogli, i tak zrobiliśmy, dużo opiekowaliśmy się wnukiem.

Spojrzał na nich.

– Wiem, że byli panowie w restauracji – zmienił nagle temat. – Elisabeth zadzwoniła i powiedziała, że musiała odpowiadać na pytania. Nie wiem, co to znaczy, dlaczego chcieliście z nią rozmawiać. Ale teraz oczekujemy, że to się skończy. Nie mamy nic do dodania.

Odwrócił się na pięcie i podszedł do schodów, obracając się po raz ostatni.

– To musi być coś w panów zawodzie – powiedział z powagą – że zawsze zakładacie najgorsze. Staram się to zrozumieć. Ale tu nic nie znajdziecie, to był wypadek. I koniec.

Potem zniknął w domu, drzwi się zatrzasnęły.

– Teraz na oddział położniczy – przekazał Sejer Skarremu. – Uprzedziłem ich, już na nas czekają.

*

Było popołudnie, kiedy dwaj policjanci dotarli do szpitala Rikshospitalet. Teraz szli przez niekończące się korytarze i szerokie, dwuskrzydłowe przeszklone drzwi. A potem, na końcu korytarza, pojawił się znak, że są na dobrej drodze, piękna rzeźba z brązu. Bocian z zawiniątkiem w dziobie i dyżurka. Jedna z położnych wstała i się przywitała.

– To ja zajmowałam się Carmen – powiedziała. – Dostałam wiadomość, więc czekam. Proszę usiąść, zaraz wracam, mam tylko małą sprawę do załatwienia.

Pokój był przyjemny i przytulny, z dużą narożną sofą i dwoma fotelami. Kwieciste firanki w oknie, szafka z filiżankami i szklankami, ekspres do kawy, duże i przestronne biurko. Dwie

zielone szafy na akta i komputer stacjonarny. W kącie siedział duży miś w niebieskim kombinezonie, nad biurkiem wisiała korkowa tablica pełna obrazków i kartek, zdjęcia noworodków we wszystkich kolorach skóry i kształtach oraz pozdrowienia od niezliczonych matek, które chciały im podziękować za pomoc. Skarre ściągnął marynarkę i podszedł, by przyjrzeć się zdjęciom z bliska. „Dziękuję bardzo za pomoc, pozdrawiam, Fredrikke”. „Dziękuję za całą opiekę podczas porodu, Emilie Krantz”. „Nie dałybyśmy rady bez Ciebie. Pozdrowienia, Nina i Marie”.

Położna wróciła po kilku minutach, odsunęła sobie krzesło i usiadła. Była chyba po czterdziestce, bardzo pewna siebie, miała bujne kształty, nosiła jasne spodnie i białą bluzę. Białe chodaki z gumową podeszwą. Jej blond włosy były bardzo gęste, do kieszonki przypięła przypinkę z imieniem: Anne Marie.

– Tak, pamiętam ją – powiedziała od razu – to było cesarskie cięcie. Miała epilepsję, prawda? Poza tym była bardzo szczupła. I tak, zapamiętałam ją głównie ze względu na imię i nazwisko, wyjątkowe, Carmen Zita, to utkwilo mi w pamięci. No i była taka młoda. A dziecko miało zespół Downa. Tak, przypominam ją sobie dobrze. I ojca dziecka też, był prawie tak młody jak ona i bardzo nieśmiały. Ale nie wiem, dlaczego tu panowie przyszli. Nie rozumiem, w czym mam pomóc, czy coś się stało?

Sejer przyjrzał się jej uważnie. Przyszła mu do głowy myśl, że przypomina mu jego żonę Elise, ma podobne włosy i coś w oczach i w ciepłym, pewnym siebie uśmiechu, od którego w policzkach robiły się jej dołeczki.

– Dziecko nie żyje – powiedział Sejer. – Tommy utonął w jezioru niedaleko domu. Prowadzimy dochodzenie w sprawie tego

wypadku, to rutynowa procedura.

Przygasła, ciepły uśmiech zniknął. Wahala się przez kilka długich sekund, włożyła ręce do kieszeni białego fartucha. Potem zrzuciła drewniaki i siedziała tak, z bosymi stopami, małymi, wąskimi i opalonymi po długim lecie.

– O nie, to bardzo przykra wiadomość – powiedziała wreszcie. – Naprawdę był uroczym chłopcem. Ile miał dokładnie?

– Szesnaście miesięcy – odrzekł Sejer. – Właśnie nauczył się chodzić. Chciałbym panią o coś zapytać. Chłopiec miał zespół Downa. Jak szybko można zauważyć, że coś jest nie tak?

– Widzimy to od razu, mamy doświadczenie. Ale zespół Downa nie jest najgorszą rzeczą, jaka może przytrafić się dziecku. To są później sympatyczne osoby, ale oczywiście nie żyją długo, statystycznie żyją krócej. Pan może dożyć dziewięćdziesiątki – dodała z lekkim uśmiechem. – Dla osób z zespołem Downa pięćdziesiąt lat to starość. Jeśli w ogóle dożywają tego wieku, bo nie zawsze tak jest. I wie pan, mają bardzo wyjątkowy wygląd, nie można tego z niczym pomylić. Poza tym są niscy i wielu z nich ma wrodzone wady serca. A potem rozwijają się bardzo powoli, zarówno fizycznie, jak i psychicznie. Bardzo często się zdarza wczesne starzenie z demencją. To smutne, ale prawdziwe, ale są też radością dla nas wszystkich. Przynajmniej ja tak uważam, zgadza się pan?

– Jak często się rodzą takie dzieci? – chciał wiedzieć Skarre.

– Jedno na siedemset urodzeń to dziecko z zespołem Downa. Właściwie jest ich całkiem sporo, jeśli się nad tym zastanowić. Średnia długość życia wynosi sześćdziesiąt lat. Dodam, że dostają prawa wyborcze, jak wszyscy, w wieku osiemnastu lat. I często wykazują się prostą mądrością, którą reszta z nas utraciła. Jest

w nich coś prawdziwego i szczerego. Nie udają, są zawsze sobą. To naprawdę wspaniałe osoby, wręcz zachwycają. Ja takie dzieci witam z otwartym sercem. I jestem z tego naprawdę dumna, mogę się pochwalić.

– Jakie są te dzieci tuż po urodzeniu? – zapytał Sejer. – Proszę mi opowiedzieć. Po czym poznajecie, że coś jest nie tak?

– Noworodki z zespołem Downa zwykle mają normalną wagę i wzrost, ale często coś, co nazywamy słabym napięciem mięśniowym. Branie ich na ręce to jak podnoszenie małego worka z piaskiem, po prostu zwisają bezwładnie. Brakuje im napięcia i sprężystości typowych dla zdrowych noworodków. Rozumieją panowie, to było dużo informacji dla młodej pary. Poinformowaliśmy ich o przysługujących świadczeniach i zasiłkach oraz wydłużonym płatnym urlopie. No i oczywiście mamy brutalny paragraf, który dotyczy wszystkich kobiet w ciąży. Wszystkich, które naturalnie marzą o zdrowym dziecku. Paragraf drugi ustawy aborcyjnej. Mówi o tym, że można się takiego płodu pozbyć, i to zgodnie z obowiązującym prawem. Właściwie jest to dość smutne, ale takie jest życie. – Przerwała, wzięła oddech i ponownie włożyła drewniaki. – I oczywiście wiele par tak robi. Nie mogą znieść trudności, jakie ich czekają. A cokolwiek my możemy powiedzieć, jest mizerną pociechą. Jest to szok, ja to rozumiem. Nikt nie ma prawa osądzać w takiej sprawie.

Sejer skinął głową.

– Czy od razu przekazała pani wiadomość rodzicom?

– Nie, czekaliśmy, aż Carmen zostanie przeniesiona na oddział położniczy i trochę dojdzie do siebie. Weszliśmy do niej z lekarzem. To trudna próba – dodała – przekazywanie takiej wiadomości.

Dlatego robią to dwie osoby, to nie jest coś, do czego można się przyzwyczaić.

– Więc dobrze to pani pamięta? – spytał Skarre.

– Tak, dobrze to pamiętam. Właśnie z powodu jej reakcji.

– Co powiedziała? Co zrobiła?

Położna westchnęła ciężko. Wyciągnęła rękę z kieszeni i złożyła je na kolanach.

– Powiedziała „nie”.

– Co ma pani na myśli? – spytał Skarre. – Tylko jedno słowo? „Nie”?

– Nie chciała uwierzyć. Powiedziała: „Nie, musieliście się pomylić”. Położnik musiał więc powtórzyć wiadomość, że chłopiec ma zespół Downa. I że nie ma żadnych wątpliwości. Bo to jest pierwsza rzecz, jaka im się nasuwa. Czy to prawda? Czy jesteście absolutnie pewni? Wiadomo przecież, że to wielki szok. Od najwyższego szczęścia do najgłębszej rozpacz. Dziecko w końcu się urodziło, po dziewięciu długich miesiącach, ale nie jest zdrowe. Nigdy się do tego nie przyzwyczaję – dodała. – Wchodzę i staram się być twarda. Pewnie też tak panowie robią od czasu do czasu. To znaczy też przychodzą do ludzi z okropnymi wiadomościami. Więc może wiedzą panowie coś o tym, jak się wtedy czuję.

– Tak – przyznał Sejer – wiemy.

– Poczuliśmy ją, jak tylko mogliśmy – kontynuowała. – Wyjaśniliśmy, jakie ona ma prawa i że chłopiec będzie źródłem zarówno śmiechu, jak i radości w nadchodzących latach. Ale ona ciągle powtarzała, że nie, że się mylimy. I że przekonamy się z czasem, że popełniliśmy błąd. „Poprawi mu się”, mówiła optymistycznie, „jest tylko trochę zmęczony”. Czułam się okropnie.

Nie z powodu dziecka, tylko z powodu Carmen. Jako położna przekazywałam już gorsze wiadomości, to część tej pracy.

– A co z ojcem? – spytał Skarre. – Nicolai Brandt. Jak zareagował?

Zastanawiała się chwilę i cofnęła się myślami w czasie. Przypomniała sobie młodego chłopca z cienkimi włosami.

– Milczał. W ogóle nie był rozmowny. Ale do niego przynajmniej wiadomość dotarła i z pewnością nie przyszło mu do głowy, żeby wątpić w nasze słowa. Było mi go też żal, ale pamiętam, że dawał mi nadzieję na przyszłość. „Musimy przyjąć dziecko takim, jakie się urodziło”, powiedział. I objął ją ramieniem. Przytulił ją i dziecko. Wciąż pamiętam łzy w jego oczach. Lekarz starał się przekazać im wszystkie informacje, ale też podtrzymać w nich nadzieję. Wyjaśnił, że są dzieci z zespołem Downa, które ukończyły szkołę średnią i zdały maturę. Że niektóre mogą mieć prawo jazdy, bo i to się zdarza. Jak powiedziałam, miało to dać im nadzieję, wiadomo przecież, że jej potrzebowali. I nie mogę przeboleć tego, co pan powiedział, że chłopiec utonął. Nie wiem, co pan podejrzewa, ale miejmy nadzieję, że się pan myli. To znaczy jeśli ma pan podejrzenia co do rodziców. Jest przecież jakiś powód, dla którego przychodzą tu panowie z mnóstwem pytań, zaczynam się bardzo denerwować. Ale tak między nami, Carmen Zita była dziwna. Wydawało się, że żyje we własnym świecie, do którego nikt nie ma wstępu. „Nie, on nie ma zespołu Downa, pomyliliście się”. Przez lata przekazałam wiele takich wiadomości i nikt nie zareagował tak jak ona.

– Jak długo była na oddziale położniczym?

– Pięć dni. Rodzice ją zabrali, pamiętam, ojciec poprosił o rozmowę z lekarzem i oczywiście lekarz na to przystał. Wydawał

się bardzo silny i opanowany, powiedział, że pomoże, jak się da. Od razu mi ulżyło, bo wydawał się taki energiczny.

Sejer siedział przez chwilę w milczeniu. Spojrzał na fotografie wszystkich nowo narodzonych dzieci na tablicy.

– Nie przysłali nigdy zdjęcia – zauważył.

– Nie przysłali. Nie mam zdjęcia Tommy’ego. Ludzie przysyłają nam listy, bo są dumni, szczęśliwi i wdzięczni. Ale Carmen Cesilie Zita opuściła oddział po pięciu dniach i nie wydawała się ani dumna, ani wdzięczna.

*

Dwudziesty piąty sierpnia, rano, pogrzeb.

Nicolai stał w drzwiach, obserwując ją, i nie podobało mu się to, co widział. Oto nadszedł dzień, w którym Tommy miał być pochowany, a Carmen miała się z nim pożegnać w nieprzyzwoitej sukience. Krótka, obcisła, z głębokim dekoltem, nie pozostawiała pola dla wyobraźni, idealna na imprezy, ale teraz wydawała się nie na miejscu. Jednocześnie widział, jaka Carmen jest piękna, doskonała jak mała laleczka, zgrabna jak łania. I było dla niego jasne, dlaczego zakochał się w tej dziewczynie z białymi włosami. Żaden chłopak na całym świecie nie odrzuciłby Carmen, nie, pomyślał, żaden. I nie jestem wyjątkiem.

Stała w łazience. Oderwała wzrok od swojego odbicia.

– Powinieneś włożyć coś innego – wytknęła mu. – Że też nie udało nam się załatwić garnituru, to żenujące. Ludzie zaczną się zastanawiać, dlaczego się nie ubrałeś porządnie.

– Tak, ale nie mam garnituru – odparł urażony. – Zawsze masz jakieś pretensje, robię, co mogę. Ubrania nie są ważne, tu chodzi

o Tommy'ego.

Carmen ponownie odwróciła się do lustra i spojrzała na siebie. Tak, była zadowolona. Tommy miał spocząć w ziemi, a Carmen była zadowolona ze swojego odbicia, to go bardzo niepokoiło. Oparł się o framugę, wiedział, że nie wygląda dość dobrze, i głęboko i szczerze wstydził się swojego smutnego ubrania. Usłyszał samochód na podwórku. Podszedł do okna salonu i wyjrzał. Pomachał teściom, gdy spojrzeli w okno, i wyszedł im na spotkanie. U szczytu schodów stał potężny Papa Zita, a za nim teściowa, Elsa, w granatowym kostiumie.

– Jak się masz, chłopcze? – spytał Zita, biorąc go za rękę. Ścisnął ją mocno i długo, uronił samotną łzę, przekroczył próg i wszedł do środka. – To dzień żałoby – dodał, patrząc uważnie na zięcia. – Teraz musimy być silni.

Nicolai nie odpowiedział. Nie miał nic do powiedzenia, poza tym że był to najczarniejszy dzień w całym jego życiu. Nie czuł się tak od tego dnia, gdy rodzice zginęli w cessenie Bird Dog podczas silnej burzy. Teraz wszystko do niego wróciło, ze zdwojoną siłą. Zita podszedł znów i ręką zmierzwił mu włosy. Nicolai się nie odsunął. Zawsze lubił teścia, a ten gest był niezdarną pieśczołą mężczyzny pogrążonego w żałobie.

– Czy Carmen jest gotowa? – zapytał i wszedł do domu.

– Chyba tak. – Nicolai uśmiechnął się blado. Zastanawiał się, jak teściowie przyjmą odważną sukienkę. W tym momencie z łazienki wyszła Carmen, chwiejąc się na szpilkach, a czarna sukienka była tak obcisła, że jej kroki ograniczały się do drobienia stopami po podłodze. Uściskała ojca mocno i długo, zniknęła w jego obszernych objęciach, roniła jak zwykle łzy.

- Włóż kurtkę – zażądał ojciec. – Jesteś taka odsłonięta. Sukienka jest ładna, ale nie pasuje do kościoła.

Carmen zrobiła zawiedzioną minę i gwałtownie zaprotestowała. Jest zdecydowanie za gorąco na kurtkę, nie podobało jej się też, że ojciec był przeciwko niej.

- Jaka kurtkę – marudziła – przecież wtedy nie będzie widać sukienki.

- Kurtkę golfową – odparł ojciec. – Masz taką, prawda?

- Tak – powiedział Nicolai, siadając na sofie.

- Ta sukienka, no. Raczej nie idziemy na imprezę.

- Wystroiłam się dla Tommy'ego – broniła się Carmen. – A wy tylko narzekacie. – Nadała się, jak zawsze kiedy nie stawiała na swoim.

Nicolai zamknął oczy i jęknął. Nie mógł pojąć, jak to się stało, że znaleźli się w takiej sytuacji, że szli do kościoła i chowali Tommy'ego, i że to już koniec. Próbował się pozbierać. Chciałby być silny, zachować jakąś godność w tym smutku. Ale tak naprawdę pragnął się poddać i tylko płakać. Carmen odwróciła się na pięcie i zniknęła w sypialni. Słyszeli, jak trzaska drzwiami. Minęła chwila, po czym znów wyszła z kurtką przewieszoną przez ramię.

- Włóż ją – powiedział ojciec stanowczo. – Wiesz, jest coś takiego w kościele, no musisz być zakryta. Ludzie się oburzą, jeśli usiądziesz tam taka poodkrywana.

- Jeśli robi się za gorąco, zdejmę ją – uprzedziła Carmen. – Nieważne, co powiesz. To ja straciłam dziecko, to ja decyduję.

- Sukienka jest śliczna – powtórzył Zita – ale lepiej pasuje na inne okazje. Nie masz czegoś prostszego, porządniejszego?

- Nie - odparła krótko. - W tej sukience przestrzegam wszystkich zasad. Jest przecież czarna. Wszystkie inne moje sukienki są kolorowe. Różowe, niebieskie i żółte. A ja nie chcę wkładać spodni w taki dzień.

- Ale musisz być przygotowana na reakcję ludzi - odparł Zita. - Jesteś taka piękna, Carmen, nie zrozum mnie źle. Staram się tylko dać ci dobrą radę. Pamiętaj, że jestem starszy od ciebie. Są rzeczy, o których wiem więcej.

- Jesteś po prostu staromodny, a poza tym jesteś katolikiem, a ja nie, tak dla twojej wiadomości.

Ojciec otarł pot z czoła. Silna wola Carmen przytłoczyła go i osłabiła.

Bez kawy i ciastek, bez wymiany sztucznych uprzejmości. Bez wywlekania starych wspomnień, wszystkiego, co było, szczęśliwych dni. Carmen powiedziała agentom z Domu Pogrzebowego Centrum i pastorce, która miała odprawić ceremonię, że nie zniesie widoku trumny Tommy'ego opuszczanej do otwartego grobu. I jak spada ziemia na wieko. Ceremonia miała się zakończyć w kościele. Nicolai protestował na swój ostrożny sposób. Czuł, że to zdrada pamięci Tommy'ego, że nie odprowadzili go aż do grobu, tak, według niego było to wręcz tchórzliwe. Ale nie został wysłuchany. Zawsze wygrywała Carmen, Carmen ze swymi łzami, w które czasem, w krótkich, rozpaczliwych chwilach, w ogóle nie wierzył.

I wreszcie ruszyli, czarnym samochodem, powoli, ulicami późnego lata. Ludzie wokół żyli normalnym życiem. Zawołają dzieci do domu wieczorem, pomyślał Nicolai, i przyjmą za pewnik, że one się pojawiają. Zdrowe, szczęśliwe i wesołe, takie rzeczy. Żywe

i nietknięte. Może to wszystko było złym snem, czy to możliwe? Gdyby tylko zasnął na tylnym siedzeniu, obudziłby się później i wrócił do swojego szczęśliwego życia. Próbował rozluźnić ciało, oddychając wolno i równomiernie. Ale się nie udało, nie mógł spać, nie mógł zapomnieć o tej strasznej sytuacji. Noce stały się nie do zniesienia.

– Nie lubię pastorek – powiedział nagle. – Szkoda, że nie było innego księdza. Przepraszam, że tak mówię, i nazywaj mnie, jak chcesz. Ale w tej chwili nie obchodzi mnie wcale, co myślisz.

Z przedniego siedzenia Carmen obejrzała się na niego z oburzeniem.

– Daj już spokój – jęknęła. – Przydzielili nam ją. Wie przecież, co ma powiedzieć, to nie ma znaczenia. Dlaczego gadasz takie rzeczy?

– Nie wiem – przyznał zawstydzony. – Po prostu ich nie lubię. Powinien to być mężczyzna, mają większy autorytet. Nie lubię też lekarek. I nie lubię policjantek, po prostu musisz się pogodzić z tym, że myślę inaczej niż ty.

Elsa nic nie mówiła. Było gorąco, więc zdjęła żakiet, pod którym miała białą bluzkę z kokardą pod szyją. Elsa zawsze była sztywna, zapięta aż po szyję, ale Nicolai nie miał nic przeciwko niej, była przyjazną duszą. Nie mówiła dużo. Za to jeśli już się odezwała, była szczerą, wyczuwał to.

– Na pewno będzie dobrze – powiedział Zita, chcąc załagodzić sytuację. Potem musieli zatrzymać się na czerwonym świetle, były roboty drogowe i ruch odbywał się naprzemiennie. Grupa ośmiu samochodów nadjechała z przeciwnego kierunku i przemknęła obok nich, a trzech mężczyzn w żółtych kamizelkach odbłaskowych łatało

dziury w jezdni miękkim, rozgrzanym asfaltem. W końcu przejechali, czując intensywny zapach smoły.

Słońce wpadało przez okna i rozświetlało witraże tak, że jarzyły się intensywnymi, jaskrawymi odcieniami czerwieni, błękitu i zieleni. Kobieta zbierała zboże, jabłoń wydała czerwone owoce, z gałęzi wzbijało się stado ptaków, na niebie królowało promienne, palące słońce. Nie na to jednak patrzył. Jedyne, co przykuwało jego uwagę, to mała trumna przy ołtarzu, zatopiona w niebiesko-różowym kwieciu. Serce, wieniec, bukiet. Szedł, ale nogi odmawiały mu posłuszeństwa, dzwony kościelne dzwoniły mu w uszach, wkrótce organy zawyły z żałobną mocą. Wszystko to tak, jakby śmierć była piękna, co miało złagodzić ból. A obok niego w przejściu Carmen, w swojej krótkiej, obcisłej sukience.

W samochodzie zdjęła kurtkę i nikt już nie zawracał sobie głowy nieprzyzwoitym strojem. Jej upór zamknął im usta. Cichy, zamknięty w sobie Nicolai podszedł do pierwszego rzędu ławek po lewej stronie. Przepuścił Carmen i sam usiadł. Marian i Elsa byli tuż za nimi. Kiedy tak siedzieli, czekając na rozpoczęcie ceremonii, Nicolaia nagle ogarnęła panika. Z trudem łapał powietrze. Kto tak naprawdę był w białej trumnie? Czy to naprawdę Tommy, czy też się pomylili? Fatalne zamieszanie w ostatniej sekundzie. Może to jakieś obce dziecko, którego nie znali? Słyszał, że takie rzeczy się zdarzały. Poczul, że oblewa go zimny pot. Czy wszystko jest w porządku? A może na jakimś etapie ktoś wykazał się lenistwem lub niechłujstwem? Ludzie popełniali przecież błędy, tak jak oni sami popełnili błąd w opiece nad Tommym, nie zadbali o niego wystarczająco dobrze, nie postawili ogrodzenia. Myśli kłębiły się

w jego głowie, nie mógł usiedzieć w miejscu. Wstał z ławki i podeszedł do trumny, patrząc błagalnym spojrzeniem na dwóch przedsiębiorców pogrzebowych.

- Chcę go zobaczyć - powiedział stanowczo. - Chcę zobaczyć mojego syna. Proszę zabrać te kwiaty, muszę się upewnić, że wszystko jest w porządku!

Carmen była przerażona. Siedziała i poprawiała swoją krótką sukienkę, zażenowana w imieniu wszystkich obecnych żałobników. Zawstydzona tym wybuchem, którego nie mogła opanować.

- Nie mamy teraz na to czasu - szepnęła. - Chodź i usiądź. Przyszli ludzie, musimy siedzieć spokojnie.

Ale dwaj pracownicy domu pogrzebowego kiwnęli głowami, w końcu ktoś był po jego stronie. Trudno było ich zaskoczyć po tylu latach pracy w tej branży, a ojciec miał pełne prawo, by po raz ostatni zobaczyć swoje martwe dziecko. Dlatego podeszli i podnieśli wieko. Nicolai wstrzymał oddech, stojąc obok trumny. Tak, to był jego Tommy, ale był nie do poznania, jak blada i prawie postarzała wersja jego żywego syna. Suchy. Zimny. Zapadnięty. Jego usta były bezbarwne, a cienka, jasna grzywka zaczesana na bok. I pomyślał, że pod ubraniem ma szew biegnący od szyi w dół, bo przecież go rozpruli. Może nie miał wątroby i nerek, może leżał tu bez serca. Niebieskie ogrodniczki wyglądały na zbyt obszerne. Ale na widok misia, który spoczywał w zgięciu ramienia jego syna, uspokoił się.

- Carmen - powiedział cicho. - Musisz przyjść tu i zobaczyć.

Zawahała się, zanim wstała, jakby coś ją powstrzymywało. Potem niechętnie podeszła, kilka stopni w górę, i z udręczoną twarzą spojrzała na swoje martwe dziecko.

- Tak - powiedziała. - Wygląda ślicznie. Zawsze tak mówiłam.

Nicolai stał przez chwilę w milczeniu.

– Tak? – zapytał gorzko. – Nigdy tego nie słyszałem.

Położył dłoń na białym policzku.

– Jest kompletnie lodowaty – powiedział do Carmen. – Dotknij!

*

Coś jest w pogrzebach, pomyślał potem Sejer, coś dobrego. Coś kojącego, zamykającego, coś ostatecznego. Nawet jeśli to pogrzeb dziecka. Nawet jeśli śmierć nadeszła niespodziewanie, w wyniku tragedii, pożegnanie przynosiło ulgę. Pogrzeb Elise też był dobry. Rozdzierający serce, ale dobry. Dźwięk organów i blask świec, pocieszający głos kapłana, kojąca liturgia. Wszystkie kwiaty, najładniejsze wieńce świata. Rzędy ławek zapełniły się żałobnikami, pięknie ubranymi, milczącymi i pogrążonymi w zadumie. Przyjazne dłonie na policzku, dobre, serdeczne uściski, uważne spojrzenia. Pieśń żałobna, najpiękniejsza, jaką słyszał – Znam niebiańską twierdzę. Słońce, które świeciło przez witraże, i spokój duszy. Ale ta sprawa z Bogiem i niebem, to było bardziej kłopotliwe. Spojrzał na swojego kolegę Skarrego, który siedział obok w volvo.

– Pięknie – powiedział.

– Mhm – mruknął Skarre. – Możesz zatrzymać się tutaj, przy kiosku? Spadł mi cukier, potrzebuję czegoś słodkiego.

Sejer zjechał, zaparkował, nie wyłączał silnika. Siedział i czekał na swojego młodego kolegę. Od dawna nie miał zawrotów głowy, to był dobry znak. Może to koniec, pomyślał z nadzieją. W końcu niektóre problemy same przechodzą. Małe codzienne cuda, fałszywe alarmy. Na niewielką przestrzeń przed kioskiem wjechała dziewczynka na żółtym rowerze, a on obserwował ją z samochodu.

Oparła rower o ścianę i też zniknęła w środku, zapewne po to, żeby kupić słodycze, dzieci nigdy nie miały dość słodyczy. Ciekawe dlaczego. Skarre wyszedł wreszcie z kiosku i usiadł na swoim miejscu w aucie, po czym zawrócił na drogę. Skarre rozdarł opakowanie. Siedział, mamrocząc do siebie.

- Cholera - powiedział. - Kupiłem nie te żelki.

Sejer zerknął na kolorowe sylwetki żelkowych ludzików.

- To nie te zwykle kupujesz?

Skarre pokręcił głową.

- Nie, to nie te, wziąłem nie tę paczkę.

- Ale są kwaśne, prawda? - powiedział Sejer. - Tak przynajmniej wyglądają. Czy to duży problem, mam zawrócić?

- Nie, niech już będą te. Jakoś sobie z tym poradzę tym razem.

Przez chwilę jechali w milczeniu, a Skarre wrzucał do ust małe żelkowe ludziki. Skrzywił się.

- No, te są naprawdę kwaśne. Nigdy wcześniej takich nie jadłem.

- Zawsze wierzyłeś w Boga? - zapytał Sejer, wrzucając wyższy bieg. Skarre właśnie podsunął mu paczkę, ale on odmówił.

- No tak - odrzekł. - Pamiętaj, że mój ojciec był pastorem, mam to we krwi. A ty? Czy zawsze byłeś bezbożny?

- A mógłbyś powiedzieć „niewierzący”?... Ale tak, w moim rodzinnym domu wszyscy byli niewierzący. Przepraszam, że tak drażę, po prostu byłem ciekawy. Kiedy umiera takie małe dziecko, chyba trudno jest znaleźć w tym sens. Właśnie to chciałem powiedzieć. A zgodnie z twoją wiarą, wszystko ma mieć jakiś sens. To jest to, co naprawdę staram się zrozumieć.

Pogrzebał w schowku w poszukiwaniu okularów przeciwsłonecznych, znalazł je, włożył na nos i włączył prawy migacz.

Skarre wybrał z paczki kolejnego żelka. Żuł go długo i dokładnie.

– Tak, to trudne, muszę przyznać. I zdarzają mi się oczywiście chwile zwątpienia. Ale wątpliwości to też element wiary, tak po prostu jest. Natomiast w przeciwieństwie do ciebie przynajmniej mam dokąd pójść ze swoimi skargami. Inni miotają się bez celu i sensu, nie zniósłbym tego. Potrzebuję ściany płaczu.

– To prawda – przyznał Sejer. – Tu masz rację.

Zatrzymał się przed czerwonym światłem i czekał.

– No więc. Skarzyłeś się Bogu na śmierć Tommy’ego? Tak mam to rozumieć?

– Tak, zrobiłem to – powiedział stanowczo Skarre – poskarżyłem się.

Zapaliło się zielone. Sejer wjechał na skrzyżowanie, silnik volvo zawarczał.

– I wierzysz w życie wieczne?

Skarre spojrzał na inspektora, a na jego twarzy pojawił się uśmiech.

– Czy to jest przesłuchanie?

– Przepraszam. – Sejer włączył lewy kierunkowskaz. – Jestem po prostu ciekawy. Kiedy myślę o tych wszystkich tragediach, nie sposób nie zadawać pytań. Susza, wojna i głód. Klęski żywiołowe i zarazy, ból i rozpacz. Matki, które zabijają swoje dzieci. – Spojrzał na Skarre’go surowo.

– Tak, często padają takie argumenty. I ja też dręcę się tymi rzeczami, delikatnie mówiąc.

W samochodzie znów zapadła cisza.

- Ale się wystroiła - odezwał się Skarre po chwili. - Mam na myśli Carmen. W życiu nie widziałem tak krótkiej sukienki. I ledwo dawała radę chodzić w tych wysokich obcasach. Ale potrafi naprawdę ryczeć, to jej trzeba przyznać. Twoja komórka dzwoni - dodał. - Nie słyszysz?

Sejer zjechał na bok. W słuchawce poznał islandzki akcent Snorrasona.

- Wracamy z pogrzebu - wyjaśnił - jedziemy na komisariat. Co mówisz? Masz wyniki?

- Tak, dostałem wyniki - powiedział Snorrason. - Prawdopodobnie masz tu sprawę o morderstwo. Matka się z tego łatwo nie wytłumaczy. Czy ona potrafi dobrze zmyślać?

- Umiarkowanie - odrzekł Sejer. - Zobaczymy. Co znaleźli?

Snorrason relacjonował wyniki, starał się uprościć specjalistyczną terminologię. A kiedy skończył, Sejer gwizdnął cicho i spojrzał na Skarrego.

- Wezwę ich na przesłuchanie - powiedział do telefonu. - Oboje. Ale damy im kilka dni, dopiero co pochowali dziecko. Tak, dziękuję, będę cię informować.

Zakończył rozmowę i włączył się do ruchu.

- Więc nasze obawy się sprawdziły - zwrócił się do Skarrego. - Wygląda na to, że ktoś pomógł Tommy'emu odejść z tego świata. I możesz znów poskarżyć się Bogu.

*

Powoli szedł przez puste pokoje, przystawał i nasłuchiwał. Nieobecność Tommy'ego była ogłuszająca, nigdy już nie miał

usłyszeć jego głośnego śmiechu ani rozpaczliwego, bolesnego płaczu. Dziecko było martwe i pogrzebane, a za jakiś czas jego ciało ulegnie rozkładowi. Rozpadnie się, choć kości pozostaną, wątki, mały szkielet w czarnej jak smoła glebie.

– To wszystko to tylko puste słowa – powiedział. – Jezus Chrystus wskrzesi cię z martwych w dniu sądu ostatecznego! To po prostu nonsens. Szczerze mówiąc, wstydzę się.

Carmen zdjęła czarną sukienkę. Rzuciła ją na łóżko i sięgnęła po codzienne ubrania.

– Pastorka była całkiem w porządku – stwierdziła. – A tak w ogóle... – Włożyła džinsy i sweter. – Czy nie powinniśmy oddać jego łóżeczka? Nie jest nam już potrzebne, a zajmuje dużo miejsca. Możemy je znieść do piwnicy. Zostawić dla następnego dziecka.

Nicolaiowi znów zaparło dech. Co ona sobie myśli, jak może z tym wyskakiwać teraz?

– Tak ci spieszno, żeby zatrzeć wszelkie ślady po nim? – spytał z urazą.

Minęła go i weszła do kuchni. Otworzyła szafkę, wyjęła szklanekę i nalała sobie wody z kranu. Chciwie piła, aż zaspokoiliła pragnienie. Trochę wody spłynęło jej po brodzie i między piersiami.

– Nie potrzebuję tych wszystkich wspomnień – powiedziała – czuję się przez nie tylko gorzej. Kładę się wieczorem do łóżka i widzę puste łóżeczko. Tak właśnie mam, tak działa moja głowa, chcę o tym zapomnieć, nie chcę wspomnień.

Wyszedł do salonu i usiadł na sofie, był taki zmęczony. Zszedł na niższy bieg. Wszystko, co normalnie działo się w jego ciele, przebiegało teraz tak wolno, czuł chłód pomimo upału. Na dworze

dzień odbijał się od szyb ciepłym blaskiem, mrugał w znienawidzonym jeziorze z samotną lilią.

– Może powinniśmy się przenieść – zaproponowała Carmen z kuchni. – Uciekniemy wtedy od tego wszystkiego. Zaczniemy od nowa gdzieś indziej, mogę porozmawiać z tatą. Jeśli zachcę mieć nowy dom, on go kupi.

Nicolai zareagował z oburzeniem. Nie powinni się stąd ruszać. Mieli stąd blisko do kościoła i synka. Dziecko powinno być blisko, za wszelką cenę, a jego grób przy kościele Møller był przecież oddalony od tego domu zaledwie o dwadzieścia minut. Na pagórku pomiędzy drzewami, obok Louisy.

Carmen weszła do salonu. Stała ze szklanką w dłoni. Pod koszulą zobaczył maleńkie piersi, naprężone. Nigdy nie widział dziewczyny z tak małymi piersiami, mogłaby uchodzić za chłopca.

– Jeśli złożymy łóżeczko, zrobi się więcej miejsca – powiedziała. – W piwnicy jest mnóstwo jakichś rupieci.

Rupieci? Czy naprawdę uważała łóżeczko Tommy’ego za rupieć?

Wypiła wodę i wytarła usta.

– Chcę wrócić do pracy – oznajmiła. – Dni płyną wtedy znacznie szybciej. Ty też chyba to zrobisz?

Skinął głową. Poszła do kuchni, usłyszał, jak otwiera szufladę.

– Myślisz, że jest już w ziemi? – krzyknęła. – Czy to było głupie, że nie odprowadziliśmy go do grobu?

– Tak, to było bardzo głupie, mówiłem ci. Mogłaś mnie posłuchać. Zawsze musisz postawić na swoim, a ja też mam coś do powiedzenia, mam opinie i życzenia.

– Jeśli chcesz, możemy tam iść jutro – zawołała pojednawczo. – Zobaczyć grób. To świetnie, że udało się znaleźć dla niego miejsce

pod drzewami, prawda? Tak jak chciałam, jestem bardzo zadowolona.

Tommy nie żyje i leży w grobie, pomyślał, a ty stoisz tutaj i jesteś zadowolona, nie wierzę w to, co słyszę. Każdy przeżywa żałobę na swój sposób, pomyślał zaraz, muszę o tym pamiętać. Carmen nie rozpamiętuje rzeczy, jest niecierpliwa i chce iść do przodu. Mimo to czuł się zmęczony jej uporem.

– Prędzej czy później prawdopodobnie będziemy mieli kolejne dziecko – dodała. – Życie musi toczyć się dalej, wiesz przecież.

Wszedł do kuchni i usiadł przy stole. Przyglądał się jej wąskim plecami, gdy tak stała przy blacie.

– Ale ja nie chcę – powiedział. – Przynajmniej nie w najbliższym czasie. Nie mów nawet o takich rzeczach, to mnie tak dołuje.

– W takim razie przepraszam – odparła wyraźnie urażona. – Po prostu staram się przetrwać. To nie jest łatwe także dla mnie, zrozum.

Spojrzał na nią smutnym wzrokiem. Nie mogę jej już kochać, pomyślał i zupełnie opadł z sił, przygnębiony i smutny. Wszystko między nimi się popsuło, zbyt wiele się wydarzyło, nie mogę tego przeboleć. Nie, pomyślał w następnej chwili, czy kiedykolwiek mi przejdzie?

– Musimy coś zjeść – powiedziała Carmen po kilku chwilach ciszy. – Mogę ugotować spaghetti i usmażyć klopsiki.

Odmówił. Nie, zdecydowanie nie chciał żadnego jedzenia. Chciał ukarać się głodem, odpokutować za śmierć Tommy'ego, za to, że nie zadbał o jego bezpieczeństwo, że nie postawił tego cholernego płotu, że siedział w piwnicy i naprawiał stary rower. Jakby to było ważne. Zawsze są takie chwile, pomyślał, kilka minut, kiedy dziecko jest bez

nadzoru. Tommy dopiero co nauczył się chodzić i drzwi na podwórko były otwarte, chwiejnym krokiem ruszył w stronę lśniącego jeziora. Dzieci i woda. Oczywiście, że tak musiało się stać. Śledził wzrokiem Carmen, wycierała właśnie szmatką blat. Sięgnęła do szafki po paczkę spaghetti.

– Bez względu na to, co mówi kościół, Tommy nie poszedł do nieba. Oboje jesteśmy hipokrytami. Jesteśmy hipokrytami, bo zrobiliśmy całą tę szopkę w kościele, źle się z tym czuję.

Odwróciła się i spojrzała na niego z oburzeniem.

– Mów za siebie – powiedziała urażonym tonem. – Niech każdy wierzy, w co chce. Ja nie mam lepszego pomysłu, dokąd dusza miałaby się udać. A Tommy miał duszę, zgadzasz się chyba?

Tak, pomyślał, to chyba prawda. Ale ona utonęła razem z ciałem. Żadnego żywego ciała, żadnej energii i żadnej duszy.

– Więc uważasz, że znowu zobaczysz Tommy'ego? – spytał. – W niebie?

– Nie bądź taki głupi. Po prostu wierzę w życie po śmierci. Jeśli chcesz bawić się w ateistę, to w porządku. Ale ty też nie znasz odpowiedzi na wszystkie pytania. Mądrzejsi od ciebie są wierzący, musisz to przyznać.

Położył łokcie na stole. Miała rację. Patrząc, jak Carmen krząta się przy blacie, poruszała się tak szybko, obiad był już prawie gotowy. I oczywiście był bardzo głodny. Niewątpliwie potrzebował pożywienia.

– Widziałeś, co dostałam od Papy Zity? – zapytała. – Dał mi prezent.

Tak, widział, ale zaraz o tym zapomniał. Ojciec wręczył jej paczkę, kiedy wrócili do samochodu. Po zakończeniu ceremonii

w kościele. Domyślał się, że to książka, taki mały, płaski pakunek. Może książka o śmierci, którą mogłaby przeczytać i znaleźć w niej ukojenie, to by było w stylu Zity, tak właśnie myślał, że wszystko da się rozwiązać słowami.

– Będę pisać pamiętnik – powiedziała radośnie. – Chciał, żebym spisywała wszystko, co się wydarzyło. I wszystko, co się stanie w przyszłości. Ale nie wolno ci czytać, no wiesz, bo pamiętniki mają być tajne.

Wyciągnęła szufladę i wzięła do ręki dziennik. To była piękna mała książeczka z czerwoną okładką. Z przodu była mała etykieta. Tam napisała swoje imię schludnymi literami.

– Pokaż – poprosił i wyciągnął rękę. Otworzył na pierwszej stronie, która wciąż była pusta. – Będiesz w nim pisać codziennie?

– Tak – odparła pewnym głosem. – Każdego wieczoru będę robić notatki.

– Ale jeśli nic się nie zdarzy?

– Oczywiście, że coś się zdarzy. Zawsze coś się dzieje. Dziś pochowaliśmy Tommy'ego. Jutro pójdziemy zobaczyć jego grób pod drzewami. A następnego dnia idziemy do kamieniarza w Kruttverket, prawda? A jeśli nic się nie stanie, to napiszę właśnie to – mówiła z zapalem. – „Dziś już się skończyło i nic się nie stało”.

Podeszła do biurka i włożyła zeszyt do dolnej szuflady.

– Trzymaj się z daleka – przypomniała żartobliwym tonem.

Wróciła do kuchni i włożyła spaghetti do garnka, odsunęła pokrywkę. Usiadła przy stole. Wzięła jego dłonie w swoje i mocno je ścisnęła.

– To minie – powiedziała stanowczo. – To wszystko, co tak bardzo boli, przeminie. Nie potrafisz po prostu myśleć do przodu.

- Nie. Wręcz przeciwnie, to się nigdy nie skończy.
- Nie zapomnisz, prawda? – spytała cicho.
- Zgadza się, nie zapomnę. Ale wychodzę z założenia, że ty tak. Nie rozumiem cię kompletnie.
- Zawsze byłam silna – powiedziała wtedy. – Wiesz, jestem bardzo podobna do taty.

*

Dwudziesty siódmy sierpnia, rano.

Trwało późne lato, wielu tęskniło już do jesieni, z jej kojącym zmierzchem, chłodnymi nocami i ciemnością. Ale tymczasem nastał dzień i słońce paliło nieubłaganie z błękitnego nieba. Piekło w oczy i wysuszało pola, cała przyroda była spragniona i tęskniła za chłodnym, kojącym deszczem.

To nie tak, że triumfował, nie był taką osobą. Jego życie nigdy się nie kręciło wokół zemsty, nienawiści i goryczy, nie było na nie miejsca w jego pracy, której celem było znaleźć winnego. Nie czekał więc na przesłuchanie z radością, nie była to bitwa, którą ostatecznie miał wygrać. W tej sprawie byli tylko przegrani, Tommy, Nicolai i Carmen, Marian i Elsa. Coś innego budziło w nim emocje. Intuicja go nie zawiodła, to, co przeczuwał, prawdopodobnie teraz okaże się prawdą – dziecko zostało zabite.

Carmen weszła do pokoju, a on wskazał jej miejsce. Tym razem nie przesłuchiwał jej w gabinecie z pięknym widokiem z okna i psem na kocyku, tylko w jednym z pokoi przesłuchań, najsmutniejszym, jaki można było znaleźć, pustym, z surowymi ceglanymi ścianami i ostrym światłem. Stała przez chwilę i rozglądała się po spartańskim wnętrzu. Wydawała się zdezorientowana i niepewna, ale próbowała

się pozbierać. To miejsce nie było specjalne zachęcające, mogło się kojarzyć z jaskinią w górach. Żadnych okien, nic na ścianach, tylko jasne światło. Dwa krzesła i stół, laptop. Lampa na stole z żarówką halogenową, świetlówki w suficie.

– Nie rozumiem tego całego zamieszania – zaczęła. – Nie mam nic więcej do powiedzenia, dajcie mi już spokój.

– Zobaczmy – odrzekł spokojnie Sejer. – Proszę usiąść, musimy porozmawiać.

Miała na sobie sukienkę bez rękawów, krótką niemal jak koszulka, a kiedy usiadła, odsłoniła strasznie chude uda. Ważyła pewnie najwyżej czterdzieści kilka kilogramów. Na stopach miała sandały, które chyba ją obcierały, bo na piętach przykleiła plastry.

Sejer uporządkował papiery, włączył dyktafon i położył go między nimi na stole. Elektroniczne urządzenie wielkości paczki papierosów, świecące złowieszczym czerwonym okiem.

– Proszę, żeby ponownie zrelacjonowała pani przebieg wydarzeń w Damtjern dziesiątego sierpnia. To prawda, że już składała pani wyjaśnienia, ale dokonano kilku zaskakujących ustaleń, co oznacza, że musimy przez to przejść jeszcze raz.

– Jakich ustaleń? – zapytała szorstko. Jak dotąd nie ustąpiła ani o milimetr.

– W Instytucie Medycyny Sądowej przeprowadzono sekcję zwłok Tommy’ego – wyjaśnił. – Ciało zostało dokładnie zbadane. Następnie wykonano mnóstwo badań. Pobrano próbki krwi, śliny i tkanek. Koronerowi nie umyka żaden szczegół i oczywiście ma pani prawo być na bieżąco z naszymi ustaleniami. Szukamy, rzecz jasna, między innymi oznak przemocy. I toksyn, czyli trucizny. Teraz nadeszły

wyniki z laboratorium i dlatego została pani wezwana na przesłuchanie. To bardzo poważna sprawa, rozumie pani, co mówię?

Carmen Zita szybko się opanowała. Otrucie i przemoc, nie, to były jakieś wymysły, to ją uderzyło, uniosła więc brodę, wciąż wyzywająca, dumna i niepokonana.

- I nie - powiedział, zanim zdążyła zaprotestować. - Nie znaleźliśmy oznak przemocy. Nie znaleźliśmy żadnych toksyn. Ale znaleźliśmy coś innego.

Kiwnęła głową, niemal mechanicznie. Jej usta zacisnęły się, wiedział, że jej serce bije szybciej, policzki nagle poczerwieniały.

- A więc - podjął surowym tonem. - Proszę sobie przypomnieć i jeszcze raz wszystko opowiedzieć. Dziesiąty sierpnia, jest około pierwszej po południu. Nicolai pracuje w piwnicy przy rowerze. Pani jest zajęta w kuchni. Tommy bawi się na podłodze, zupełnie nagi, bo jest gorąco.

- Tak - potwierdziła. - Stałam w kuchni i szykowałam jedzenie. Kiedy skończyłam, musiałam iść do łazienki. I naprawdę musi mi pan wybaczyć, ale byłam tam dość długo. Ale to nie jest przestępstwo, prawda?

- Dlaczego? Proszę mi wyjaśnić, co tam panią tak zajęło, jestem po prostu ciekawy.

- Wcześniej uprałam i wymoczyłam skarpetki, teraz wypłukałam je i powiesiłam na sznurku. Nie mogę prać skarpetek w pralce, kurczą się. To zajęło mi kilka minut.

- Co to znaczy kilka, proszę sprecyzować.

- No, może sześć, siedem minut. Może więcej, nie jestem pewna. Kiedy wróciłam do kuchni, Tommy'ego nie było, więc zaczęłam szukać. W salonie, przedpokoju, sypialni. Minęło trochę czasu,

zanim zdałam sobie sprawę, że nie ma go w domu. Na początku nie pomyślałam o jeziorku, od zawsze przecież tam było, nie sądziłam, że on będzie w stanie zejść tak daleko. W tak krótkim czasie. Bez butów, żwir jest przecież ostry.

Znowu ręka podniosła się do oczu, a łzy zaczęły płynąć strumieniem.

– Potem poszłam nad jezioro i od razu go zobaczyłam. Tuż przy pomoście. I to nie była moja wina, bez względu na to, co pan uważa.

Sejer coś zanotował.

– A co uważam pani zdaniem? – zapytał cierpliwie.

– No... że to moja wina. Ale ja nic nie ukrywam, jestem całkowicie niewinna.

– I co pani wtedy zrobiła? Proszę opowiedzieć.

– Rzuciłam się do wody, bez wahania. Wyciągnęłam go, robiłam usta-usta. Ale to nie pomogło, on już nie żył. A wokół ust było dużo piany, byłam kompletnie przerażona.

– Jak długo to trwało? – pytał.

– Nie wiem, nie pamiętam. Pobiegłam do domu i otworzyłam drzwi do piwnicy. Krzyknęłam do Nicolaia, że musi przyjść. On też spanikował i po kilku sekundach znalazł się nad wodą. Podjął też próbę resuscytacji i byłam pewna, że da radę, bo Nicolai jest tak dobry we wszystkich dziedzinach. Ale bez względu na to, co robił, nie mógł zmusić serca Tommy'ego do pracy. Kiedy przyjechali ratownicy, przejęli reanimację i oczywiście byli dużo mądrzejsi od nas, ale też nie mogli nic zrobić, mimo że próbowali w nieskończoność. Kiedy powiedzieli, że nie są już w stanie pomóc, prawie zemdlałam. Na moich oczach się poddali. „To koniec”,

powiedzieli, a jeden z nich płakał jak małe dziecko. I my płakaliśmy, oboje, a Nicolai był w szoku.

Teraz, w tym momencie zeznań, zmieniła pozycję na krześle, jakby chciała dodać wagi słowom.

– I nic nie rozumiałam, kiedy policja powiedziała, że mamy z nimi jechać do komisariatu. To był przecież wypadek – podsumowała stanowczo.

Wygadała się. Sejer znowu coś zanotował, w jego głowie kłębiły się myśli, a smutek mieszał się z litością. Nie sprawiało mu radości rozdieranie jej narracji na strzępy, była przecież prawie dzieckiem, bardzo jej współczuł. Ale wciąż miał wiele pytań i chciał poznać odpowiedzi. Fascynował go jednak zawsze ten moment, kiedy maska musiała opaść. Wszystko dzięki nauce, intuicji i talentowi.

– Carmen... – podjął spokojnie, patrząc na nią. – Dlaczego pani kłamie?

– Nie kłamie! – krzyknęła. – Teraz pan przesadził. Nie mogę znieść dalszych oskarżeń, zrobiłam, co mogłam, ale było już za późno!

Sejer pozwolił jej chwilę posiedzieć w milczeniu, wybuch wisiał w powietrzu. Przygotowywał następny ruch.

– Wiem, że nie było tak, jak mi to pani teraz opowiedziała. Miała pani teraz szansę, by wyznać prawdę, wciąż czekam na jedyne właściwe wyjaśnienie. Ciało Tommy'ego zostało dokładnie zbadane i wykonano mnóstwo testów. Przyczyną śmierci było utonięcie, to ustaliliśmy. Ale nie utopił się w jeziorze. To nie jest bezpodstawne oskarżenie. To są udokumentowane fakty, które teraz wykładam na stół.

– Co? – spytała niepewnie. – Co ma pan na myśli? Nie rozumiem, o co panu chodzi, przecież wszystko wyjaśniłam!

Patrzyła z przygnębieniem na dyktafon leżący między nimi na stole. Wciąż świecił czerwonym okiem, jakby chciał zarejestrować jej najmniejszy oddech.

– Proszę nie mówić takich rzeczy, to mnie denerwuje – dodała.

– Tommy miał wodę w płucach – powiedział Sejer. – Ale nie była to woda z Damtjern. Płyn w płucach Tommy’ego zawierał mydło.

No. Powiedział, co miał powiedzieć. Zanotował coś szybko i spojrzał na nią przez stół.

– Więc teraz muszę panią zapytać: jak pani to wyjaśni?

Cisza, która po tym nastąpiła, była tak całkowita, że mimo dźwiękoszczelnego pokoju przesłuchań słyszeli ruch uliczny na zewnątrz. To nie mętna woda z Damtjern, tylko mydliny. Nie da się tego wyjaśnić. Kompletnie się zablokowała. Widział, że szuka słów, ale żadnych nie znalazła.

– Co naprawdę się stało? Utopił się w wannie? Nie jest pani w stanie uciec od prawdy, nie po tych ustaleniach. Jeśli mamy tu siedzieć do zimy, to tak właśnie będzie, aż usłyszę, co dokładnie się wydarzyło.

– Czy jestem o coś podejrzana? – zapytała potulnie. – Może pan powiedzieć, jeśli tak jest. Jeśli jestem o coś podejrzana, to mam prawo do adwokata. Nie odpowiem już na żadne zasrane pytania! – wybuchnęła nagle, zanosząc się płaczem. Łzy płynęły teraz ciągłym strumieniem z oczu. Na szczyt kości policzkowych wystąpiła wściekła czerwień.

– Oczywiście, że ma pani prawo do adwokata. Ale teraz chodzi o to, że złożyła pani fałszywe zeznanie. To poważna sprawa. Na razie

takie jest moje stanowisko. Ale ma pani jeszcze szansę wyznać, jak było. Proszę mi opowiedzieć, co naprawdę się stało, ja tu posiedzę i posłucham.

Carmen Zita nadal płakała. Był to płacz osoby zranionej i skrzywdzonej, z wielką ilością łez.

– Tak, wyjaśnię to, ale w takim razie musi mi pan uwierzyć – mówiła pospiesznie. – Tak właśnie było, znalazłam go w wannie. I było już za późno.

Odchyliła się na krześle, skrzyżowała ramiona i spojrzała na niego wyczekująco. Sejer słuchał i robił notatki. Znaleziony w wannie, cóż, to niewykluczone. Incydent nadal mógł być wypadkiem. W takiej sytuacji mogłaby zostać skazana za zaniedbanie i prawdopodobnie zdawała sobie z tego sprawę.

– Więc włożyła go pani do wanny, do ciepłej wody z mydłem. Do dużej wanny czy ma pani wanienkę dziecięcą?

– Dużej – wyjaśniła – był w dużej wannie. Była całkiem wypełniona wodą. Musiałam go przytrzymywać, żeby się nie poślizgnął. Klęczałam na podłodze. Bawiliśmy się gumowymi kaczkami, bardzo to lubi.

– Dlaczego go pani zostawiła?

Potrząsnęła jasną głową.

– Nie zostawiłam go, nie jestem przecież głupia. Nikt nie zostawiłby tak małego dziecka w wannie pełnej wody, nie jestem taka nieodpowiedzialna.

Pochyliła się nad stołem i spojrzała na niego uważnie.

– Miałam atak – powiedziała dramatycznym tonem. – Mam je czasem.

– Atak? Jaki atak? Proszę mi wyjaśnić.

Znów usłyszał ruch uliczny na zewnątrz. Ale Sejer bez reszty koncentrował się na tym, co się działo w tym pokoju.

- Mam poważne zaburzenie neurologiczne - wyznała. Znowu z tym nadąsaniem, dolną wargą wysuniętą lekko do przodu, jakby była obrażona.

- Co to za zaburzenie? - zapytał.

- Mam epilepsję. Kapałam go i wtedy dostałam silnego ataku. Upadłam i przez jakiś czas byłam nieprzytomna. Kiedy się ocknęłam, on leżał na dnie wanny, było już za późno. Spanikowałam, zupełnie straciłam głowę. Praktycznie nie wiedziałam, co robię. Musi pan zrozumieć - dodała - jak bardzo się bałam, byłam zrozpaczona.

A więc atak. Z drgawkami i utratą przytomności. Sejer sprawdził, czy dyktafon działa. Wszystkie słowa Carmen miały znaleźć się na tym maleńkim urządzeniu, wszystkie mogły zostać użyte przeciwko niej lub na jej korzyść w sądzie, kiedy dojdzie do procesu.

- Myślałam, że mogę zostać skazana za zaniechanie, jeśli powiem, jak było - kontynuowała. - Dlatego zaniósłam go do jeziora. Potem mogłam powiedzieć, że sam tam poszedł, o własnych siłach. Na pomost... Byłoby to bardziej zrozumiałe wyjaśnienie i w pewnym sensie nie moja wina. Zwykły nieszczęśliwy wypadek. Tak, tak właśnie myślałam, pewnie głupio to zabrzmiało, ale nie byłam całkiem sobą, musi pan to zrozumieć, to był poważny atak. Więc wyniosłam go z domu i wrzuciłam do wody. Udałam, że tak się stało, musiałam stworzyć nową, fałszywą wersję wydarzeń. Potem pobiegłam po Nicolaia. I nie możecie go dalej męczyć, bo to na pewno nie jest jego wina!

Po tym wybuchu znów zapadła cisza, a Sejer czekał. Nie mógł się nadziwić, że sprawa przybrała taki obrót. Według jego obecnej wiedzy teraz opowiedziała mu prawdę. Niezwykle zawiła historia, być może zbyt zawiła, by mogła być kłamstwem.

– Od jak dawna choruje pani na epilepsję?

– Od urodzenia. Mam ją od zawsze, jest dosyć poważna.

– Przyjmuje pani leki?

– Tak, oczywiście, że przyjmuję leki, co za głupie pytanie! Nie mam często napadów, ale kiedy już się pojawiają, są bardzo silne i trwają długo. Może raz w miesiącu, mniej więcej. To uszkodzenie mózgu, które wystąpiło przy urodzeniu, byliśmy niedotlenione. Miałam siostrę bliźniaczkę, to był ciężki poród. Moja siostra Louisa zmarła od razu, żyła tylko godzinę. Ważyła ledwie trzy czwarte kilograma. Ja ważyłam trzy i pół, więc może pan sobie wyobrazić, jak to wyglądało. Byłam silniejsza z nas dwóch i jestem z tego dumna, nieważne, co pan o tym myśli.

– Jak się pani czuje po tak ciężkim epizodzie? – zapytał.

– Źle – odparła szybko. – Oszołomiona, otumaniona, bezwładna. Wtedy właściwie nie wiem, co robię, nie mam jasności w głowie, dużo czasu mija, zanim dojdę do siebie. Potem nic nie pamiętam z pierwszych kilku minut, są one jakby wymazane. Zwykle muszę się położyć i odpocząć, często śpię kilka godzin. Całe życie funkcjonuję z tym schorzeniem, więc jestem do tego przyzwyczajona. Tak jak Nicolai i oczywiście tata. Wiedzą, jak to jest, rozumieją mnie.

Sejer siedział i zastanawiał się nad tym, co usłyszał. Mogło być tak, jak mówiła. Trzymając się tej wersji, była w stanie się wymigać od odpowiedzialności, dziwniejsze rzeczy działały się w norweskim wymiarze sprawiedliwości. Dobry obrońca. Urocza

powierzchność. Ciągły strumień łez i poważne, przewlekłe schorzenie, które powodowało u niej atak.

– Nie powinnam była go kąpać bez pomocy Nicolaia – dodała, lekko pociągając nosem. – Ale on jest zawsze tak zajęty swoimi starymi rowerami, gdybym tylko mogła przewidzieć atak, wystarczyłoby go zawołać. Ale tym razem nie mogłam.

– Więc czasem czuje pani, że atak nadchodzi?

– Czasami tak jest, zauważam znaki ostrzegawcze. Ale teraz tak nie było, atak po prostu przyszedł. Zanim zdążyłam pomyśleć, upadłam na podłogę. A Tommy wślizgnął mi się z rąk i poszedł pod wodę. Musi pan mnie teraz wysłuchać, bo to prawda!

– To bardzo poważna sprawa – powiedział Sejer spokojnie. – Próbowала pani ukryć, co się faktycznie wydarzyło, to nie wygląda dobrze. Powinna była pani opowiedzieć to od razu, miała pani szansę. Teraz obawiam się, że sprawa trafi przed sąd. Będzie pani musiała składać tam wyjaśnienia, nie ma od tego ucieczki. Gdyby od razu była pani szczerą, sprawy potoczyłyby się lepiej, ale fałszywe zeznania powodują naszą nieufność, rozumie to pani z pewnością.

– Ale teraz powiedziałam, jak było – załkała. – Czy trafię do więzienia?

– Prokuratura zdecyduje, czy postawić pani zarzuty, a sąd, czy trafi pani do więzienia. Być może będziemy musieli panią aresztować, zobaczymy z czasem, ta decyzja należy do prokuratora. I, jak wspomniała pani wcześniej, dostanie pani dobrego adwokata. Ale teraz proszę o szczerą odpowiedź. Czy teraz powiedziała pani prawdę o tym, co się stało?

– Tak! – wypaliła. – Taka jest prawda. Upadłam na podłogę w napadzie drgawek. Tommy wślizgnął się pod wodę i utonął, to był

wypadek! Byłam głupia, ale nie jestem winna niczego innego, niczego gorszego. Cokolwiek pan myśli, proszę dać temu spokój!

– Jak się nazywa pani lekarz pierwszego kontaktu? – zapytał Sejer.

– Morris – odparła zaskoczona. – W przychodni przy Ågårds plass. Po co chce pan to wiedzieć?

– Chcę szczegółowo poznać całą pani historię medyczną – odrzekł poważnie. – Może ona panią uratuje.

*

Drogi pamiętniku!

Po raz pierwszy, mój drogi przyjacielu, mój nowy powierniku. Zapiszę w tym notatniku z czerwoną okładką wszystkie rzeczy, które się wydarzyły, na zawsze. Postaram się być szczerą, ale może to zająć trochę czasu, bo prawda ukrywa się głęboko w środku i dotyczy to nie tylko mnie, dotyczy to wszystkich. Taka jest teraz sytuacja. Przynajmniej uniknęłam więzienia, sprawa zdaniem prokuratury nie jest jasna, tak powiedział surowy inspektor, a mi ulżyło. Jestem młoda, nigdy wcześniej nie byłam karana, mam dobrego obrońcę, dzięki Bogu za to, teraz wszystko musi iść swoim torem. Obrońca nazywa się Fredrik Friis i ma tyle lat co tata. To pocieszające, że jest po mojej stronie, bez względu na to, co się stanie, będzie mnie wspierał. Mówi, że będzie dobrze, że sąd będzie musiał mi uwierzyć, że to niefortunne skutki ataku padaczki. Używam teraz tych słów, których on użył, są takie kojące. W sądzie to on będzie przemawiał, a ludzie będą słuchać. Nicolai idzie na przesłuchanie dziś po południu, ale nie ma nic więcej do powiedzenia, poza tym że krzyczałam w panice, kiedy ta tragedia się wydarzyła. Że było już za

późno, kiedy w końcu przybiegł. Właściwie to bardzo mi szkoda Nicolaia. Znosi to tak strasznie, całe jego życie legło w gruzach, nie ma odwrotu. Ale, o mój Boże, byłam tak przerażona, kiedy policja wyskoczyła ze swoimi ustaleniami, nigdy nie sądziłam, że mogą doszukać się tak wielu szczegółów. Po pobraniu ledwie kilku próbek, przerażające. W ogóle mi to nie przyszło do głowy. Woda z pozostałościami mydła ujawniła tak wiele. Tata jest teraz moim pocieszycielem. Wierzy we mnie i pomaga w każdy możliwy sposób, jest absolutnie niezastąpiony. A teraz przekonało go moje nowe wyjaśnienie. Ale Nicolai bardzo się rozgniewał, krzyczał, wrzeszczał i grzmiał. „Jak mogłaś zrobić coś takiego, masz nie po kolei w głowie!”, wołał wściekły, a to nie zdarza mu się zbyt często. Zaczęłam więc płakać i jak zwykle na widok moich łez się wycofał. Siedzi teraz, milczący jak głaz, nie da się do niego dotrzeć. A przecież wie, jak się czuję po ciężkim ataku. Tak, zdecydowanie powiedziałabym, że moja linia obrony jest mocna.

Bardzo chciałabym mieć rodzeństwo.

Często o tym myślę i zawsze, kiedy przychodzą takie myśli, naprawdę mnie to boli. Brat lub młodsza siostra, ktoś, na kim mogłabym się oprzeć w rozpacz, ktoś, komu mogłabym poskarżyć się na wszystko, co poszło tak okropnie. Ktoś, komu mogłabym się zwierzyć. Byłoby tak miło, ale teraz mam ciebie, drogi pamiętniku, ty też się przydasz. Szkoda, że Louisa umarła. Powinniśmy być we dwie. Może to moja wina. Może byłam zbyt chciwa, zabrałam jej cały pokarm. I zostałam za to ukarana, a teraz jestem całkiem sama. A Nicolai, biedactwo, które w ogóle nie ma rodziny. Nic dziwnego, że Papa Zita stał się mu tak bliski, bardzo się z tego cieszę, bo każdy

potrzebuje kogoś, do kogo może się udać w trudnych chwilach. Życie jest teraz nie do zniesienia, ale zrobię, co w mojej mocy, by przetrwać. W pamiętniku należy pisać prawdę, zobaczę, czy mi się uda. Zawsze istnieje obawa, że przeczyta to ktoś postronny, chociaż Nicolai na pewno będzie się trzymać z daleka, ma silny kręgosłup moralny. Jest skromny, zachowuje się właściwie, jest grzeczny, dlatego go wybrałam. Wieczorami siedzi przy komputerze, na Facebooku. Może ma tam przyjaciół, o których nie wiem, to niewykluczone, chłopaków, a może nawet ładne dziewczyny. Ale nie marudzę, pozwalam mu siedzieć w spokoju. Nicolai jest mi bardzo drogi. Chyba go nie kocham, to raczej minęło na dobre, teraz stał się bardziej przyzwyczajeniem. Ale bardzo miłym, mogę tak powiedzieć. Ma to coś wspólnego z Tommym, tak wiele się teraz zepsuło. Może dołączymy do statystyk jako związek, który się rozpadł, to z pewnością nie byłoby dziwne, czytałam o takich rzeczach. Nie wiem, jak sobie poradzimy, to Tommy trzymał nas razem. A teraz, po tym wszystkim, w każdym pokoju jest zadziwiająco pusto i śmiertelnie cicho. Ta cisza jest jednak dobra, szczerze mówiąc. Bez krzyków, bez zamieszania, wielka ulga. Uważnie obserwuję Nicolaia i jego zachowanie. Na wypadek gdyby się załamał, bo do tego chyba to zmierza. Stał się tak kruchy, rozpada się na kawałki. A teraz jesteśmy sami, tylko on i ja, nagle sobie obcy, zderzamy się jak dwie kostki do gry w pudełku.

*

– Z Carmen nie jest łatwo – powiedział Nicolai – jest taka uparta, niezależna i asertywna. To ona decyduje o wszystkim i robi to z taką siłą... Ale myślę, że tak naprawdę to ja jestem słaby, nie umiem z nią

wygrać. Po prostu podążam za nią, we wszystkim, tak jest od kilku lat, ona prze naprzód w każdej dziedzinie, a ja nie do końca.

– Ma epilepsję – powiedział Sejer. – Jak pan się z tym czuje?

– Żal mi jej, to nie jest zbyt przyjemne. To przerażające zaburzenie, które wyłącza ją z życia. Szczerze mówiąc, dotyczy to również mnie. Zwykle próbuje to ukryć, jakby jej było wstyd, a przecież wcale tak nie jest. To choroba przewlekła, ale napady nie są częste, leczy się klonazepamem. Ataki zdarzają się może raz w miesiącu. Są jednak brutalne, jest nieprzytomna przez dość długi czas i oczywiście przebiega to bardzo dramatycznie. Drgawki są silne i trwają dość długo. Nie powiedziałem Carmen, ale nigdy się do tego nie przyzwyczaję, kompletnie mnie to załamuje. Potem jest zdezorientowana, jakby nie była sobą. A mnie ogarniają strach i zmartwienie.

– W jakim sensie nie jest sobą? – spytał Sejer. – Czy zdarza się, że wskutek ataku zaczyna zachowywać się irracjonalnie?

– Tak, absolutnie, snuje się bez sensu. Muszę ją zaganiać jak pies, dopóki jej nie przejdzie. A to zajmuje trochę czasu, to jak awaria prądu.

– Więc po ataku może być zdezorientowana? Tak mi powiedziała w trakcie przesłuchania.

– Tak, to prawda, robi się zdezorientowana. Jakby się zresetowała. Nie wie, jaki jest dzień i takie tam. Robi głupie rzeczy, o których później zapomina, to dość przerażające.

– Myślał pan o podanej teraz przez nią nowej wersji wydarzeń?

– Oczywiście, że tak. Nie wierzyłem własnym uszom, to znaczy... że tak można. Mogła mnie zawołać, byłem niedaleko. Mówi, że wpadła w panikę, i staram się to zrozumieć.

– Muszę pana o coś zapytać w związku z tą epilepsją. Czy Carmen może wyczuć z wyprzedzeniem, że zbliża się atak?

– Tak, może. Nie zawsze, ale przeważnie.

– I co wtedy robi?

– Kładzie się na kanapie lub płasko na podłodze. To znaczy, robi, co może, jest cały czas czujna. Muszę się przyznać do czegoś wstydliwego – dodał. – Nie kocham już Carmen tak, jak powinienem.

Sejer posłał mu spojrzenie pełne ojcowskiego zrozumienia.

– No cóż... Jak mocno pańskim zdaniem powinien ją pan kochać? Życie nie jest łatwe i nie musi pan kochać partnerki aż tak jak na początku, trzeba to przyjąć ze spokojem.

– A pan? – zapytał zaciekawiony Nicolai. – Kocha pan żonę tak jak wcześniej?

– Żonę? Jak by to powiedzieć... Zmarła wiele lat temu, miała tylko czterdzieści lat, mieszkam sam. To znaczy razem z Frankiem, którego mieliście przyjemność poznać. Nie powiem złego słowa o Franku, ale to nie to samo, co partner życiowy.

– Och! Przepraszam! Nie wiedziałem...

Sejer uśmiechnął się tęsknie.

– Skąd miałby pan wiedzieć? Ale można chyba powiedzieć, że nigdy się nią nie znudziłem. I nadal ją kocham, to uczucie najwyraźniej nie gaśnie. Chociaż czasami chciałem, żeby tak było. Żebym mógł pójść dalej i może znaleźć nową żonę. Ale kiedy kogoś spotykam, tchórzę, bo wciąż czuję, że to jak zdrada. Pobraliśmy się w kościele – dodał, jakby to wszystko wyjaśniało. – No. Teraz zwierzyliśmy się sobie nawzajem. – Uśmiechnął się. – Proszę mi opowiedzieć, jak Tommy zmienił państwa związek.

- Trochę się nie zgadzaliśmy, jeśli chodzi o wychowanie. Można tak to chyba ująć. Carmen myślała, że go rozpieszczam, była o wiele surowsza ode mnie. Nie nosiła go, chociaż płakał sam w łóeczku, i tak dalej. Zadawałem sobie czasem pytanie, jak by to było mieć całkowicie normalne dziecko. Wie pan, czy wszystko byłoby wtedy łatwiejsze. Ale Tommy był najlepszy na świecie i czułem dumę. Miałem syna, chciałem go uczyć jeździć na rowerze. I może nawet grać w piłkę nożną. Jeśli oczywiście miałby wystarczająco dobrą kondycję, by biegać za piłką. Ale Carmen była po prostu rozczarowana. Nigdy nie powiedziała tego wprost, ale wyczuwałem w różnych drobiazgach, że odczuwa niechęć.

- Proszę podać mi jakiś przykład.

- No... kiedyś była w pracy, w restauracji, musiała wziąć kilka zmian z powodu choroby innego pracownika. Wpadłem tam niezapowiedziany z Tommym w wózku. Tylko się przywitać, pomyślałem, że na pewno ucieszy się na nasz widok. Ale kompletnie się pomyliłem. Szedłem całą drogę z Granfoss, to był miły spacer. A ona wydawała się zmartwiona, gdy tylko pojawiliśmy się w drzwiach. Pozostała dwójka, Siri i Elisabeth, tłoczyły się wokół wózka, ale Carmen nie lubiła chwalić się Tommym. Mimo to zebrała się w sobie i udawała entuzjazm. Dobrze ją jednak znam. I od razu zobaczyłem, że tylko udaje.

Zawahał się i spojrzał na Sejera zmartwiony.

- I to właśnie robi cały czas – podsumował. – Ona ciągle udaje.

*

Potem pojechał z powrotem do domu, do Granfoss, niebieskim golfem. Znalazł ją w kuchni, kroїła mięso w kostkę, pracowała

szybko, z łatwością, nóż był ostry. Miała na sobie dżinsową minispódniczkę i różową koszulkę z napisem na piersi. I have the pussy, so I am in charge.

Odwróciła się i spojrzała na niego. Stała wyczekująco, z nożem w dłoni.

– O czym rozmawialiście? – zapytała. – O co cię pytali, o Boże, jak oni nas męczą.

– Nieważne – odparł. – Nie dam rady zdać ci teraz jakiejś wielkiej relacji. Rozmawialiśmy o wielu rzeczach, całkiem lubię tego inspektora, jest przyzwoity i sprawiedliwy.

– Ale o co pytał? Możesz przecież odpowiedzieć, jest nas dwoje, chyba mam prawo do odrobiny otwartości.

– Otwartość. I ty to mówisz?

Niech się zastanawia, pomyślał, nie ma potrzeby jej informować. Poddała się więc. Poddała się i zaczęła gorączkowo mówić o czymś innym.

– Przyszło mi coś do głowy – powiedziała. – Może posadzimy bluszcz na grobie Tommy'ego? Radzi sobie zupełnie sam, nie wiadnie jak inne rośliny, a do tego jest bujny i piękny.

Odwróciła się ponownie i położyła pierwsze kostki mięsa na patelni. Zaraz zaczęły skwierczeć, już po kilku sekundach po kuchni rozszedł się zapach jedzenia.

Nicolai się zamyślił. Próbował to sobie wyobrazić, cały nagrobek pokryty liśćmi. Zdjął buty i usiadł na krześle, spojrzał na jej pytającą twarz i nagle poczuł przemożną potrzebę, by się mylić. Tak bardzo go to bolało. Nie rozumiał, jak ona może się zachowywać, jakby nic się nie wydarzyło. Stać tam i kroić mięso. Szybkimi, silnymi ruchami.

- Nie - powiedział stanowczo - żadnego bluszczu. Za bardzo się rozrasta. Zasłoni napis i wszystko zniknie. Bluszcz rośnie jak na drożdżach. Jest bardziej odpowiedni dla starszych.

Jęknęła, nieco zrezygnowana.

- Nigdy się z niczym nie zgadzasz - wytknęła. - Jesteś męczybułą. Bluszcz jest tak ładny, z czerwonymi i zielonymi liśćmi, prawie jak z bajki. Czy wiesz, że ma małe przyssawki? Dlatego może się wspinać wszędzie, po szkłe, kamieniu i drewnie, naprawdę nie rozumiem, dlaczego mówisz „nie”, bluszcz jest piękny.

Zdusił w sobie rozpacz, wstał ponownie i podszedł do szafki, wyjął talerze i szklanki, postawił je na stole. Przyniósł też sztucce i serwetki oraz dzbanek na wodę. Zerknął ukradkiem na jej wąską talię przy kuchence.

- Jak sądzisz, co myśli policja? - zapytał. - Po twoim nowym zeznaniu. Co, jeśli ci nie wierzą?

Znów się odwróciła i utkwiała w nim wzrok, teraz już nie prosiła go o nic.

- Sprawa zdaniem prokuratury nie jest jasna - powiedziała. - Tak mówi inspektor, on się na tym zna, nie aresztowali mnie. To był wypadek, wiesz, jaka jestem nieprzytomna po ciężkim napadzie. Przestań już mnie o to męczyć, nie chcę tego słuchać, daj sobie spokój!

Odgarnęła włosy z oczu, wrzuciła kilka kostek mięsa na patelnię i zabrała się do siekania cebuli. Od razu oczy zaczęły piec i łzawić.

- Bez względu na to, co uważasz, kocham Tommy'ego tak samo jak ty - powiedziała po chwili. - Nie myśl, że łączyło was coś wyjątkowego, w końcu ja jestem jego mamą. I nie mogę nic poradzić na to, że jestem silniejsza od ciebie. Wiesz, że mam to po tacie,

musisz to zaakceptować. Możesz się dołować, ale ja chcę iść dalej, musimy iść dalej. Rozumiem, że chcesz, bym dźwigała cały ten ciężar, ale ja też się męczę, żebyś wiedział.

Poczuł się winny. Tak, musiała dźwigać ten ciężar, on sam z trudem mógł znaleźć w sobie chociaż jedną jasną myśl. Poczucie winy ogarnęło go z ogromną siłą. Że nie zadbał o nich lepiej. Że uciekł przed upałem w kuchni i zszedł do chłodnej piwnicy. Z dala od gorąca, Carmen i dziecka, w ciszy i spokoju. Czy naprawdę chciał uciec? Od odpowiedzialności i obowiązku? Zdjął z półki przyprawy i położył je na stole. Jej słowa zraniły go do głębi. Bo z pewnością łączyło go coś szczególnego z Tommym. Uczucie, które teraz utracił na zawsze. Nie miałby takiej więzi z innym dzieckiem, był tego absolutnie pewien, nie potrafił sobie nawet tego wyobrazić.

– Przedtem – zaczął, odchrząknawszy – zanim urodził się Tommy i byliśmy tylko we dwoje... Często urządzaliśmy imprezy. Dom był pełen ludzi, muzyki i śmiechu. Ale nagle przestałaś kogokolwiek zapraszać. Nie chciałaś go pokazywać ludziom. Teraz możesz po prostu przyznać, że tak było, i tak to wiem.

Carmen odłożyła nóż i spojrzała na niego.

– Musisz przestać tak gadać! Nie wiesz, jak to jest, kiedy ludzie się gapią... ja nie mogę tego znieść! Cały czas musiałam się tłumaczyć i odpowiadać na pytania. Umie to i może tamto, a jak to będzie w przyszłości, nie, daj mi już spokój! Sytuacja jest wystarczająco zła, a ty tylko ją pogarszasz.

Opadła na krzesło przy kuchennym stole i ukryła twarz w dłoniach. Nie mógł się przełamać, by ją pocieszyć. Podeszedł do kuchenki i odsunął patelnię z palnika.

- Jestem pewna, że ty też się przejmowałeś – dodała, ocierając łzy. – Nie cieszyłeś się z tego, że był taki, jaki był. Po prostu nie chcesz się do tego przyznać. Ale cokolwiek myślisz, nie jesteś dużo lepszy ode mnie.

Wstała ponownie i włożyła na patelnię posiekaną cebulę. Odwróciła się ostatni raz i spojrzała mu w oczy.

- Cały czas zachowujesz się jak ofiara – warknęła ze złością. – Muszę ci przypomnieć, że jest nas dwójka. Ja też straciłam dziecko i nie mogę się z tym pogodzić. Możesz już siadać – dodała – obiad niedługo będzie gotowy. Jeśli teraz w ogóle zamierzasz coś jeść.

*

Po rozmowie z Nicolaiem poszedł na spacer nad rzekę w świetle zachodzącego słońca. Pies jak zwykle zajął się szukaniem czegoś, co mógłby podarować swemu panu. Często był to patyk, czasem puste pudełko po papierosach, skórka od banana, rzeczy, które ludzie wyrzucali podczas beztroskiego spaceru po mieście. Potem brał swój mały skarb do pyska i nosił go ze sobą przez resztę przechadzki, z wysoko uniesioną głową, niezmiernie dumny. Taszczył swoje znalezisko aż do mieszkania, gdzie od razu zabierał się do rozrywania go na strzępy.

Rzeka płynęła ciężko i spokojnie. Sejer wpatrywał się we wzburzony nurt, odczuwając ulgę, jak zawsze na widok płynącej wody, bo ona gasiła wieczny ogień jego serca. Przy brzegu podążała za nim para łabędzi o błyszczących czarnych oczach, ale nie miał żadnego chleba, więc wkrótce poddały się i odpłynęły na głębię. Frank już znalazł dzisiejsze trofeum. To był żółty plastikowy smoczek, pies wyglądał tak śmiesznie, gdy niósł go w pysku. Miał

zostać zabrany do domu, a tam rozłożony na elementy, gumę, tarczę i pierścień. Sejerowi zakręciło się w głowie. Niezbyt drastycznie, był to tylko sygnał, przypomnienie stanu rzeczy. Że też jestem taki ociążały, pomyślał, to pewnie przez swój wiek. Idąc, podziwiał łodzie zacumowane w długim szeregu, i te proste, skromne, drewniane, i te bardziej luksusowe. Kiedy dotarł do Skutebrygga, wybrał wolny stolik i usiadł nad wodą. Miał ochotę na piwo na słońcu, chciał skorzystać z ostatnich dni lata. Fontanna na rzece, z której zwykle tryskała woda wysokimi, silnymi strumieniami, została wyłączona. Brakowało mu jej. Potem znowu zakręciło mu się w głowie. Próbował usiedzieć spokojnie na krześle. Ostatnio zawroty głowy pojawiały się i znikwały, a teraz się nasiliły. Myśl o upadku na ziemię w ogródku restauracji, w środku miasta niespecjalnie przypadła mu do gustu. Kelnerka przyniosła mu piwo, wypił je oszczędnymi łykami. Myślał o Carmen i jej nowej wersji wydarzeń. Była tak niezwykła, że równie dobrze mogła okazać się prawdziwa, w życiu wszystko przecież było możliwe. A kiedy tak siedział ze swoim lodowatym piwem, myślał z niepokojem o Tommym i o tym, że prawda być może nigdy nie zostanie odkryta.

*

Drogi pamiętniku!

Czego oczy nie widzą, tego sercu nie żal. Żyję według tej prostej zasady, uważam, że jest absolutnie prawdziwa, po prostu dobrze powiedziane, prawda? Tutaj, w Granfoss, upał nie odpuszcza, co za gorące lato! Wszystkie kwiaty wokół domu zwiędły, nie byłam w stanie ich utrzymać przy życiu, nie mam kranu na zewnątrz, a noszenie wody jest trudne. Trawnik ma suche, żółte plamy, nie jest

zbyt ładny, teraz potrzebujemy obfitego deszczu, żeby przyroda mogła odżyć. I nie, nie czuję się winna. Nicolai ciągle mnie oskarża, mówiąc wprost, jest na wylocie. Codziennie, kiedy wchodzę rano do salonu, dostrzegam jego szklanekę po whisky na stoliku. Nie obchodzi go nawet, że to widzę, nie ma wstydu. Jeśli to będzie walka, wygram, bo w przeciwieństwie do Nicolaia mam siłę żyć dalej i jestem z tego dumna.

*

Papa Zita był hojnym człowiekiem i bardzo troszczył się o tych dwoje młodych ludzi. Czuł, że są pod jego opieką, czuł się za nich odpowiedzialny. Teraz postanowił wykupić im wycieczkę. Miał oczywiście dobre intencje, ale Nicolai nie wierzył, że jakikolwiek wyjazd pomoże mu zapomnieć. Bo nie mógł uciec od żalu, jak mogli w ogóle pomyśleć, że to możliwe?

– Więc zabierz ze sobą swój żal – westchnęła Carmen przygnębiona – jeśli nie możesz się z nim rozstać. Nie rozumiem cię, chyba dobrze jest trochę zapomnieć.

Nie odpowiedział. Tak, żal będzie im towarzyszył w podróży, tęsknota za Tommym była jak krzyk w jego oszołomionej głowie. Próbował się pozbierać, pomagać i współpracować, kłótnie przecież wszystko pogarszały, było już dość płaczu i nieszczęścia. Musieli żyć dalej, pomimo tego, co się wydarzyło. Był tego boleśnie świadomy, ale w głębi duszy po prostu nie chciał iść dalej. Tylko pograżając się w smutku, mógł być blisko Tommy'ego, jeśli otworzy się na radość, dziecko wymknie mu się z ramion i zniknie. Na myśl o tym, że resztę życia spędzi bez syna, brakowało mu tchu. Siedział dużo czasu w piwnicy, pracując w półmroku przy zepsutych rowerach. Poza tym

było tam miło i chłodno, nie lubił gorąca. W upale stawał się słaby i zmęczony, jakby działał na pół gwizdka, podczas gdy dla Carmen wszystko było o wiele łatwiejsze, była taka spokojna. Kiedyś oczywiście zakochał się właśnie w tym jej optymizmie, w tym, że zawsze znajdowała rozwiązanie. Że mogła ryczeć jak wodospad, po czym nagle znów była szczęśliwa i zapominała o smutku. Zakochał się w tej zdolności przetrwania, widział w niej wielką siłę, która mu imponowała. Teraz niepokoiło go, że Carmen tak lekko potraktowała śmierć Tommy'ego. Że tak szybko chciała ruszyć dalej, że tak szybko chciała zapomnieć, o łódeczku w piwnicy, ubraniach wyciągniętych z szuflad i przewiezionych w wielkich, wypchanych workach do Armii Zbawienia. Inne, obce dzieci nosiły teraz ubrania Tommy'ego, śmiały się i płakały w jego spodenkach, spały na jego poduszce, odpoczywały pod jego kołderką, a Nicolai nie mógł znieść tej myśli. Pewnego dnia zobaczył z przerażeniem, że zdjęcie synka zniknęło ze ściany nad kanapą. Zatrzymał się nagle i złapał za głowę, nie wierząc w to, co zobaczył, był kompletnie przerażony.

- Nie musisz tego tak przeżywać - powiedziała Carmen - właśnie je przeniosłam. Wisi teraz w sypialni, nad naszym łóżkiem, tak chyba będzie dobrze? Będziemy patrzeć na jego kochaną buzię, zasypiając. Daj już spokój, naprawdę.

Próbował się uspokoić. Ale serce mu mocno biło, policzki miał czerwone. Chciał być cierpliwy, chciał, żeby się pogodzili, tylko że Carmen była za szybka. Myślała i działała pod wpływem impulsu, a on sam siedział i cierpiał, zaskoczony obserwator jej poczynań. Co chwila udawało jej się go zranić. Podniosła głos i nazwała go mazgajem, to było nie do zniesienia. Słyszac to, zrozpaczony zupełnie stracił odwagę. Coś tak przykrego, coś tak bezdusznego,

nie, już nie mógł tego znieść. Nieczęsto płakał, ale od czasu do czasu, kiedy się kłócili, schodził do piwnicy. Stał tam i ryczał nad starym rowerem.

- Jeśli nie chcesz, pojedę sama - powiedziała stanowczo Carmen. - Ty będziesz siedzieć nad jeziorkiem i użalać się nad sobą, a ja będę się smażyć na plaży. Co mam powiedzieć tacie, masz jakąś propozycję?

- Nie - zawahał się chwilę. - To będzie jak zdrada wobec Tommy'ego. Długie upalne dni w słońcu, podczas gdy on leży samotnie przy kościele Møller.

- Mama codziennie dba o jego grób - odparła. - A tak przy okazji, zapomniałam wspomnieć, zasadziła bluszcz.

*

Dwudziesty pierwszy września, rano na Gardermoen.

- Tak - powiedział Nicolai, szturchając widelcem kawałek pizzy. - Zadzwoń na lotnisko, zapytać, jakim samolotem lecimy. Dobrze to wiedzieć. Wiesz, istnieje duża różnica między typami samolotów, my mamy lecieć ogromnym Airbusem.

- O czym teraz bredzisz? - zapytała Carmen. - Przecież nie boisz się chyba latać?

- Nie, ale trochę poszukałem w necie. Chcesz usłyszeć, co znalazłem?

- Niezupełnie - odparła z uśmiechem. - Tata zawsze powtarza, że ignorancja jest drogą do prawdziwego szczęścia.

- Samolot waży czterdzieści osiem ton - ciągnął Nicolai - a leci z prędkością ośmiuset pięćdziesięciu kilometrów na godzinę. Będziemy na wysokości czterdziestu tysięcy stóp. Za oknem

samolotu jest minus sześćdziesiąt stopni Celsjusza, w baku dwadzieścia pięć ton benzyny. A jeśli stado gęsi dostanie się do turbiny, wszystko idzie do diabła. W sumie doszło do osiemnastu poważnych wypadków lotniczych z udziałem tego typu samolotów, w których zginęło siedemset dziewięćdziesiąt osób.

Spojrzał na nią i przewrócił oczami, głównie po to, żeby ją rozbawić. Jak dobrze, że wciąż potrafi żartować, pomyślała Carmen, śmiejąc się.

– Słyszałaś, co powiedziałem? Siedmiuset dziewięćdziesięciu nieszczęśników. Więc pomyśl – ciągnął z uśmiechem – wcale nie jest pewne, czy to przeżyjemy. Wszystko, co po mnie zostanie, to plomba z lewej dolnej siódemki i pokręcony szkielet. Tak identyfikują ludzi. To znaczy, kiedy nie mają nic prócz zwęglonych szczątków.

Carmen roześmiała się perlistym śmiechem, tym, który tak bardzo kochał. Podobało jej się, że Nicolaiowi dopisuje humor, chciała przyłączyć się do żartu.

– Mój Boże, Nicolai, jesteś niewiarygodny!

Siedzieli w pizzerii i czekali. Nicolai nie tknął jedzenia. Zaczął o czymś myśleć i na jego czole pojawiła się głęboka zmarszczka.

– Chcę cię o coś zapytać – odezwał się z powagą. – I teraz musisz szczerze odpowiedzieć. Absolutnie szczerze, bo to jest coś, co muszę wiedzieć na pewno.

Spojrzała na niego i nadała się, jak zawsze gdy była sfrustrowana z niecierpliwości.

– Zawsze odpowiadam szczerze, kiedy o coś pytasz – odparła lekko urażona. Wytarła usta serwetką i spojrzała na niego pytająco.

– Gdyby wcześniej zrobili ci badania... i powiedzieliby ci, że Tommy ma zespół Downa. Co byś wtedy zrobiła? Dokonałabyś

aborcji?

Carmen odsunęła jedzenie i zastanowiła się przez kilka sekund. Nie zauważył zbytniego wahania, a kiedy w końcu odpowiedziała, jej głos był stanowczy i zdeterminowany.

- Tak. - Patrzyła na niego bez cienia wstydu. - Wtedy dokonałabym aborcji, to nie jest chyba zaskakujące. Dziwne, że w ogóle pytasz, to jest oczywiste. Żaden rodzic nie chce takiego dziecka.

Nicolai ścisnął serwetkę w spoconej dłoni.

- Ależ tak, Carmen - rzekł cicho. - Ja chciałem Tommy'ego. Takiego, jaki był.

- Ale, Nicolai, teraz ty musisz być szczery! Naprawdę chciałbyś, żebym urodziła takie dziecko? Chciałbyś tego całego trudu, który się z tym wiąże? Trudu, który trwa całe życie, bo takie dziecko nigdy nie dorasta. Codziennie, przez całe życie, małe dziecko w domu. Czy naprawdę chciałbyś, żebym kontynuowała taką ciążę? To znaczy... w szpitalu powiedzieli, że osoby z zespołem Downa kończą szkoły. Robią prawo jazdy. Że mają prawa wyborcze. Ale to dotyczy tylko niektórych. Oni są opóźnieni, Nicolai, prawie nic nie rozumieją!

Ścisnął ręce pod stołem, poczuł, jak paznokcie wbijają mu się w dłoń. Właściwie chciał ją uderzyć. I pomyślał, że gdyby ta rozmowa odbyła się w domu, w Granfoss, wtedy naprawdę by uderzył Carmen, zaatakowałby. Bo nie było tam świadków. Trzaśnięcie w policzek, w rozpacz, nieodwracalne. Ale w obecności tłumu ludzi tu, w kawiarni, się opamiętał. Nie, pomyślał po chwili, nie jestem z tych, którzy biją. Tak nisko nie chcę upaść, muszę się pozbierać.

- Teraz twoja kolej na szczerość - powiedziała Carmen surowo. - Czy gdybyśmy wcześniej znali prawdę, chciałbyś, żebym urodziła Tommy'ego?

- Tak - odrzekł, też mocnym głosem, też bez wahania. - Nie można zrezygnować z dziecka tylko dlatego, że nie jest doskonałe. Oboje jesteśmy mądrzy, ty jesteś bystra, ja też. I prawdopodobnie odziedziczył coś po nas. To znaczy, coś jest w genach, nawet jeśli ma ten zespół. Tommy dałby sobie radę, jestem tego absolutnie pewien, skończyłby szkołę, zrobił prawo jazdy, zagłosowałby w wyborach na właściwą partię. Ja bym się o to zatroszczył. Gdyby tylko pozwolono mu żyć. Słyszysz, co mówię?

- Nigdy tego nie sprawdzimy - odparła ostrożnie i wstała. Zarzuciła torebkę na ramię, by wyjść. - Idziemy do bramki, nie zapomnij o whisky i perfumach. Boarding już za pięć minut. I starczy już tej ponurej rozmowy, i tak jest za późno. Nie mamy już wyboru.

*

- Na szczęście - powiedziała łagodnie Carmen.

Nicolai upuścił walizkę na podłogę.

- Z czego się cieszysz?

- Dotarliśmy - wyjaśniła - a ty przeżyłeś. Wszystkie kości w twoim ciele są całe, twoje zęby są nienaruszone, to wspaniale. Twoje serce bije normalnie, jesteśmy tutaj, żywi. Myślisz, że wrócimy też bezpiecznie?

Nie odpowiedział. Nie bał się latać, mimo wypadku rodziców, ale myślał bardzo realistycznie, przynajmniej we własnej ocenie. Aparthotel San Rafael znajdował się zaledwie kilkaset metrów od

długiej kredowobiałej plaży w Alcudii. Zameldowali się i dostali dwie karty klucz, wsiedli do windy, wjechali na czwarte piętro. Carmen weszła pierwsza, była zachwycona wszystkim, balkonem z widokiem na morze i przestronną sypialnią. Oraz salonem z aneksem kuchennym. Na blacie stał powitalny kosz z jedzeniem i napojami, herbatnikami, winogronami, winem, czekoladą i orzechami. Wszystko było czyste i uporządkowane, w pokoju panowała chłodna, przyjemna temperatura, w tle szumiała cicho klimatyzacja. Nicolai wyszedł na balkon. Morze Śródziemne lśniło błękitem, a daleko na horyzoncie widzieli łódki, niektóre z łopoczącymi białymi żaglami.

– Pięknie – powiedział spokojnie, oparł się o balustradę i spojrzał w dół na hotelowy ogród. Carmen z zapalem skinęła głową. Otoczyła go ramieniem w talii, przytuliła czule, chciała być dobra i miła, i cierpliwa przez cały tydzień.

– Teraz spędzimy kilka miłych dni, tylko ty i ja. Tak jak wcześniej. To znaczy... przed Tommym.

– Ale ja nie tęsknię za czasem przed Tommym – odparł. – Czas przed Tommym był bez sensu. Przed Tommym była pustka.

– A więc nie cieszyłeś się ze mnie – powiedziała Carmen, lekko urażona. – Powinieneś być zabrać ze sobą stary rower – droczyła się. – Mógłbyś majstrować tu na balkonie. Czy byłbyś wtedy szczęśliwszy, z puszką smaru i w brudnym kombinezonie?

– Tak – odparł ze smutnym uśmiechem. – Stare rowery są najlepsze. Dobrze sprawić, że coś się kręci i jeździ.

Wróciła do środka i położyła walizkę na łóżku. Otworzyła ją i zaczęła przekładać ubrania do szafy. Spakowali lekkie ubrania, walizka była jednak ciężka, wypełniały ją głównie kosmetyki Carmen. Nigdy nie przyzwyczał się do tego arsenału butelek

i słoików. Zabrała ze sobą też pamiętnik. Chciała pisać w nim każdego dnia, żeby później móc sobie przypomnieć, jak minęły wakacje. Nicolai nadal siedział na balkonie. Był bardzo ciekawy, co napisała, ale nie chciał być wścibski, nawet gdyby miał okazję, było coś prostackiego w czytaniu czyjegoś pamiętnika. Z jakiegoś powodu nagle poczuł się nerwowo. Serce biło mu niespokojnie, na dłonie wystąpił pot. Jakby coś miało się wydarzyć, nie wiedział co, ale miał coś w rodzaju przeczucia. Narastał w nim ponury mrok. Nie był to tylko ciężki żal po Tommym, ale też coś innego, coś brzemiennego w skutki, przerażającego. Teraz jakby zboczył z kursu i znalazł się na ścieżce prowadzącej prosto w ciemność. Ogarniające go uczucia sprawiły, że zakręciło mu się w głowie, chociaż siedział na leżaku. Wstał i wrócił do salonu, znalazł torbę ze sklepu wolnocłowego, a w niej butelkę whisky. Wyjął szklanekę z szafki. Nalał sobie sporą porcję i znów wyszedł na balkon.

– Tego już za wiele! – wybuchnęła Carmen.

– Tylko jedną – powiedział Nicolai, niczym nieposłuszne dziecko. – Muszę uspokoić nerwy, mam dużo do przemyślenia.

– Nie więcej niż ja – odparła Carmen. – Jedziemy na tym samym wózku, prawda? Chodzi mi o to, że whisky to złe rozwiązanie, przynajmniej na dłuższą metę.

– Wręcz przeciwnie, whisky jest najlepszym rozwiązaniem. Działa za każdym razem.

Carmen wyjęła z lodówki butelkę wody i wyszła na balkon, żeby dotrzymać mu towarzystwa.

– Damy radę – powiedziała stanowczo – posłuchaj mnie... Kiedy tragedia okazała się faktem, kiedy zszedłeś nad jeziorko i zobaczyłeś, że Tommy nie żyje, nie dałeś wtedy rady mówić ani myśleć. Teraz

możemy rozmawiać, a niedługo pójdziemy coś zjeść, zobaczysz, że to wszystko minie. A jeśli masz żyć na tym świecie, musisz robić to, co inni żyjący. To stare indiańskie powiedzenie.

Nicolai wypił whisky.

– Tak – odrzekł – ale ja nie jestem Indianinem.

– Nie jesteś. – Zaśmiała się. – Ale pozwól mi teraz udawać, że jesteś moim małym Apaczem. I toczysz wojnę o Tommy’ego. Rozumiem, że desperacko trzymasz się smutku, ale zagrzebywanie się w żalu nie pomaga. Starczy już tej whisky. Chodź, wyjdziemy na gorące ulice.

*

Drogi pamiętniku, muszę coś wyznać.

Jesteśmy daleko, Nicolai i ja, wyjechaliśmy z Granfoss, siedzimy na słońcu i jest naprawdę bardzo gorąco, on ciągle narzeka na temperaturę. A Majorkanie? Tak, gwizdzą na mnie, kiedy idziemy ulicami, to chyba przez te białe włosy, bo tutaj wszyscy są tacy ciemni, więc naprawdę się wyróżniam. Ale jest też wielu turystów, chociaż sezon się kończy, dużo różowych Anglików i tłustych Duńczyków. Próbuję rozweselić Nicolaia, wydaje się taki przygnębiony. Nie może znaleźć sobie miejsca, chodzi naburmuszony, to wielka szkoda, bo moglibyśmy się tak dobrze bawić, a on nie chce. Ja też dużo myślę o Tommym, ale nie załamuję się, musimy żyć dalej. Pragnę nowego dziecka, bystrego i szybkiego malucha, pragnę życia.

Od czasu do czasu uderza mnie coś, czego prawie nie rozumiem, bez względu na to, jak bardzo się staram. Że Tommy odszedł na zawsze. To znaczy, że odszedł na całą wieczność, odszedł na całą

resztę istnienia ludzkości i w żadnej formie już nie powróci. Przynajmniej tak mi się wydaje, ale nigdy nie wiadomo. I ja też umrę, i odejdę na zawsze, umrze też Nicolai, wszyscy znikną. Gdy za dużo myślę o takich rzeczach, czuję się całkowicie bezsilna. Czasami zastanawiam się trochę nad Nicolaiem, może on za bardzo przeżywa śmierć, jest taki melancholijny. I czasami zadaję sobie pytanie, czy naprawdę go kocham. W ciągu ostatnich kilku dni dość często zadawałam sobie to pytanie. I wydaje mi się, że nie. Przykro o tym myśleć, bo jesteśmy małżeństwem, ale nie mam też pewności, czy on kocha mnie. To chyba raczej wzajemna sympatia. Chociaż często się kłócimy, to ta sympatia jest. A może jesteśmy razem z przyzwyczajenia. Ale przyzwyczajenie też może być miłe sercu i tak jest między nami. Tylko że teraz, gdy Tommy'ego nie ma, wszystko może się zdarzyć. Może to koniec dla nas dwojga, może taki będzie finał, że nasze drogi w końcu się rozejdą. I to nie tak, że przeraża mnie myśl o rozwodzie. Jeśli tak się stanie, szybko się z tym pogodzę, bo taka właśnie jestem. Poza tym nie ma zbyt wielu par małżeńskich, które kochają się tak samo po latach, widzę to, kiedy spacerujemy po ulicach Alcudii. Patrzą na wszystkie pary, które się nie dogadują, każde jest we własnym świecie, a to, co skrywają w sercach, nigdy nie wychodzi na jaw. U niektórych gorzkie tajemnice są widoczne w zaciśniętych ustach, u innych jako tęsknota w oczach, marzenie o czymś innym i lepszym, co istnieje przecież w każdym. Nieważne, co mamy, zawsze może być lepiej. Ale są też inni, którzy się tulą i wyglądają na szczęśliwych, tak jak my kiedyś. Bo kiedyś byliśmy bardzo szczęśliwi. Wiele jednak par siedzi w milczeniu nad jedzeniem, nic nie mówiąc. Myśl, że nic nie trwa wiecznie, jest dość przygnębiająca. Ale teraz nie będę myśleć

o smutnych rzeczach, przyjechaliśmy tutaj, żeby zapomnieć. To też Nicolai uważa za zdradę pamięci Tommy'ego. Smutek powinien jego zdaniem wypełniać nasze serca w każdej sekundzie dnia, ale to przecież w końcu nas zabije, nie pozwolę na to, mam przed sobą całe życie, chcę się w pełni nim cieszyć. Teraz woła mnie z balkonu, więc muszę kończyć. Do zobaczenia, drogi pamiętniku, dobrze cię mieć. Na papierze mogę uporządkować myśli, to takie miłe. Nicolai żyje w chaosie, widzę to po nim. Nie dałby sobie rady beze mnie, to ja go podtrzymuję. Krytykuje mnie, bo jestem szczęśliwa, ale nie widzi, że to absolutnie konieczne, bo jedno z nas musi dźwigać ten ciężar. I oczywiście często myślę o Tommym, ale nie przez cały czas. Na długie chwile całkowicie znika z mojej pamięci, ogarnia mnie wtedy rozkoszny spokój i przypomnienie, że jednak przede mną jest jakieś życie. Potem widzę zgorzkniałą minę Nicolaia i znów ogarnia mnie smutek, jakby ktoś zdzielił mnie w twarz. Ale jestem silna i trzymam się w ryzach, trzymam w ryzach Nicolaia.

*

Dwudziesty czwarty września, rano przy Ågårds plass.

– Tak – powiedział doktor Morris – zgadza się. Carmen Cesilie Zita przychodzi do mnie, kiedy czegoś potrzebuje, jestem jej lekarzem pierwszego kontaktu od ponad czterech lat. Nawiasem mówiąc, Brandt też jest moim pacjentem, ale prawie tu nie bywa, nigdy nie choruje. Cóż, jest chudy, anemiczny i prawie zawsze blady, ale nie ma żadnych niedoborów i radzi sobie dobrze. Tak, znam epilepsję Carmen, z tym miałem do czynienia. Mamy ją niemal całkowicie pod kontrolą, ale nadal zdarzają się sporadyczne napady, nie da się ukryć, że jest to problem, choć nie na co dzień. Słyszałem

o jej synku, to straszna tragedia. Staram się myśleć, że są młodzi i mogą zacząć od nowa, ale nie odważę się tego powiedzieć Carmen, bo to marne pocieszenie. To nieprawda, że jak jesteś młody, to tragedie mniej boją. Nawet wręcz przeciwnie. Ale oczywiście mogą mieć więcej dzieci i spodziewam się, że tak będzie, po jakimś czasie, gdy minie żałoba. Dałbym im na to nawet kilka lat. To nie jest takie proste, mówię z doświadczenia.

– Czym jest epilepsja? – zapytał Sejer. – Czy może mi pan to wyjaśnić? Tak, bym zrozumiał?

Morris złożył ręce na stole.

– Cóż, wbrew temu, co ludzie sobie wyobrażają, epilepsja nie jest chorobą, choć oczywiście wiele osób tak to postrzega. Powiem tak... Epilepsja jest sumą różnych stanów, które mają wspólną cechę: prowadzą do zaburzeń czynnościowych mózgu. Innymi słowy, zaburzenie wywołuje napad z drgawkami i utratą przytomności.

– Zaburzenie czynnościowe – powtórzył Sejer. Pomyślał o własnych zawrotach głowy. Być może była to również forma zaburzenia czynnościowego mózgu. Nie, pomyślał natychmiast, weź się w garść! Jesteś tu w innej sprawie.

– Tak, tak to nazywamy – powiedział Morris. – A powody epilepsji bywają różne, może być ona spowodowana wieloma czynnikami, w pięćdziesięciu procentach przypadków nigdy nie znajdujemy przyczyny, pozostaje ona tajemnicą. Carmen doznała urazu podczas porodu, dlatego przez całe życie cierpi na epilepsję. Całe swoje młode jeszcze życie, to trzeba zaznaczyć. Nawiasem mówiąc, była jedną z bliźniaczek. Druga, Louisa, zmarła przy urodzeniu, żyła przez godzinę.

- A co z narodzinami Tommy'ego? Czy cesarskie cięcie było planowane, czy też nagle okazało się konieczne?

- Było zaplanowane, jest przecież bardzo szczupła. To niemal cud, że w ogóle donosiła dziecko. Pomimo zespołu Downa Tommy był dobrze zbudowanym, zdrowym dzieckiem.

- Czy może pan opowiedzieć mi trochę o tym, jak przebiega napad?

Morrisz zdjął okulary, usiadł i zaczął bawić się zausznikami.

- Tak, mogę o tym opowiedzieć. Carmen ma coś, co nazywamy napadami toniczno-klonicznymi. Inaczej napady duże lub grand mal. Takie napady składają się z dwóch faz. W fazie tonicznej pacjent traci przytomność, co samo w sobie jest dramatyczne. Ciało staje się całkowicie sztywne, powietrze jest wypychane z płuc, czasami słyszymy krzyk, który może być nieprzyjemny dla świadków. Następnie pacjent przestaje oddychać. Twarz i usta sinieją. A potem, po kilku sekundach, napad przechodzi w fazę kloniczną i wtedy pojawiają się konwulsje, te, które zwykle kojarzymy z epilepsją. Czyli tym, co w dawnych czasach nazywaliśmy padaczką. Następnie twarz staje się czerwona, a pacjent zaczyna ponownie oddychać.

- Jak długo trwa napad? - zapytał Sejer.

- Oj, bywa różnie. Z reguły mówimy o sekundach, minutach. Ale czasami może wystąpić kilka napadów jeden po drugim, które nie ustępują, nazywamy to wtedy stanem padaczkowym. Być może słyszał pan o tym. To dość poważna sytuacja, w takim przypadku należy jak najszybciej zabrać pacjenta do szpitala.

- Czy Carmen kiedykolwiek miała taki stan padaczkowy?

- Tak, zdarzało się. Za moich czasów tylko raz, ale było to dość poważne. Przez kilka dni przebywała w szpitalu na obserwacji. Stało

się to dość dawno i mam nadzieję, że nie powtórzy się w przyszłości, ponieważ oczywiście przechodzenie przez coś takiego jest stresujące.

– A teraz przyjmuje leki?

– Tak, przyjmuje leki. Dzięki nim udaje nam się ograniczyć ataki do minimum. Dodam, że ma napady mniej więcej raz w miesiącu. Nie jest więc tak źle, da się z tym żyć. Ale po napadzie jest zupełnie wyłączona z życia, dezorientowana, ospała i zmęczona, to nie żart, to poważna sprawa.

– Jak ona sama sobie z tym radzi? Czy bardzo jej to przeszkadza?

Doktor Morris pokręcił głową.

– Nie, nie wydaje mi się, dzielnie to znosi. Ale nigdy nie pytałem jej wprost. Jest chuda jak trzcina, natomiast twarda. To bardzo przykre, co się stało z jej synkiem. Słyszałem to w wiadomościach i byłem przerażony. Strach mieszkać w pobliżu wody, gdy ma się małe dzieci. Jak oni się czują? Nie widziałem ich od paru miesięcy. Strata dziecka to taka tragedia.

– Nicolai ma się raczej źle – odpowiedział Sejer. – Jak pan zauważył, Carmen jest twarda. Z nich dwojga to ona radzi sobie lepiej, widzi przed sobą przyszłość. Mówi o kolejnym dziecku, więc naprawdę daje radę.

– I to nie jest pocieszenie dla Nicolaia – podsunął Morris.

– Nie, w ogóle. On znosi to strasznie ciężko. Szczerze mówiąc, martwię się o niego. Jest też taki samotny, nie ma przecież rodziny.

– Ale teraz jestem ciekaw – powiedział Morris, pochylając się nad biurkiem. – Po co panu te informacje o epilepsji Carmen? To nie ma nic wspólnego ze śmiercią dziecka, prawda?

- Być może ma. - Sejer wstał już do wyjścia. Przesunął krzesło na miejsce i skierował się do drzwi. - Ale nie mogę panu udzielić takich informacji, na pewno pan rozumie. Wrócę jeszcze do czegoś, co pan powiedział. Że po napadzie zwykle jest zmęczona i dezorientowana, ma zawroty głowy, nie może funkcjonować.

- Tak - przyznał doktor Morris. - Mówiąc językiem, który ze względu na zawód będzie dla pana zrozumiały, po ciężkim ataku epilepsji jest całkowicie niepoczytalna.

*

Sezon z pewnością się kończył, ale na białych plażach Alcudii było nadal wielu ludzi. Mimo to Carmen i Nicolai mieli dużo miejsca. Ona rozłożyła ręczniki nad samą wodą, ściągnęła przez głowę letnią sukienkę i stanęła w swoim skąpym czerwonym bikini. Przypominała mu biało-czerwoną miętówkę. Carmen, jego młoda żona, była niezwykle delikatna i miła dla oka, a Majorkanie gwizdali ochoczo, gdy ją mijali.

- Myślisz, że mogę opalać się topless? - zapytała.

Pytanie zszokowało Nicolaia.

- Nie, zwariowałaś, daj spokój! Wszyscy tutaj są katolikami, nie rób tego, mogą nawet chyba wezwać policję. Jeśli zdejmiesz stanik, wrócę do hotelu.

Carmen nie zdjęła stanika.

- Tak jest, szefie - powiedziała ze śmiechem. - Ale nie musisz panikować, tak tylko pytałam. Nie mam też wiele do pokazania. - Zaśmiała się.

Chociaż Tommy nie żył, była w świetnym nastroju. Krótka wycieczka na południe i wszystkie smutki poszły w niepamięć,

pomyślał Nicolai. Pokręciła się trochę, a następnie położyła na ręczniku. Był to duży, gruby ręcznik kąpielowy z Królikiem Bugsem. Złożyła sukienkę i podsunęła pod głowę jako poduszkę. Nicolai siedział i patrzył na lśniąca Morze Śródziemne. Dzieci bawiły się na piasku, podczas gdy czujni rodzice stali obok i pilnowali ich. Tak właśnie oni powinni byli pilnować małego Tommy'ego.

– Idę do kiosku – powiedział – chcesz coś, jesteś głodna, może coś do picia?

– Nie, nic mi nie trzeba – odparła Carmen. – Później możesz coś dla mnie kupić. Ale to miłe, że potrafisz być trochę szarmancki. Możemy udawać, że jesteśmy w podróży poślubnej, prawda? Możemy udawać, że wczoraj wzięliśmy ślub i jesteśmy bardzo szczęśliwi. Powiedz „tak”, Nicolai. – Uśmiechnęła się delikatnie.

Milczał. Podróż poślubna? Byli przecież w żałobie. Wstał i poszedł po ciepłym piasku do kiosku ukrytego w cieniu, między drzewami. Złożył zamówienie i otworzył portfel, aby zapłacić. Czekać na resztę, odwrócił się i spojrzał na Carmen. To dziwne widzieć ją tak z daleka, w czerwonym bikini. Z oddali widział wyraźnie jej urodę i arogancję, z którymi nie mógł sobie poradzić. Wydawała się tak nieporuszona, nie mógł tego pojąć. Najwyraźniej nie dotknęło jej to wszystko, co się wydarzyło. Albo, pomyślał, to ja jestem bezlitosny, przykry i niesympatyczny. Uważam, że jestem lepszy od niej, bo usycham z żalu. I jeszcze mi się wydaje, że byłem lepszym rodzicem dla Tommy'ego niż ona. Wstydź się, Nicolai, wstydź się!

Zacisnął pięści ze złości na samego siebie. Stał przez chwilę pogrążony w smutku, wreszcie wziął pieniądze i wrócił, usiadł na

ręczniku. Otworzył puszkę piwa i przyłożył ją do ust. Carmen usiadła i spojrzała na niego. Zauważyła coś, co ją zszokowało.

– Co ty zrobiłeś, kupiłeś fajki? – Skinęła głową w kierunku paczki marlboro leżącej na jego ręczniku. Wraz z plastikową jednorazową zapalniczką w pomarańczowym kolorze. – Przecież nie palisz, po co ci marlboro, całkiem ci już peron odjechał?

– Właśnie zacząłem – odparł Nicolai – zaczynam w tej chwili. Nie mam przecież nic do stracenia. Równie dobrze mogę korzystać z dobrodziejstw życia. Tak jak ty to robisz, prawda?

Mówił to głosem pełnym rozpacz. Zerwał folię z opakowania i wyłowił papierosa, zapalił go zapalniczką. Wciągnął dym, głęboko i szczerze, i zaczął kaszleć.

– Boże, nie możesz być aż tak głupi, prawda?

– Nie twoja sprawa – warknął z irytacją i ponownie zakaszłał. – To moje życie. Jeśli chcę zniszczyć sobie płuca, zrobię to, bez względu na to, co myślisz.

– Nie będę się z tobą całować, póki palisz – odpowiedziała twardo. – To zbyt obrzydliwe.

– W porządku. – Ponownie zaciągnął się papierosem. – Nie całujemy się ostatnio za dużo.

Carmen wstała, weszła do wody, przebrnęła kawałek i odwróciła się do niego.

– Morze jest prawie gorące – krzyknęła. – Zgaś tego durnego papierosa i chodź tu!

Nicolai chciał dopalić. Niewzruszony, siedział na ręczniku i się zaciągał. Tak, pomyślał, niech moje płuca staną się czarne jak smoła. Odtąd przez całą dobę tylko whisky i fajki, znalazł pocieszenie

w autodestrukcji. Zasluguje na karę, pomyślał dramatycznie, za Tommy'ego.

– Chodź i zobacz, jaka fajna woda – nalegała Carmen. – Nie zamierzasz siedzieć na plaży i palić przez cały dzień, prawda?

Zgasił papierosa w piasku, wstał i wszedł do wody. Zanurzył się, zaczął płynąć w kierunku głębin.

– Nie za daleko! – wrzasnęła Carmen. – Musisz trzymać się lądu. Nie chcę tu stać i krzyczeć, rób, co mówię!

Popłynął jeszcze trochę. Odwrócił się i ruszył kraulem, zbliżając się do niej z dużą prędkością, był doskonałym pływakiem. Kąpielówki przykleiły mu się do ud, w ustach miał smak słonej wody. Wszystko było latem, słońcem i upałem, wszystko było bezdennym smutkiem. Tak to się w nim nieustannie zmieniało: raz było dobrze, raz źle. Przez chwilę leżał, unosząc się na plecach, ciesząc się przyjemnym chłodem, czując się świeżo i rześko. Po pięciu minutach wrócił i usiadł na ręczniku.

– Posmaruj mi plecy – poprosiła Carmen. – Butelka jest w torbie.

Pogrzebał w torbie i znalazł emulsję przeciwsłoneczną. Spryskał jej całe plecy i zaczął wmasowywać preparat w jej skórę. Przez długi czas leżała nieruchomo, rozkoszując się jego dotykiem.

– Nicolai – powiedziała wreszcie. – Wymyśliłam coś. Myślałam o tym od dłuższego czasu, na długo przed śmiercią Tommy'ego, tak dla twojej wiadomości, rozmawialiśmy o tym już wcześniej.

– O co chodzi? – zapytał cierpliwie Nicolai. – Co tym razem sobie wymyśliłaś?

Nasmarował dolną część jej pleców, aż do gumki majtek. Ale dotykanie Carmen nie sprawiało mu przyjemności, ledwo

przywoływał odległe wspomnienia z lepszych czasów, kiedy pożąдали się nawzajem.

– Pomyślałam, że może byśmy kupili sobie psa.

Znieruchomiał. Całkowicie odebrało mu mowę.

Tommy nie żył, a ona chciała psa.

– Ale musimy przecież wrócić do pracy – zaprotestował. – Prędzej czy później. Wtedy szczeniak będzie sam przez cały dzień, naprawdę nie masz serca? Wiesz, jak to jest ze szczeniakiem, gryzie kable i takie tam. Trzeba go cały czas mieć na oku. Nie, nie możemy tego zrobić, Carmen, daj spokój.

Położyła głowę na ręczniku, zdecydowana go przekonać, wyczuł, że mobilizuje siły.

– Wszystkie psy są same w ciągu dnia – przekonywała. – Przecież ludzie muszą chodzić do pracy, tak po prostu jest. Rano go wyprowadzimy, żeby zdążył się wysikać, a wieczorem zafundujemy mu porządny, dłuższy spacer. Razem, tylko my dwoje. Byłoby tak miło, dom jest taki pusty. Czy tobie też wydaje się pusty? – zapytała błagalnie, cicho i szczerze. Nie można było jej odmówić. I poczuł, jak bardzo go kontroluje, w jej rękach był jak bezbronne dziecko.

Wrócił do smarowania. Masował jej ramiona powolnymi, okrężnymi ruchami, jej skóra była połyskliwa jak jedwab, złotobrazowa, gładka i nieskazitelna. A w dolnej części pleców widniał samotny pieprzyk wielkości monety.

– Szczeniak kosztuje kilka tysięcy koron – sprzeciwił się – nie stać nas na to. I oczywiście trzeba go karmić. Potrzebuje weterynarza, kiedy jest chory. To kosztuje, Carmen, a my nie mamy pieniędzy. Nie rozumiem twojego toku myślenia, biedny Marian zawsze musi wyskakiwać z kasy.

Skończył wsmarowywać emulsję. Odłożył butelkę do torby i wytarł lepkie ręce w ręcznik.

Carmen usiadła i strzepnęła piasek ze stóp.

– Oczywiście, że poproszę tatę – powiedziała – tata zrozumie.

– Cóż... widzę, że jak zwykle stawiasz na swoim. O jakim psie myślałaś? Chyba nie o pudlu? Jeśli kupisz pudła, odmawiam wyprowadzania go na spacer.

Carmen zaśmiała się serdecznie.

– Nie, będziemy musieli znaleźć coś innego. Ale nie może być za duży i silny, bo nie dam rady go utrzymać. Kupimy książkę o psach, kiedy wrócimy do domu, dojdziemy do jakiegoś porozumienia. Ale dobrze, żadnych pudli. A co właściwie masz do pudli?

– Pudle są dla starszych pań – stwierdził Nicolai. Wyciągnął kolejnego papierosa i zapalił go.

– Nagle tak po prostu zacząć palić – westchnęła Carmen – bez żadnego powodu, nie rozumiem cię.

Wieczorem siedzieli razem na balkonie i wpatrywali się w ciemność. Nicolai wyciągnął papierosa i wydmuchiwał dym długimi smugami. Nie mogła tego pojąć – palenie, skąd ten pomysł, ale nie chciała się kłócić. Nie teraz, kiedy marzyła o szczeniaku, w tym celu musiała Nicolaia wziąć pod włos, wiedziała o tym wszystko.

– Z psem jest strasznie dużo roboty – powiedział Nicolai, popijając whisky.

– Nie więcej niż z Tommym – odparła – a z nim poradziłyśmy sobie świetnie, pomyśl o tym. Przypomnij sobie, ile wtedy mieliśmy

sił, nigdy nie narzekałeś, ani jednego dnia, byłeś absolutnie wspaniały.

Nie odpowiedział. Tak, zajmowanie się Tommym było męczące, ale wszystko to było przyjemnością, od początku do końca. Carmen siedziała, popijając leniwie colę. Myślała o Nicolaiu jak o glinie, masie, którą mogła dowolnie formować. Cóż, przynajmniej tak było przez długi czas. Ale teraz, po śmierci Tommy'ego, stał się o wiele mniej podatny, ten nowy opór bezgranicznie ją irytował. Z ogrodu przed hotelem dobiegała taneczna muzyka, latynoamerykańskie rytmy i lekki śmiech, radosny chichot kobiet, monotony rechot mężczyzn i brzęk kieliszków. Carmen chciała zejść na dół, żeby posłuchać, ale Nicolai nie był zainteresowany. Nie mógł też tańczyć, nie było sensu go namawiać. Nalał sobie kolejną whisky i z hukiem odstawił butelkę.

- Nie pij za dużo - napomniała go. - Żebyś nie musiała cię ciągać wszędzie pijanego.

Nie odpowiedział, tylko podniósł szklankę. Jakaś jego część wolałaby święty spokój, a jednocześnie palił się do kłótni. Kipiało w nim wszystko, co by jej powiedział, gdyby tylko się odważył. Czuł się jak tchórz, że się z nią nie skonfrontował, ale dzięki swojemu doświadczeniu szybko zyskiwała przewagę, a kiedy zabrakło jej argumentów, zawsze zaczynała buczeć. I nie mógł już znieść płaczu, nie mógł znieść żadnej dyskusji, kupić psa czy nie, wszystko było mu obojętne. Tak łatwo się poddaje, pomyślał, i mam gdzieś, co myślą ludzie. Carmen wygra tę walkę, zawsze to wiedziałem. Jestem słabeuszem. Gram drugie skrzypce. Cholera.

- Rano jedziemy autobusem do Palmy - oznajmiła. - Pójdziemy na zakupy.

- Możemy - powiedział zmęczonym głosem. Ścisnął szklanke, myśląc teraz tylko o jednym, o upiciu się.

- Możemy też iść do katedry - dodała. - Zapalić tam świeczkę dla Tommy'ego.

Tak, byłoby miło zapalić świeczkę dla Tommy'ego. Ale to nie pomoże w żałobie. Żałoba była kamieniem młyńskim u jego szyi, ciągnęła go w otchłań. Czuł, że whisky działa kojąco, że oddala go od rzeczywistości, i znów pomyślał, że to chyba nieprawda, Tommy się nie utopił, to był tylko koszmar senny. A jutro obudzę się i będę szczęśliwy w nowym świecie.

- Jak myślisz, jak tu jest jesienią i zimą? - zapytała Carmen.

- Martwo - odparł. - Zamknięte sklepy i puste plaże, chmury i deszcz. Ludzie, którzy włączają się bez celu i sensu.

- Daj spokój z takimi bzdurami. Ale jak myślisz, z czego żyją?

- Niektórzy pracują chyba gdzieś indziej. A inni mogą przeżyć całą zimę z tego, co zarobią latem. Pomyśl tylko o wszystkich napiwkach, które dostają w ciągu jednego dnia. Ty zawsze dajesz za duże napiwki, Carmen, musisz przestać, nie stać nas na to.

Zespół muzyczny w hotelowym ogrodzie zrobił sobie przerwę. Słyszeli tylko świerszcze i od czasu do czasu śmiech, pobrzmiwający w gęstych ciemnościach. Na zewnątrz przejechał wóz konny, usłyszeli stukot podków na wąskich brukowanych uliczkach.

- Nie lubię chartów - powiedziała - są takie chude. Nie lubię owczarków niemieckich, wyglądają na takie wściekłe. I nie lubię buldogów, są takie brzydkie. Nie wiem nawet, jak mogą jeść, z tymi krzywymi zębami. A ty nie chcesz pudła. Ja zresztą też nie. Chihuahuy są za małe, są jakieś granice. Bernardyny są za duże,

a setery nerwowe. Jamniki mają za krótkie nogi, wyglądają tak dziwnie. Głosuję na teriera. Takiego małego. Chodź – rozkazała – idziemy spać, jest późno. Proponuję jacka russella, samca. Jest dobrej wielkości i wygląda na mocnego. I nie możesz pić już więcej whisky, bo się rozchorujesz. Pamiętaj, że rano jedziemy do Palmy, musisz być w formie.

Wstała i poszła do łazienki umyć zęby. Nicolai siedział w ciemności, popijając whisky. Nie przejmował się już napomnieniami Carmen, życie mu uciekało, tracił kontrolę. Znów czuł tylko obojętność. Obojętny był mu pies i wycieczka do Palmy następnego dnia. Siedział przez godzinę, wsłuchując się w głosy z hotelowego ogrodu, teraz był to tylko cichy szmer. Potem wszedł do sypialni, gdzie spała Carmen. Pies, pomyślał, mały terier. Czemu nie? Jest coś, czego można dotknąć, pomyślał i wczołgał się pod kołdrę. Carmen spała mocno. Była spocona, ciepła i miękka, jej skóra błyszczała po pobycie na słońcu. Ale nie dotknął jej. Nie dotykali się od śmierci Tommy'ego.

*

Poszli razem do katedry i zapalili świeczkę dla Tommy'ego. Było w tym wszystkim coś prostego, ubogiego. Moneta euro wpadła do szczeliny jak w skarbonce, a potem zapaliła się mała żarówka, oboje stali, poruszeni i patrzyli na przytłumione, skromne światło.

– Myślisz, że będzie świecić do wieczora? – zapytała Carmen z nadzieją.

– Nie, ledwie godzinę – stwierdził Nicolai. – Każdy musi zarabiać. Kościół nie jest wyjątkiem. Jutro chyba musimy wrzucić kolejne

euro. Daj spokój, to nie koniec świata, to tylko brudna mała żarówka, nie przesadzaj.

Siedzieli na ławce i trzymali się za ręce. Carmen tuliła się do niego, chciała być miła. W kościele było kilkoro turystów, wszyscy ściszyli głosy, rozlegał się cichy pomruk w kilku różnych językach. Cisza, oddanie i szacunek, dla życia i śmierci. Myśl, że może być jeszcze coś więcej niż ta biedna codzienność pełna smutku i straty, wypełniała ich umysły. Nicolai cieszył się ciemnym i pięknym pomieszczeniem. Kościół dawał mu spokój. Właściwie mógłby tak siedzieć wiecznie, na twardej ławce, wpatrując się w przytłumione światło Tommy'ego.

Wreszcie czas minął, oderwali wzrok od świeczek i poszli do miasta. Aż do dużego plaza Major, gdzie znaleźli bar. Każdy z nich zamówił spienione piwo, usiedli w cieniu pod drzewami i patrzyli na ludzi. Fontanna tryskała czystą, lodowatą wodą, a otwarty plac otoczony był starymi, czcigodnymi budynkami. Stragany z różnymi artykułami, kwiatami, owocami i warzywami, koszami i kolorowymi szalami. Pijąc piwo, Nicolai myślał o Carmen. Obserwował ją ukradkiem znad krawędzi szklanki, złote policzki, wąskie dłonie, niespokojnie wędrujące po stole. Wiedział, że jeśli ją zostawi, jeśli naprawdę potraktuje ten pomysł poważnie, ona będzie go opłakiwać przez kilka tygodni, a potem przystosuje się do nowej sytuacji, bez trudu. Poza tym musiałby się wyprowadzić z Granfoss. Bo to Marian załatwił im ten dom. I gdzie miałby wtedy pójść? Musiałby też znaleźć inną pracę, nie mógł jednocześnie rozwieść się z Carmen i pracować w Zita Quick, to wykluczone. Boże, pomyślał, jestem w pułapce. Gdyby miał odejść, musiałby odejść daleko, poza zasięg jej łez i oskarżeń. Że był mazgajem, jak powiedziała Carmen,

słabeuszem, bezradną postacią, która nie mogła sobie z niczym poradzić. Pił piwo i patrzył na turystów, wszyscy wyglądali na zadowolonych, skąpani w słońcu, w krótkich szortach i sandałach. Dziecięcy śmiech, lody i gołębnie dziobiące okruchy na brukowanym placu. Słońce, ciepło i radość. Podczas gdy on tonął w żalu po szyję, podczas gdy on łapał powietrze i desperacko próbował zmusić swoje serce do normalnego rytmu. Przy porcie mijanym w drodze do katedry ustawily się wszystkie luksusowe jachty, Doris, Fortuna i Paradis. Kilka z nich było na sprzedaż. Ten, kto ma łódź, może odplłynąć daleko od wszystkiego, prosto za łuk horyzontu, pomyślał.

Kelner podszedł do ich stolika z miseczką. Zawierała solone pistacje i Nicolai włożył kilka do ust.

– Jest ci przykro? – zapytał nagle.

Słowa wypłynęły z niego, zanim zdążył pomyśleć. Carmen uniosła brew i spojrzała na niego niepewnie.

– Nie do końca rozumiem, co masz na myśli.

– Nie bądź głupia – powiedział z irytacją. – Tommy utonął w Damtjern dziesiątego sierpnia. I pytam, czy jest ci z tego powodu ciężko. Nie widzę, żebyś była smutna. Co właściwie myślałaś? – zapytał i z hukiem postawił szklanke na stole. Trochę piwa się wylało, a Nicolaia ogarnęło gwałtowne oburzenie.

– O co ci teraz chodzi? – spytała niepewnie. – Nie wygłupiaj się.

– Wiesz bardzo dobrze, o co mi chodzi. O czym myślałaś, kiedy niosłaś go do jeziora? Nie mogę uwierzyć, że stałaś tam na pomoście i po prostu wrzuciłaś go do wody. Co by było, gdyby ktoś cię zobaczył? Wyobraź sobie, że ludzie nie wierzą w twoje żalosne wyjaśnienie.

Przyłożyła szklanke do ust i piła chciwymi łykami.

Znowu te czerwone policzki, jakby przyłapał ją na kłamstwie.

– Wyjaśniłam to przecież, raz na zawsze – powiedziała. – Bardzo się bałam. Pomyślałam, że wszyscy będą mnie winić, nie chciałam tego, bo to był przecież wypadek.

– Wypadek. Tak, jakie to wygodne, że masz epilepsję.

Pochyliła się nad stołem. Teraz siedzieli tak, wpatrując się w siebie, i żadne z nich nie chciało się ruszyć. Zielone oczy Nicolaia, jego twarde spojrzenie wbite w jej błękitne oczy. Jej sprzeciw wobec jego oskarżeń.

– Czego ty teraz chcesz? – spytała. – O co ci chodzi? Powiedziałam wszystko tak, jak było, i nie mam nic więcej do powiedzenia na temat śmierci Tommy’ego. Teraz jesteś naprawdę przykry. Nie będę znosić takich oskarżeń. To ja zajmowałam się Tommym. Byłeś w pracy, miałeś prawie cały dzień wolny, a ja musiałam odpowiadać na pytania. O tym, co może, a czego nie może zrobić, jaka będzie przyszłość i dlaczego jest taki powolny, dlaczego nie rozumie, co mówimy. To nie było łatwe, tak dla twojej wiadomości. Byłam bardzo przygnębiona. Cholera, cały czas byłeś poza tym wszystkim.

– Tak – przyznał – byłem w pracy. Ktoś musiał zarabiać na nasze utrzymanie. Ale jeśli uważałaś, że opiekowanie się nim to przykry obowiązek, mogłaś mi o tym powiedzieć. Wtedy moglibyśmy zamienić się rolami, mogłaś pracować w Quick, ile byś tylko chciała. Proponowałem ci to nawet, ale nie słuchałaś.

– Łatwo ci mówić – stwierdziła – bo jesteś zdrowy. Nie musisz się martwić, że nagle się przewrócisz, ale zapewniam cię, że jest to trudne. I nie czuję się zbyt dumna z tego, co się stało. Tak, próbowałam wymyślić korzystniejszą dla mnie historię, bo bałam się, że zostanę oskarżona o zaniedbanie, nie miałam pojęcia, co

może wymyślić policja. Wszyscy są przeciwko mnie – narzekala – chociaż ty mógłbyś być po mojej stronie. Wypłakałam swoje, żebyś wiedział.

– O tak, w ryczeniu jesteś dobra. Włączasz i wyłączasz powódź, jak ci wygodnie. Ale ja też płakałam. I wszystko, co mam na pocieszenie, to wymyślona historia o utracie przytomności. Będziesz musiała mi wytłumaczyć, jak mogłaś wpaść na coś takiego. Myślę, że to szaleństwo, rzucać małe dziecko do głębokiej wody, żeby ukryć coś, co, jak twierdzisz, było wypadkiem. Szczerze mówiąc...

Carmen wypila piwo. Uderzyła szklanką w stół, zbladła.

– Powinieneś się cieszyć – wysyczała – że nie cierpisz na epilepsję. Nie musisz leżeć w konwulsjach, nieprzytomny na podłodze. Budzić się i nie pamiętać prawie nic. W głowie mieć niemal pustkę. Tak, wiem, że to było głupie. Ale teraz jest już za późno, by żałować, a śmierć Tommy'ego była wypadkiem. Musisz to wreszcie przyjąć do wiadomości!

Nicolai odchylił się i skrzyżował ramiona na piersi.

– Nic dziwnego, że policja zadaje ci pytania – powiedział spokojnie. – Zaserwowałaś im naprawdę niezłą bajeczkę. Pomyśl o tym, kiedy staniesz przed sądem. Jak zamierzasz ich przekonać, by uwierzyli w coś tak niewiarygodnego.

– Uwierzą w to, bo to prawda – odparła. – I tyle.

Dopila piwo i spojrzała na niego uważnie.

– Ale chociaż raz bądźmy ze sobą szczerzy. Nie cieszyłam się za bardzo z tego, że sprawy potoczyły się tak, jak się potoczyły. Nieustannie musiałam radzić sobie ze wszystkimi jego wadami.

– Co rozumiesz przez wady?

- Nie bądź głupi. Wiesz bardzo dobrze, co mam na myśli. Nigdy, w całym swoim życiu, nie byłby w stanie nadażyć. Miałam dziecko, z którego ciągle musiałam tłumaczyć się innym, opowiadać, że nie będzie w stanie zrobić niczego, czego się od niego oczekuje. Ludzie pytają i drażą. Tak, mam syna, ale niestety jest idiotą. Myślę, że powinieneś mnie przeprosić. Że też w ogóle masz czelność mnie obwiniać. Cholera, jaki z ciebie świętoszek, przykro mi to mówić. Ale mnie też coś leży na sercu, po tych wszystkich latach. Też nie jesteś wolny od błędów.

- Nie ufam ci - wyrzucił z goryczą. Znowu wypił łyk piwa i uderzył szklanką w stół. - Jeśli ukrywasz jakiś mroczny sekret, mam nadzieję, że cię on zniszczy.

Carmen wstała z krzesła i przerzuciła torbę przez ramię. Potem wzięła pustą szklankę i z całej siły rzuciła nią o asfalt, tak że odłamki szkła prysnęły wysoko w powietrze. - Proszę - wysyczała - możesz posprzątać.

Potem ruszyła przez brukowany plac, wołając jeszcze przez ramię:

- Wracam do hotelu. Ta kłótnia nigdy się nie odbyła.

*

Drogi pamiętniku!

Tydzień dobiega końca, wszystko potoczyło się tak szybko. Co mam począć z Nicolaiem? Dzisiaj był niebezpiecznie podejrzliwy, nie wiem, co robić. Muszę uważać w każdej sekundzie dnia, muszę ważyć słowa. Bo oczywiście potrzebuję, żeby był po mojej stronie, bezapelacyjnie, oboje idziemy do sądu w czerwcu, muszę dopilnować, żeby zeznawał na moją korzyść. Ale jego już nic nie

obchodzi. Nie przejmuję się nadchodzącymi dniami, nie myślę o naszej zbliżającej się rozprawie i konieczności stawienia się w sądzie. Jedyną rzeczą, na której mi zależy, jest kultywowanie żalu po Tommym i ciągle rozdrapywanie rany. Pali i pije whisky, siedzi na balkonie i płacze, to jest nie do zniesienia. A jeśli o coś pytam, odpowiada monosylabami i nie jest zainteresowany. Czasami rzuca mi długie, podejrzliwe spojrzenia, najwyraźniej po to, by zasygnalizować, że mi nie wierzy.

Ostatnio dużo myślę o śmierci.

Śmierć ostateczna i okrutna, i śmierć bezlitosna. Ale myślałam też o łagodnej śmierci. I o Bogu, w którego właściwie nie wierzę. Ale ta smutna myśl, że wszyscy będziemy leżeć, biali i zimni, w grobie, ta zimna czarna dziura w ziemi czekająca na nas wszystkich czasami przychodzi i pochłania mnie. Dżdżownice i inne robale przedostaną się przez ścianę trumny, wszystkich nas dopadnie niszczące działanie czasu. Niekiedy dzieją się dziwne rzeczy. Rzeczy, które zupełnie zmieniają nasze myślenie. Pewnego listopadowego dnia dałam pieniądze żebrakowi. Zwykle tego nie robię, to wbrew moim zasadom, ludzie muszą sobie znaleźć pracę, czy to nie jest obowiązek każdego z nas? Ale tym razem miałam taki kaprys i bez zastanowienia podążyłam za nagłym impulsem. Po prostu dlatego, że w tamtym momencie tak mi pasowało. „Niech cię Bóg błogosławi”, powiedział z wdzięcznością żebrak, dałam mu stówę. Jego blade, mokre oczy błyszczały od łez. I właśnie wtedy, dokładnie w momencie, gdy padły te miłe słowa, stałam się głęboko religijna. Byłam wtedy tego pewna, bo zostałam pobłogosławiona. Nagle ciepło w ciele, unosiłam się, byłam lekka jak piórko, ciężkie myśli

odpływały, kochałam wszystkich ludzi, widziałam ich tak wyraźnie, zbliżali się do mnie. Całą resztę dnia tkwiłam w tym upojeniu, trzymałam się tego uczucia, chciałam, żeby trwało wiecznie. Los dał mi szansę stania się dobrym człowiekiem. Ale potem dni mijały, wątpliwości wracały, a wspomnienie o biednym żebraku straciło sens. Nic nie trwa wiecznie. Wiem o tym najlepiej. Ale, drogi pamiętniku, zeszłej nocy miałam okropny sen i właśnie to chciałam ci opisać, ponieważ był tak straszny. Śniło mi się, że poszliśmy spać w naszym domu przy Granfoss, była późna noc. Ale najpierw stanęłam nad łóżkiem Tommy'ego, żeby sprawdzić, czy wszystko jest w porządku, tak jak miałam w zwyczaju. Kiedy tak stałam i patrzyłam na niego, zaczął krzyczeć. Nicolai od razu chciał, żebyśmy przenieśli go do naszego łóżka. „Nie może leżeć samotnie i płakać, powiedział, nie mogę tego słuchać, doprowadza mnie to do szału. Skoro płacze, to znaczy, że czegoś mu brakuje”.

Tak, powiedziałam wtedy, widać wyraźnie, że czegoś mu brakuje, brakuje mu rozumu. Rozpieścisz go, ustępując mu zawsze, gdy tylko piśnie. To dziecko, Nicolai, dzieci płaczą o każdy drobiazg. Ale Nicolai zdecydowanie się nie zgadzał, chciał interweniować. Podnieść dziecko i pocieszyć je. Daj spokój, pewnie za chwilę przestanie, powiedziałam stanowczo, i musimy go wreszcie przenieść do osobnego pokoju. Nie możemy dopuścić do tego, żeby dzieciak nas wypędził z naszej własnej sypialni. Niedługo i ja stracę rozum, stwierdziłam. Cholera!

Kiedy staliśmy tak, kłócąc się nad łóżkiem dziecka, jego wrzask naprawdę zaczął nam działać na nerwy. Ryczał, jakby płuca miały mu pęknąć, był to intensywny i przeraźliwy płacz, a on miał twarz spoconą i czerwoną od wysiłku. Mimo to położyliśmy się do łóżka,

ale oczywiście nie dało się zasnąć, bo Tommy nadal krzyczał na całe gardło. Miałam ochotę wstać z łóżka i z całej siły potrząsnąć tym małym ciałkiem, aż zamilknie. Ale nie mogłam tego zrobić przy Nicolaiu, wściekłby się. Skapitulowaliśmy dopiero po kilku minutach. Nicolai odsunął kołdrę i podszedł do łóżeczka. „Chodź zobacz! – krzyknął z przerażeniem – Tommy urósł. Zrobił się taki duży, że ledwo się mieści w łóżeczku!” Niechętnie wstałam z ciepłego łóżka i podeszłam, żeby zobaczyć, co ma na myśli. I zobaczyłam, ku mojemu wielkiemu przerażeniu, że Tommy był większy. „Widzisz, powiedział przerażony Nicolai, nie ma już miejsca, musimy go przenieść”.

I stało się tak, jak chciał Nicolai. Podniosłam jego ciało z łóżeczka, był tak ciężki, że ledwo mogłam go udźwignąć. Wylądował w naszym łóżku. I wreszcie płacz ustał. Odwróciłam się do niego plecami i zamknęłam oczy, tak bardzo pragnąc spokoju. Ale gdy już mieliśmy zasnąć, znowu zaczął krzyczeć, a Nicolai był całkowicie zdesperowany. „Spójrz, powiedział, Tommy wciąż rośnie”. Odwróciłam się i zamarłam. Tommy stał się ogromny, prawie nie było dla niego miejsca w łóżku. A kiedy tak leżałam i gapiłam się, zaczął zmieniać kolor, a jego ciało powoli pokrywały szare, prawie srebrzyste łuski. I dotarło do mnie, że Tommy zmienił się w rybę. Krzyknęłam więc do Nicolai w panice: „Zabierz go! Zabierz go!”.

Zanim się zorientowałam, zostałam wypchnięta z łóżka. Ocknęłam się na podłodze. Ale jestem w dobrym nastroju, pomimo niewyspania, to był tylko sen, a ja zawsze byłam twarda. Jutro wracamy do domu, nie mogę stracić nadziei na normalne życie. Nawet jeśli sprawy wyglądają teraz ponuro, wszystko jakoś ułożymy,

Nicolai i ja, zawsze byłam optymistką. Przede mną nowe noce, oby bez snów o śmierci. Wiem, że Nicolai nie śpi po nocach, ja sama zasnę jak kamień, wyczerpana upałem i słońcem, których tu pod dostatkiem. Może zmówię Ojczy nasz, to nie zaszkodzi, też potrzebuję skądś wsparcia, mimo że jestem silna. Krzyczę „dobranoc” Nicolaiowi, który siedzi na balkonie i pije. Zapijanie rozpaczy to niebezpieczna droga, bardzo się o niego martwię. Jutro będzie ociężały i ospały przez kaca. Ale wcale go to nie martwi, a ja muszę dźwigać ten ciężar i wszystko układać, czasem już mnie to męczy.

Jest noc, więc teraz idę spać. I nie ma w łóżku Tommy’ego, który by zajmował miejsce, żadnej łuskowatej ryby. Przykro mi to mówić, drogi pamiętniku, ale już się przyzwyczaiłam, że go nie ma. Bardzo się staram czuć najgłębszą rozpacz, ale nie mogę. Tommy był udręką. Tommy był wstydem, był wielkim rozczarowaniem. Kiedy zaszłam w ciążę, chciałam czegoś zupełnie innego. W dawnych czasach obwiniano rodziców. Dzieci z niepełnosprawnością były karą od Boga, a jeśli tak jest naprawdę, to mogę tylko prosić o przebaczenie. Nie jestem wolna od grzechu, zresztą nikt nie jest, tak się mówi. W każdym razie chcę zacząć od nowa. Z silnym i zdrowym dzieckiem, bo na to zasłużyłam. Dlaczego nie miałabym dostać tego co inni? Krzyczę po raz ostatni do Nicolaia, ale on nie chce słuchać. Bóg jeden wie, jak staram się go uratować. Może ma rację, może pójdzie do diabła, a wtedy będzie musiał radzić sobie sam. Odmawiam poświęcenia dla niego życia, ostatecznie każdy musi dbać o siebie, prawda?

Dziesiąty października, noc.

Wśród bałaganu i papierów znalazł starą relację z procesu sądowego, która zwróciła jego uwagę. Wziął ze sobą dokumenty i usiadł przy oknie, pociągnął duży łyk whisky i zaczął czytać.

„Annie odebrała życie swojej czteroletniej córce, dusząc ją bezlitośnie. To morderstwo jest tyleż tragiczne, co bezsensowne. Okoliczności tego incydentu są wyjątkowe i trudne do wyjaśnienia, a w trakcie rozprawy zasugerowano również kilka możliwych motywów morderstwa.

Annie i jej córka Beate były same w domu. Po południu miały gości, a przed snem dziewczynka musiała pożegnać się z rówieśniczką. Beate dobrze się bawiła i była podekscytowana. Przyjaciółkę odebrała mama, która podała, że przyjechała tuż po dziewiętnastej, a wyszły dziesięć minut później. O dziewiętnastej trzydzieści cztery zadzwonił telefon centrum powiadamiania ratunkowego, rozhisteryzowana Annie powiedziała, że Beate przestała oddychać. To była bardzo dramatyczna rozmowa, matka krzyczała w panice. Przez telefon otrzymała instrukcje dotyczące resuscytacji, a karetka przyjechała po niecałych dziesięciu minutach. Lekarz przybył po kolejnych pięciu minutach. Bezowocna próba ratowania życia zakończyła się po trzech kwadransach.

Oto, co wiemy o oskarżonej:

Jesienią 2002 roku Annie zachorowała na depresję i między innymi trafiła na oddział psychiatryczny szpitala Świętego Olafa w Østmarka. Jej historia leczenia psychiatrycznego jest długa i złożona, ma też ona za sobą trudne dzieciństwo i młodość.

Podjezwano dystymię z epizodami depresyjnymi. Sama uważała, że cierpi na chorobę afektywną dwubiegunową, wcześniej sugerowano również zaburzenia osobowości chwiejnej emocjonalnie typu borderline i taka też była ostateczna diagnoza biegłych psychiatrów.

Podczas wydawania wyroku najważniejsze będą obiektywna ocena powagi zdarzenia i ustalenie, czy czyn popełniono umyślnie. Osobista sytuacja i trudności psychiczne oskarżonej nie będą miały większego znaczenia. Nie choruje ona psychicznie, nie ma też zaburzeń świadomości, które wpływałyby na decyzję sądu w takim przypadku.

W przypadku braku przekonujących dowodów, sąd rejonowy musi jednak rozstrzygnąć sprawę na korzyść oskarżonej. Sprawa dotyczy czynu popełnionego w afekcie, zabójstwo Beate ma być więc wynikiem chwilowego, wywołanego sytuacją napadu agresji. Oskarżona straciła panowanie nad sobą w czasie wynikłej prawdopodobnie z jakiegoś drobiazgu konfrontacji z krzyczącym i nieposłusznym dzieckiem. Sąd nie jest w stanie znaleźć okoliczności łagodzących. Zaburzenia osobowości z silnymi wahaniami nastroju i wybuchami wściekłości wyjaśniają motywy oskarżonej, ale nie są okolicznością łagodzącą i nie mają wpływu na wymiar kary. Morderstwa dokonano na bezbronnym dziecku, które we własnym domu było zdane na łaskę matki. W sytuacji, gdy ma prawo do absolutnego bezpieczeństwa.

Obrażenia dziecka wskazują, że użyto znacznej siły fizycznej. Opierając się na wynikach sekcji zwłok i znanych kryteriach dotyczących śmierci przez uduszenie, można domniemywać, że najprawdopodobniej drogi oddechowe dziewczynki zostały

zablokowane przez zasłonięcie dłonią jej nosa i ust. Zebrany materiał dowodowy wskazuje na użycie przemocy.

Uduszenie musiało być dla dziecka okropnym doświadczeniem. Śmierć prawdopodobnie nastąpiła po dziewięćdziesięciu sekundach, a każda z tych sekund była walką i cierpieniem. Przypuszcza się, że oskarżona przytrzymywała córkę, ta zaś się broniła, pomimo swojej drobnej budowy. Oskarżona musiała trzymać córkę w uścisku tak długo, aż nie było już odwrotu, a Beate w końcu przestała oddychać i straciła przytomność. Oskarżona mogła się więc opamiętać. Ustalając wymiar wyroku, jak wspomniano, należy położyć nacisk na fakt, że chodzi o zabójstwo bezbronного małego dziecka, którym opiekowała się oskarżona. Za okoliczność obciążającą należy również uznać to, że oskarżona po dokonaniu czynu usiłowała zatrzeć ślady przestępstwa. I nie przyznała się do winy, podając nieprawdziwy bieg wydarzeń”.

Nieprawdziwy bieg wydarzeń, pomyślał Sejer.

O tym samym mówiła Carmen. I oczywiście było wiele możliwych i niemożliwych wyjaśnień przyczyn śmierci Tommy'ego. Jak atak epilepsji, po którym następuje całkowita utrata poczytalności. To byłby oczywisty wypadek. Straciła przytomność, a potem było już za późno, dziecko zsunęło się pod wodę. Typowe wykręty, dobrze mu znane po wielu latach pracy policyjnej w dystrykcie Søndre: uległość, zaprzeczanie, wymówki i wszystkie te kłamstwa. Słyszał ich tak wiele przez lata służby, jakby panika sama w sobie mogła doprowadzić do niepoczytalności. Jakby normalne zasady już nie obowiązywały, kiedy jesteś wściekły, adrenalina przepływa przez twoje ciało, a krew ci się gotuje w gniewie, takie

tam niemożliwe bzdury. Sejer odłożył papiery i dopił whisky. Odchylił się na krześle i zamknął oczy, myśląc o małej Beate i jej tragicznym losie. Annie została skazana na jedenaście lat więzienia. Potem pomyślał o Carmen, jak da sobie radę w więzieniu, jeśli sprawa zakończy się wyrokiem skazującym. Piękna, rozpieszczona mała Carmen. Która mogła zabić własnego syna w przyływie desperacji. Albo wściekłości. A może było to coś innego, gorszego, pojawiająca się od czasu do czasu niemal nieznośna myśl, scenariusz, którego nie mógł całkowicie odrzucić. Że to było morderstwo z premedytacją, szczegółowo zaplanowane. Bo dziecko było inne. Było ciężarem, którym nie mogła popisywać się przed innymi.

Przypiął smycz do obroży psa i ruszył schodami z trzynastego piętra. Nieco niżej otworzyły się drzwi, usłyszał kroki. Frank zatrzymał się i nasłuchiwał chwilę, zanim znowu zaczął iść. Na zewnątrz wszystko było ciche, nawet żadnego szmeru w drzewach, łagodna temperatura, może piętnaście stopni. Co za wspaniałe lato, pomyślał Sejer, choć właśnie się skończyło. Zbliżają się burze, zimno i deszcz. Frank pociągnął za smycz, powąchał miękką skórę od banana, odrzucił ją nosem i chciał iść dalej, węsząc ze zwieszonym przy ziemi czarnym, wrażliwym pyskiem. Nicolai nie ma z tym nic wspólnego, pomyślał Sejer, nie, nigdy w życiu nie uwierzy, że ten chłopak w jakikolwiek sposób wziął w tym udział. Ale dlaczego jestem tego pewien, może działali wspólnie? Jeśli tak, to moja intuicja jest nic niewarta.

Spacerował w kółko, pozwolił Frankowi węszyć przez dłuższą chwilę. Na środku otwartego placu, całkowicie zajętego

zaparkowanymi samochodami, Sejer stanął i podziwiał migoczące na nocnym niebie gwiazdy. Mówią, że odpowiedź jest w gwiazdach, pomyślał, jak wygodnie byłoby znaleźć ją na roziskrzonym niebie. Frank znowu pociągnął za smycz i ruszył dalej w stronę wejścia, oznaczając jeszcze raz teren, tym razem za kołem niebieskiego golfa.

– Chodź już – powiedział Sejer i ruszył w stronę bloku. Szybkimi krokami przeszedł przez plac, wpisał kod i otworzył ciężkie drzwi z szybami ze szkła zbrojonego. Zostawiając za sobą ciemność i wszystkie myśli, wbiegł po schodach na trzynaste piętro. I właśnie wtedy, gdy pokonywał ostatni ciąg schodów, nagle się zatrzymał. Było po północy. Prawie wszyscy spali. Ale Frank szarpnął smycz i zadrżał. Na najwyższym stopniu siedział Nicolai Brandt.

Sejer stał chwilę i patrzył zszokowany. Potem pokonał ostatnie schodki i wziął chłopaka za rękę.

– Nicolai. Co się dzieje, czy coś jest nie tak?

Tamten wstał i cofnął się pod ścianę. Przez chwilę wyglądał tak, jakby żałował, jakby chciał uciec.

– Jak pan się tu dostał? – zapytał Sejer.

– Nacisnąłem wszystkie przyciski domofonu, ten sposób zawsze działa. Nie powinienem był przychodzić – dodał przygnębiony.

Policjant wyłowił klucz z kieszeni. Otworzył zamek i pchnął drzwi, po czym położył dłoń na ramieniu Nicolaia.

– Proszę wejść, porozmawiamy. Zakładam, że ma pan coś do zgłoszenia, coś ważnego. Mam dużo czasu, proszę po prostu wejść.

Frank skakał i tańczył wokół, ale Nicolai był nim średnio zainteresowany. Z wahaniem wszedł do korytarza, zrzucił z nóg trampki z brudnymi sznurowadłami. Bluza z wizerunkiem Jaggera, cienkie włosy zaczesane do tyłu z czoła.

- Byliśmy na wakacjach, spędziliśmy tydzień na Majorce - wyjaśnił. - Tak mówię, na wypadek gdyby próbował się pan z nami kontaktować.

- Wiem - powiedział Sejer - rozmawiałem z pańskim teściem. Nie, nie było nic ważnego, mam nadzieję, że dobrze się bawiliście. Proszę usiąść tam przy oknie, ja nastawię kawę.

- Nie, dziękuję, nic nie chcę. Proszę się nie kłopotać. Przychodzę tylko z krótką wiadomością i już sobie idę.

Przeszedł do salonu, rozejrzał się po meblach i wnętrzu, zorientował się w nieznanym, uporządkowanym pokoju.

- Wiem, że rozprawa zacznie się w czerwcu - powiedział. - Friis nas poinformował. Tam mamy oboje wyjaśnić, co stało się dziesiątego sierpnia. Z tego, co rozumiem, muszę stawić się w sądzie. A jeśli się tam nie pojawię, zostanę doprowadzony.

Włożył ręce do kieszeni. Przenosił ciężar ciała z nogi na nogę, kołysząc się niespokojnie.

- Tak - potwierdził Sejer - takie jest prawo. Proszę mi powiedzieć, co panu chodzi po głowie. Czy jest coś, co mogę zrobić?

Nicolai przetarł oczy, wydawał się zmęczony i przygnębiony.

- Nie, nie będę zeznawał, może pan mówić, co pan chce. Dlatego stoję tutaj i teraz składam zeznanie.

- Proszę usiąść - powtórzył Sejer. - Co to znaczy, że nie chce pan zeznawać? Obaj wiemy, że pan musi, prawda?

W końcu Nicolai usiadł na fotelu. Zacisnął dłonie na podłokietnikach, aż zbiełały mu kostki.

- Więc co ma pan do powiedzenia, słucham.

- Nie wolno wam wierzyć w ani jedno słowo Carmen - powiedział stanowczo Nicolai.

Sejer długo mu się przyglądał. Na Majorce chłopak nabrał trochę kolorów, miał czerwone policzki.

– Proszę pamiętać o jednej rzeczy – odezwał się w końcu. – To, co pan teraz powie, mogę wykorzystać przeciwko panu. Jak daleko jest pan gotów się posunąć? Czy wie pan coś więcej, czy tylko to, że ona nie mówi prawdy?

Nicolai wyciągnął rękę i podrapał Franka za uchem.

– Nie wiem, co się stało – odparł – i nie zamierzam tu siedzieć i oskarżać jej o cokolwiek. Ale w wersję, którą ostatnio podała, nie wierzę. Nie powiem nic więcej. To pana zadaniem jest dowiedzieć się, jak było, chciałem tylko uświadomić panu, że Carmen ma bardzo bujną wyobraźnię. Cóż, mówiąc wprost: cholernie bujną.

Nerwowym ruchem odgarnął rzadkie włosy z czoła.

– Proszę tylko odpowiedzieć mi na dość proste pytanie – poprosił Sejer. – Czy pańskim zdaniem kochała Tommy’ego? Miała z nim silną więź?

– Oczywiście – odrzekł szybko Nicolai. – Ale jedno nie wyklucza drugiego. Tak, myślę, że go kochała. Tak, myślę, że tęskni za nim, przynajmniej czasami. Ale nie, nie sędzę, żeby żałowała. Jeśli rzeczywiście zrobiła coś naprawdę złego.

– Co ma pan na myśli?

– Myślę, że pan rozumie... Może pan użyć wyobraźni.

Sejer spojrzał na niego badawczo.

– To są bardzo poważne oskarżenia, ale oczywiście zdaje sobie pan z tego sprawę.

– Proszę mi odpowiedzieć szczerze na jedno pytanie – odparł Nicolai. – Czy pan wierzy w historię Carmen? A może tak jak ja uważa pan, że ona kłamie?

– Nie odpowiem na to pytanie. Ale oczywiście dużo nad tym myślałem. Miejmy nadzieję, że znajdziemy wyjaśnienie, z którym oboje będziecie mogli żyć pomimo tragedii.

– Nie, nie ma takiej możliwości. Ale pan musi wykonywać swoje obowiązki. Jeśli Carmen kłamie, pan musi to odkryć. Więc co pan o tym myśli? Czy sąd uwierzy jej opowieści o ataku epilepsji?

– Nie wykluczam tego. I nawet jeśli dręczą pana podejrzenia, musi pan zmierzyć się z faktem, że taka wersja może być prawdziwa. Ja już się w życiu nieraz myliłem – dodał Sejer – pan pewnie też.

– Tak, myliłem się. Ale nie tym razem. – Rozejrzał się po salonie i zauważył ścianę z fotografiami. Wstał i podszedł, żeby przyjrzeć się im dokładniej.

– Pańska żona? – zapytał, wskazując zdjęcie. Elise uśmiechała się do niego swoim promiennym uśmiechem.

Policjant skinął głową.

– A kto tańczy w balecie?

– Mój wnuk – odrzekł Sejer. – W Balecie Narodowym.

– Musi być dobry...

– Tak.

– Jest adoptowany?

– Tak. Z Somalii. Proszę jeszcze usiąść, proszę nie zmieniać tematu.

Nicolai znalazł drogę z powrotem do krzesła.

– Carmen jest ze stali – powiedział. Potem gwałtownie wstał i ruszył w kierunku wejścia. – Nic więcej już nie powiem, wystarczy.

Wbił stopy w buty. Sejer odprowadził go do drzwi, otworzył je.

– To, co pan teraz powiedział, jest bardzo poważne. Nie mogę tego zatrzymać dla siebie, muszę to przekazać dalej. I położył pan na szali przyszłość zarówno swoją, jak i Carmen.

– Rozumiem, że musiał mnie pan tak ostrzegać. Ale to nic, wiem, co robię. Chcę tylko postąpić właściwie, na pewno się pan z tym zgodzi.

Ruszył w stronę windy, ale jeszcze się obrócił.

– Nigdy nie dostanie pan jasnego wyjaśnienia – powiedział. – Carmen potrafi wykręcać się jak piskorz. I rozumiem, że potrzebuje pan dowodu. Mimo to nie tracę nadziei, proszę pamiętać, że ja ją znam. Być może prędzej czy później się pomyli.

*

Jedenasty października, rano w Granfoss.

Nicolai już wstał, nie było go w łóżku. Zastanawiała się, co robił poprzedniej nocy, bo wsiadł do samochodu i gdzieś pojechał, ale bez szczególnie dramatycznych scen. „Nie. Zostaw mnie w spokoju”, powiedział, wychodząc. Koło północy zrezygnowała z czekania i poszła do łóżka. Teraz była już siódma rano, Carmen leżała przez chwilę, jeszcze drzemiąc, myśląc o stanie rzeczy, o tym dziwnym nowym życiu bez Tommy’ego. Cisza i spokój w domu, nieznane, ale całkiem dobre, to trzeba przyznać. Nadszedł kolejny dzień, nowy, cały do jej dyspozycji, miała przed sobą ocean czasu. Leżała nieruchomo w łóżku i nasłuchiwała. Dom wydawał się pusty, mimo że Nicolai nie spał, w sypialni panowała taka cisza, że aż powstało wrażenie szumu. I pomyślała o tym szumie, który pochodził z wszechświata, z ruchu wszystkich planet po odwiecznych orbitach. Wreszcie poczuła głód. Może zrobił dla niej śniadanie? Był takim

miłym chłopcem. Nieśmiały, powściągliwy i skromny, a czasami nawet dość powolny, ale miły, dlatego go wybrała. Nigdy się nie kłócił, nigdy jej nie uderzył. Tylko że teraz, po śmierci Tommy'ego, całkowicie się zmienił. Nie sądziła, że rzeczywiście zrobił śniadanie, stał się tak obojętny na wszystko. Ta obojętność ją niepokoiła, nie był całkiem sobą, nie był Nicolaiem, którego znała i do którego była przyzwyczajona. Odsunęła kołdrę i postawiła stopy na chłodnej podłodze. Zbliżyła się do okna i wyjrzała na zewnątrz, był pogodny październikowy dzień. Potem poszła do łazienki, odkręciła kran, chlusnęła sobie wodą w twarz i jak zwykle wzięła klonazepam. Wciągnęła sweter przez głowę i ruszyła do kuchni, powłócząc nogami, bosy, potem dalej do salonu. Kanapa była pusta. Koc był starannie złożony, najwyraźniej Nicolai tam nie spał. Może w ogóle nie spał tej nocy. Pewnie poszedł do piwnicy, jak zwykle. Zdecydowała się na to wyjaśnienie, wydurniał się jak zwykle tam na dole, to było pewne jak w banku. Bóg jeden wie, co się tam działo w półmroku z tym starymi rowerami, pomyślała, uświadomiła sobie, że jest dopiero siódma. Jeszcze nigdy nie zaczynał pracy tak wcześnie, więc czy to możliwe? Stała przez chwilę na środku pokoju, zdezorientowana, potem znowu poszła do kuchni, wyjęła z lodówki masło i wędliny. Włączyła czajnik, pokroiła chleb, nakryła do stołu, ale bez przesady, postawiła tylko dżem i ser. Kiedy woda się zagotowała, wyszła do przedpokoju, zbliżyła się do drzwi do piwnicy, otworzyła je i zawołała, że śniadanie gotowe. Nikt jej nie odpowiedział, więc zamknęła drzwi i wyjrzała na podwórko. Golf stał zaparkowany obok skrzynki pocztowej. Zerknęła w dół, w stronę jeziora, ale tam nikogo nie zobaczyła. Musiał chyba iść na spacer, ale przecież było tak wcześnie. Spacer o siódmej rano to mało

prawdopodobne. Niewykluczone jednak w jego obecnym stanie. Wróciła do środka i usiadła przy kuchennym stole, zrobiła kanapkę z masłem i serem, przeżuwała powoli i z namysłem. Potem z radością pomyślała o szczeniaku. Już go zamówili, z hodowli w Oslo. Jacka russella. Mieli go odebrać, jak skończy osiem tygodni, cieszyła się na to jak dziecko. Papa Zita dał im swoje błogosławieństwo, nie spodziewała się zresztą niczego innego. Teraz minie jesień, zima i wiosna, a latem będzie musiała stawić się w sądzie i wyjaśnić sprawę śmierci Tommy'ego. Ale nie myślała zbyt wiele o procesie, wypierała to. Wiedziała też, że sobie poradzi, miała wielką wiarę w swoje możliwości i talenty. Postanowiła wylać tam dużo łez, płacz mógł jej tylko pomóc, bo to, co się stało, to tragedia, a sąd będzie jej współczuł, tego była absolutnie pewna. Na sto procent.

Jestem Carmen Zita, pomyślała, nie zadzierajcie ze mną! Starła się nie martwić o Nicolaia. Jeśli chce tam pójść i drażnić, droga wolna. Pali i chleje whisky, kto to widział coś podobnego. Ale wcześniej czy później z pewnością odzyska rozum i stanie się starym, dobrym Nicolaiem, w którym się zakochała. Nie myślała o tym, żeby go zostawić, mieli być razem na zawsze. Gdyby tylko się teraz pozbierał. Gdyby w końcu pojawił się na śniadaniu.

Najadła się, resztę jedzenia zostawiła.

Jak wróci do domu z porannego spaceru, to sobie coś weźmie. Odstawiła na blat szklankę i talerz, po czym poszła do łazienki, włożyła dzinsy i spojrzała w lustro na swoje odbicie. Stała przez chwilę, podziwiając siebie, podobało jej się to, co widziała, zawsze sprawiało jej to przyjemność. Potem wróciła do kuchni i wybrała

numer komórki Nicolaia, ale dzwonek odezwał się w sypialni. Znalazła jego telefon na nocnym stoliku, grał swoją cichą melodię. Na wyświetlaczu nieodebrane połączenie. Cóż, najwyraźniej nie chciał z nią rozmawiać, musiała to uszanować. Włożyła buty i wyszła z domu na podwórko, a potem nad jezioro. Usiadła na końcu pomostu, gdzie zwykle przesiadywał Nicolai. Zastanawiała się nad życiem i wszystkimi zwrotami akcji, których nie planowała. Nad którymi nie miała kontroli, jak teraz. Uroniła kilka gorzkich łez, bo życie było teraz takie trudne, płacz był dla niej dobry, ulżył temu, co w sobie nosiła. Wyjęła telefon komórkowy z kieszeni i wybrała numer ojca.

– Każdy przeżywa żalobę na swój sposób – tłumaczył jej – on potrzebuje samotności. Wiesz, nie jest tak silny jak ty, jest taki wrażliwy.

– Mógł przecież zostawić wiadomość – powiedziała – ale już nie zwraca uwagi na to, co ja czuję.

– Chcesz, żebym przyjechał?

– Nie. Wszystko w porządku, pojawi się.

– Na pewno. W końcu zrozumie, że niewiele można zrobić z obecnym stanem rzeczy. Zadzwoń, kiedy wróci, chcę wiedzieć, że wszystko w porządku.

Obiecała, że da znać. Zakończyła rozmowę i wstała z pomostu, wróciła do domu, do salonu. Potem zobaczyła jego papierosy, leżały na stoliku, obok zapalniczki. Dziwiło ją, że ich nie zabrał, palił już regularnie. Odsunęła paczkę i usiadła przy biurku. Otworzyła szufladę, wyjęła pamiętnik, zrobiła krótką notatkę.

Drogi pamiętniku!

Nicolai zniknął, a jest wczesny ranek. Mam nadzieję, że nie chodzi gdzieś tam, rycząc, prawdopodobnie byłoby lepiej, gdyby opłakiwał Tommy'ego tutaj, ze mną. Samotność tylko wszystko pogarsza.

Nie dała rady napisać więcej.

Zadzwoiła do ojca po raz drugi, a on wsiadł do samochodu. Po pół godzinie stał już u niej w progu, poklepał ją delikatnie po policzku.

– Tyle powodów do zmartwień – powiedział – jakbyś ich miała mało. Poszukamy go i na pewno się znajdzie. Może poszedł na plażę, przecież lubi pływać. Co myślisz?

Kiwnęła głową i zebrała się w sobie. Tak, pewnie poszedł na plażę, powinna była o tym pomyśleć wcześniej. Zostawiła otwarte drzwi, bo nie była pewna, czy wziął klucz. Nagle nie była już niczego pewna.

– Weźmiemy samochód? – zapytał ojciec.

– Nie – odparła Carmen – pójdziemy, damy mu trochę czasu. A jak wrócimy do domu, usłyszysz ode mnie parę słów.

– Przynajmniej teraz jest piękny dzień – zauważył Zita. – Niewiele złego może się zdarzyć, gdy natura jest po naszej stronie. Październikowe niebo, bezchmurne i błękitne, to dobry znak.

– Tato, z Nicolaiem dzieje się coś poważnego – powiedziała. – Tylko wzrusza ramionami, bez względu na to, co powiem. Nie przejmuje się niczym, to naprawdę irytujące.

Zita szedł i myślał, marszcząc czoło.

– To wygląda na ciężką depresję – podsunął w końcu – może powinien iść do lekarza. Może jakieś leki by mu pomogły.

Carmen pokręciła głową.

- Nie zmusisz Nicolaia do brania pigułek - ostrzegła. - Jest temu przeciwny. Chodź. Pójdziemy promenadą, nawet jeśli tamtędy jest dłużej. Kiedy wrócimy do domu, na pewno tam będzie. I przepraszam, że to mówię, ale pieprzyć go.

Zita nie skomentowała tego. Szli przez chwilę w milczeniu.

- Za trzy tygodnie będzie już szczeniak - powiedziała z zapalem. - Naprawdę nie mogę się doczekać.

- A Nicolai? - spytał Zita. - Czy szczeniak też jest mu obojętny?

- Tak, jest obojętny na wszystko. Ale pewnie będzie się wygłupiał z nim jak ja, szczeniaki są wyjątkowe.

Znów zamilkła. Trudno jej było nadażyć, ojciec miał długie nogi i utrzymywał dobrą prędkość. Droga na plażę zajęła im dwadzieścia minut, ale na brzegu nie było Nicolaia, fale pluskały leniwie, długie i powolne. Carmen wyteńczyła wzrok i lustrowała tafle wody. Zita spacerował po plaży, podniósł patyk, po czym natychmiast go wyrzucił.

- Czy pamiętasz, jak byłeś tu ze mną jako dziecko? - zapytał. - Pamiętasz nasze wspólne dobre chwile?

- Tak, oczywiście - odparła. - Nosileś mnie na barana.

Potem otarła łzę i spojrzała na niego zmartwionymi niebieskimi oczami.

- Co, jeśli nie wróci do wieczora? - zapytała. - Do nocy, co wtedy zrobimy?

Papa Zita wszedł szybko do sypialni, jakby myślał, że Nicolai wrócił do domu, a potem poszedł spać w ponurej samotności. Oczywiście

istniała taka możliwość, a on nie dopuszczał myśli, że coś się stało. Ale pokój był pusty i cichy, tylko te dwa łóżka z pogniecionymi kołdrami. Carmen usiadła przy kuchennym stole. Kiedy ojciec do niej dołączył i złożył ręce na blacie, wyraźnie jej ulżyło.

– Byłaś w piwnicy? – zapytał ostrożnie.

Odpowiedziała szybko, z lekkim oddechem:

– Nie, ale go wołałam. To znaczy ze szczytu schodów, tak na wszelki wypadek. Nie odpowiedział, więc pewnie wyszedł, jestem tego pewna. Tato, nie strasz mnie – dodała szybko.

Siedzieli przez chwilę, patrząc na siebie, Zita z niepewnością. Sięgnął po stojący na stole pojemnik na sól, odkręcił pokrywkę i założył ją z powrotem. Jego dłonie wydawały się takie wielkie, gdy tak leżały na czystym stole, nie miały się czego chwycić.

– Zejdę na dół i zobaczę – powiedział – żeby się upewnić. Siedź tutaj i czekaj, zaraz wracam.

Carmen w milczeniu skinęła głową. Ojciec wstał i przeszedł do przedpokoju. Usłyszała jego kroki na schodach, najpierw wyraźne, potem cichsze, gdy schodził do ciemnej piwnicy. Minęła minuta, a jej umysł zaczął wędrować w mroczne miejsca, nie mogła tego zatrzymać. Chciała wstać i wyjść na korytarz, zawołać go i zapytać, czy wszystko w porządku, ale nie mogła się ruszyć. Tato, pomyślała, musisz go znaleźć. W dobrym stanie. Musisz wszystko uporządkować, tak jak zawsze to robisz, ja już nie mogę tego znieść, to ponad moje siły.

Minęły dwie minuty, wszystko było martwe. Znowu usłyszała ten szum ciszy w pokoju, ale teraz przybrał na sile. Nerwowo wyjrzała przez okno na czarne jezioro, znienawidzone, z samotną białą lilią. A jeśli utonął? Jeśli stało się najgorsze? Ile nieszczęścia może na nią

spaść w tym krótkim życiu? Nie, pomyślała znowu, on naprawia rower. Za sekundę obaj wejdą do kuchni, a Nicolai uśmiechnie się szeroko i będzie szczęśliwy. Uśmiechnie się, bo w końcu pokonał przeciwności, a życie będzie toczyło jak dawniej, w uśmiechach i szczęściu. Oboje mieli iść ramię w ramię w wielki, szeroki świat, szczęśliwi jak dzieci.

- Carmen - odezwał się Zita z rozpaczą.

Ramiona zwisały mu bezwładnie po bokach, oczy miał czarne.

- Carmen, teraz musisz być silna. Nicolai powiesił się w piwnicy. Pewnie zrobił to w nocy, kiedy spałaś. Nie schodź na dół! Zostań tu i czekaj, ja wezwę pomoc.

- To nie moja wina! - wrzasnęła. - To nie moja wina! - Upadła na podłogę, przewracając krzesło. Próbowwała wstać, ale była słaba i bezwładna. Ojciec podniósł ją silnymi ramionami.

- Siadaj! - Pchnął ją na krzesło. - Siedź tu spokojnie i się nie ruszaj!

Położyła ręce i głowę na stole i płakała z przerażenia i konsternacji.

Zita zszedł znów po schodach do piwnicy.

Trzyście ciężkich stopni w straszną czeluść. Tym razem z sercem w gardle, uzbrojony w nóż, który znalazł w kuchennej szufladzie. Na podłodze zauważył otwartą skrzynkę z narzędziami, puszkę oleju i smarownicę. Dwa stare rowery z kołami w powietrzu. Wokół leżało też trochę złomu, jakieś pudełko ze starymi podręcznikami. Widok Nicolaia zwisającego z belki stropowej był tak przerażający, że Zita jęknął. Przewrócone plastikowe krzesło ogrodowe. Postawił krzesło i wszedł na nie, objął ramieniem wątle

ciało chłopaka i przeciął linę. Poczłł ten zapach, o którym słyszał, a którego nie dało się z niczym pomylić. Ciało upadło na podłogę z głuchym odgłosem. Potem zszedł z krzesła, znalazł w kieszeni telefon komórkowy, chciał zadzwonić na numer alarmowy. Ale jego palce drżały ze strachu, kilka razy pomylił klawisze, aż w końcu usłyszał głos po drugiej stronie. Zrelacjonował pokrótce sytuację, usiadł na chwilę na krześle, aby odzyskać spokój.

Kiedy tak siedział i czekał, zauważył łóżeczko Tommy'ego w kącie pomieszczenia. Było rozebrane, obok leżał materac. Poczłł jakiś dyskomfort. I przypomniał sobie słowa Nicolaia przy pomoście, pierwszego dnia po śmierci wnuka.

„O wielu rzeczach nie masz pojęcia”.

Zaczłł zastanawiać się nad znaczeniem tych właśnie słów i ogarnął go strach, jak ucisk w żołądku. Myśli wypełniające teraz jego głowę były tak okropne, że odrzucił je, zaprzeczył wszystkiemu, zawsze będzie temu zaprzeczał. Musiał wierzyć w desperackie wyjaśnienia córki, inny scenariusz był nie do zniesienia. Mimo to widok dziecięcego łóżeczka bardzo go poruszył. O wielu rzeczach nie masz pojęcia. „O wielu rzeczach nie masz pojęcia” dzwoniło i zgrzytało mu w głowie, dokuczliwa melodia zdartej płyty. Nie mógł jej zatrzymać. Potem wrócił do Carmen po raz drugi. Podniósł ją z krzesła i objął, wypełniony niewygodnymi pytaniami, których nie śmiał zadać. Wreszcie zebrał się na odwagę, odsunął ją lekko i spojrzł córce w oczy.

– Łóżeczko... – szepnął. – Łóżeczko Tommy'ego jest w piwnicy. Co ty sobie myślałaś? Tam jest wilgotno, materac się kompletnie zniszczy. Zgnije, nie wiesz o tym?

Carmen od razu zaczęła płakać, rzuciła się na niego i całkowicie się załamała.

– Nie chciałam tych wspomnień – szlochała. – Nie mogłam znieść widoku pustego łóżeczka. A jeśli pojawi się nowe dziecko, wszystko musi być nowe.

Zita uznał to za zrozumiałe. Wciąż czuł niepokój, którego nie mógł zignorować, ale to nie był moment na konfrontację. Zabrał Carmen do salonu i usadowił ją na kanapie, sam siedział tam i czekał, obejmując ją ramieniem, starając się pocieszyć córkę.

– Nie złość się – powiedział cicho. – Nie pielęgnuj tej wściekłości przez resztę życia, bo nigdy się z tym nie pogodzisz. Będziesz musiała mu wybaczyć.

W końcu usłyszeli samochody. Wyszli oboje na schody, aby wpuścić ekipy. Obok radiowozu rozpoznali Jacoba Skarrego.

– Odciałem go, leży tam na podłodze – powiedział Zita. – Nie, nie wiemy, kiedy to się stało. Wyjechał z domu wczoraj wieczorem około jedenastej i w pewnym momencie wrócił. Wszystko to wydarzyło się, gdy Carmen spała.

Kiedy wynieśli ciało Nicolaia z piwnicy, przypięte do wąskich noszy, siedziała na sofie, żeby zgodnie z radą policji nie oglądać zwłok męża. Mówili, że jest zupełnie nie do poznania, że ten widok jest nie do zniesienia. „Nie, nie wolno ci na to patrzeć, powiedział stanowczo ojciec, musisz pamiętać Nicolaia takim, jaki był”. Dlatego trzymała się z daleka, choć dokuczała jej ciekawość, dramat w dziwny sposób ją ekscytował. Ale było coś w twarzy jej ojca, coś złowrogiego, co potraktowała poważnie, poza tym Skarre wszedł do salonu ze swoim milionem pytań. Jaki był wczoraj, czy dawał jakieś sygnały, czy

znalazła jakieś listy, czy podejrzewała, że coś jest nie tak. Czy miał historię depresji, czy w rodzinie zdarzały się samobójstwa.

– Nie, był dokładnie taki jak zwykle – powiedziała Carmen. – Jestem w szoku.

Skarre został u nich przez godzinę, pytał i drażył, chciał wiedzieć wszystko. Wędrował po domu, jakby szukając śladów. Jakich śladów, pomyślała z rozpaczą, nic przecież nie znajdzie. To, co się stało, było ostatnią wolą Nicolaia, a ona nie mogła tego pojąć. Dobrowolnie poddać się śmierci, zacisnąć pętlę na szyi. Sam w ciemności piwnicy. Kiedy mógł leżeć bezpiecznie w ciepłym łóżku, trzymając ją za rękę. Na myśl o tym zrobiła się zimna jak lód. Opowiedziała wszystko tak, jak było, że poprzedniego wieczoru wyszedł z domu o jedenastej i pojechał gdzieś golfem. „Chcę się tylko przejechać”, powiedział, klepiąc ją po policzku. Po raz ostatni, ale nie mogła tego wiedzieć, więc nawet specjalnie nie zareagowała. Nawykła do jego przejażdżek, w końcu był samotnikiem. Ale teraz przypomniała sobie wszystko ze szczegółami. Jego oddech na twarzy, wąska, ciepła dłoń na policzku, jasne zielone spojrzenie. Jego kroki po żwirze, gdy szedł do samochodu, dźwięk uruchamianego silnika. Czerwone światła znikające na zakręcie.

Potem, kiedy odjechali i zabrali ze sobą zwłoki, udała się z ojcem do domu na Møllergata. Nogi ledwo ją niosły. Wszystko było zimne, nierealne i zupełnie niezrozumiałe. Od tego czasu leżała w łóżku rodziców, zupełnie płasko na plecach, bez ruchu. Jej ciało było jak sparaliżowane, nie mogła się ruszyć. Próbując dojść do siebie, obserwowała muchę bzykającą wokół klosza lampy na suficie. Bolały ją plecy, ale nie mogła znieść zmiany pozycji, była jak martwa.

Mogłaby tak leżeć bez końca, zupełnie bez ruchu, wpatrując się w owada. Objęła się z zawziętym zapałem, mechata, czarna i ohydna. Ojciec wszedł do pokoju, usiadł obok łóżka. Złapał ją za rękę i mocno ścisnął.

– Zostaniesz już z nami – zdecydował.

Milczała, nie miała nic do powiedzenia. Nie miała sił, nie miała energii, by cokolwiek robić. Chciała wstać, ale coś ją powstrzymywało, jakby doszła do ściany. Wiedziała, że zegar tyka, że życie za drzwiami toczy się dalej, to było prawie niezrozumiałe, że ludzie potrafią żartować i się śmiać. Życie było niezłomne. Potem ojciec wrócił do Granfoss, wziął trochę ubrań i lekarstwa. Poprosiła go, aby przywiózł jej pamiętnik, który znajdował się w dolnej szufladzie biurka.

– Pomaga ci?

– Tak – odpowiedziała – piszę w nim każdego dnia. Wszystko staje się łatwiejsze, kiedy ubiorę rzeczy w słowa.

Próbowała zasnąć, ale nie mogła. Po prostu leżała w łóżku i gapiła się tępo przed siebie. Naprawdę chciała wstać i iść, ale czuła, że oczekuje się od niej leżenia, przynajmniej przez ten pierwszy, okropny dzień. Otwierała i zaciskała dłonie, jakby chciała pomóc krwi krążącej w jej ciele. A mucha była niestrudzona, tak zajęta swoim małym życiem. Kilka rund po pokoju, ale zawsze wracała do lampy, tak jak ludzie, w wiecznym poszukiwaniu światła i ciepła.

*

Drogi pamiętniku!

To straszliwy dzień. Piszę do ciebie w smutku i rozpacz. Nicolai powiesił się w piwnicy, a szok doprowadził mnie do ciężkiego ataku epilepsji. Nic dziwnego, że w końcu się załamalam. Tata siedział przy łóżku, a ja od tamtej pory leżę tutaj, długie drgawki zupełnie mnie wyczerpały. Kiedy się obudziłam i doszłam do siebie, nie pamiętałam, co się stało, i tata musiał jeszcze raz przekazać mi złą wiadomość. Że Nicolai wszedł na krzesło i się powiesił. Czy to tchórzostwo, czy odwaga? Nie, nie mogę na to odpowiedzieć, ale teraz, z perspektywy czasu jestem zgorzkniała i rozczarowana, ponieważ mnie zostawił. Mimo to, do cholery, jednego jestem pewna. Jestem silna i wytrwała, nikt na całym świecie nie da rady zepchnąć mnie z obranej drogi.

Więc wreszcie doszłam do siebie. A mucha, która latała wokół lampy, wreszcie zniknęła. Może położyła się w jakiejś szczelinie gdzieś tu w sypialni, by umrzeć spokojną śmiercią, w końcu jest jesień. Dziwna rzecz, że pamiętałam ten szczegół, a w sumie zapomniałam, że Nicolai nie żyje.

Wiem, że toczę pianę z ust, kiedy mam atak. A czasem moczę spodnie, to jest nie do zniesienia. Ze wszystkich rzeczy związanych z tym zaburzeniem, to jedno mnie zawstydza. Chociaż tata jest taktowny. Zawsze mnie wspiera, ale jest to strasznie trudne. Bo oczywiście jestem dumna i próżna. No nic, funkcjonuję z tym już tak długo, więc wszystko jakoś przetrwam. W tej chwili tyle będzie musiało mi wystarczyć.

Ale teraz leżę tutaj w łóżku i żyję. Mogę zacząć od nowa, kolejne lata stoją przede mną otworem i wołałabym widzieć to jako nowy rozdział. Tragedia to, jak mówią Chińczycy, nowa szansa, prawda? Za oknem widzę księżyc świecący białą poświatą. Ciężko sobie

wyobrazić, że ktoś jeździł po nim jakimś pojazdem. Próbuję to zrozumieć, powoli do tego dochodzę. W końcu Księżyc widać, wystarczy skierować się prosto na niego, na ten lśniący biały dysk na czarnym niebie. Ale jeśli chodzi o Marsa, nie udaje mi się, on jest przecież poza polem widzenia, jest tak daleko. A jeśli znajdą drogę? A jeśli zbudują pojazd zdolny tam dotrzeć? Dzięki takim rzeczom myślę, że ludzkość jest niepowstrzymana. Sama też muszę załatwić kilka spraw. Nowy mąż, nowe dziecko, nowe życie. A tata mnie wesprze na tej drodze. Mama podgrzała mi mleko i dodała do niego łyżkę miodu. Jakby to mogło złagodzić całe moje nieszczęście. Mimo to robię, jak mówią, piję ciepłe mleko, płaczę w koszulę taty. Nicolai nie żyje. I bez względu na to, co mówią, muszę go zobaczyć, żeby w to uwierzyć.

*

Dwunasty października, rano.

To smutny czas, pomyślał, liście opadają z drzew i gniją w rowach, przymrozki pokrywają rośliny lodem, a Nicolai nie żyje. Z reguły przed lustrem tylko przelotnie spotykał własne spojrzenie. Chociaż wyglądał dobrze, dziwna nieśmiałość nie pozwalała mu spędzać tu dużo czasu. Ale teraz, tego dnia, dwunastego, stał, patrząc na swoją twarz z nowym zainteresowaniem. Wpatrywał się w siebie i szukał oznak słabości. Znalazł ich całe mnóstwo. Tkwilo to w nim jak ból w żołądku, bruzdy w kącikach jego ust robiły się coraz głębsze. Ale jak mogłem temu zapobiec, pomyślał następnie, jeśli ktoś już się zdecydował, to niełatwo jest zapobiec śmierci, niełatwo powstrzymać ten ostateczny krok. Mimo to był przytłoczony smutkiem z powodu śmierci Nicolaia. Nie ma powrotu. Wystarczyła

mocna lina. A teraz być może spotkał się znów z Tommym, chociaż on też w to nie wierzył, śmierć była zimna i ostateczna, śmierć była końcem życia i niczym więcej.

Ogolił się wyjątkowo dokładnie ze względu na plany na ten dzień, udał się do kuchni. Uruchomił ekspres do kawy, posmarował masłem chrupki chleb. Frank przydreptał do miski z wodą, żeby się napić, wiedział, że jeśli tylko zaczeka, dostanie swój poranny spacer. Po prostym śniadaniu Sejer skierował się do przedpokoju i założył mu smycz. Pokonał wszystkie schody i wyszedł na parking. Poranek był szary od mgły, w powietrzu wisiała mżawka. Pomyślał, że w wypadku każdej nagłej śmierci pojawia się poczucie winy. Zawsze coś można było zrobić inaczej, lepiej. Tak jak Carmen czuła się teraz winna, tak jak Marian Zita. Jak ja teraz czuję się winny, pomyślał, ciągnąc za smycz. Psa trudno było nakłonić do powrotu do domu, ktoś spacerował tam przed nimi, może suka. Nicolai pojawił się u niego zeznawać, Sejer powinien był zauważyć, że coś się z nim dzieje. Teraz było już za późno i strasznie go to niepokoiło. Potem jego myśli powędrowały w inne miejsca. Frank znalazł szyszkę. Niósł ją dumnie w pysku, po czym uniósł nogę, jak to pies. Po piętnastu minutach spaceru zawrócił i wszedł z powrotem do bloku.

Teraz, pomyślał później, gdy wjechał do centrum miasta. Teraz dostanę ostateczny werdykt. Miał to przyjąć jak mężczyzna, nawet jeśli czekała go śmierć. Zawsze był powściągliwy, był cierpliwy, rozsądny i racjonalny, a żaden człowiek nie żyje przecież wiecznie. Zaparkował i wszedł do przychodni, w poczekalni było kilka osób. Posłusznie założył niebieskie ochraniacze na buty, leżały tam

w pudełku i wyglądały śmiesznie, żaden z pozostałych oczekujących nie miał ich na nogach.

Czekając, czytał czasopismo medyczne. Swoje zdrowie zawsze oceniał jako dobre, mimo melancholijnego usposobienia i ostrożnej natury. Całe życie dobrze sobie radził. W rozpacz i tęsknocie za Elise, w śledztwach w sprawie bezwzględnych morderstw, tak, przez całe życie był silny, uparty i wytrwały. Oddany, tak, niemal ofiarny w stosunku do ludzi, którym miał służyć. Teraz czytał o amerykańskich pięciolatkach biorących antydepresanty, że roczniakom i dwulatkom podawano tabletki nasenne, to było niewiarygodne. On sam nigdy nie brał niczego poza paracetamolem na ból głowy. W walce z zawrotami głowy nic nie pomagało, poza siedzeniem w bezruchu, dopóki atak się nie skończył. Czekał prawie godzinę, jego ciało było pełne niepokoju. Ale w końcu w drzwiach pojawił się pielęgniarz i poprosił go do środka. Plastikowe osłony na buty szeleściły, gdy szedł po wypolerowanej podłodze.

Lekarka była niepokojąco młoda, pochodziła z Azji. Ale czuł, że jest pod dobrą opieką, była w niej jakaś mądrość Orientu, przekonanie, że mają rozwiązanie wszystkich zagadek istnienia. Zapytała go, jak długo to trwa, te zawroty głowy, pojawiające się i znikające, przez które tak często czuł się bezsilny.

– Wolałbym na to nie odpowiadać – stwierdził ze wstydem, zmartwiony. – Bez obecności mojego obrońcy.

Doktor Hannah Chen uśmiechała się, ukazując białe zęby, patrzyła na niego pobłaźliwie.

– Cóż – powiedziała z uśmiechem – rozumiem, że od dawna. Nie biega pan ciągle do przychodni, to trzeba przyznać.

- Proszę wybaczyć, ale pojawiaam się, jak muszę, jestem rozsądnym człowiekiem.

Umówiła go na rezonans magnetyczny w szpitalu, zrozumiał, że już nie ucieknie. Jakikolwiek cholerstwo go dopadło, miało teraz zostać nieodwracalnie ujawnione. Potem zaczęła pytać i drążyć w różnych sprawach, a on odpowiadał na tyle dokładnie, na ile umiał. Nie, rak nie występuje w mojej rodzinie. Mój ojciec miał chore serce, a mama zmarła na niewydolność nerek, urodziła się z jedną, potem dostała zapalenia. Oboje byli w bardzo zaawansowanym wieku. Ale moja żona zmarła na raka wątroby wiele lat temu, miała zaledwie czterdzieści lat. Nie, nie piję dużo. Tylko whisky wieczorem, ale szczerze mówiąc, sporą porcję. A potem palę jednego marnego papierosa, od zawsze. Ale wierzę w umiar. Poza tym żyję zdrowo. Nie przejadam się i ćwiczę. Nigdy nie chorowałem. Nigdy. To, co mnie teraz spotkało, jest czymś zupełnie nowym w moim uporządkowanym życiu. I tak, jestem trochę zaniepokojony. Więc co pani o tym myśli? Dożyję Bożego Narodzenia?

Hannah Chen zanotowała coś szybko. Czarne włosy miała związane w ciasny i lśniący kok na czubku głowy, przez co wyglądała jak Mała Mi.

- Prawdopodobnie tak - odparła spokojnie. - Ale musimy potraktować to poważnie. Nie staje się pan młodszy, przykro mi to mówić. Nikt nie uniknie swego losu. Ludzkie ciało to skomplikowany system, cud, że tak wielu udaje się dotrzeć do starości. Ludzkość nigdy nie była tak stara jak teraz i pan prawdopodobnie też się zestarzeje, wystarczy poczekać. No. Wypisałam skierowanie do laboratorium, pobiorą próbki krwi.

Następnie może pan bezpiecznie wrócić do domu, wiedząc, że ruszyła machina pomocy. Szpital powiadomi pana o terminie badania. Proszę się nie denerwować, naprawdę jest pan w wyjątkowo dobrej formie.

Próbował stłumić niepokój, odepchnąć myśli o chorobie. Po południu pojechał do Papy Zity. Carmen przyjęła go, uśmiechała się dzielnie, stojąc u szczytu schodów z wyciągniętą ręką. Na początku nic nie mówiła, jakby zupełnie się zamknęła, ale w końcu zebrała się w sobie i odzyskała mowę.

– Znowu przychodzi pan mnie dręczyć – powiedziała z ponurym i wyzywającym spojrzeniem.

Weszła przed nim do domu, trzasnęła drzwiami.

– Nie – odrzekł Sejer – nie będę o nic pytał. Chciałem tylko się z panią spotkać, zapewnić, że myślę o pani. Traktuję tę sprawę poważnie. Doświadczyła pani tyle nieszczęścia...

– Będzie miło, jeśli przyjdą panowie na pogrzeb. Nicolai bardzo pana lubił, zawsze tak mówił. Taty nie ma w domu, jest w Zita Quick na spotkaniu. Obroty stale rosna, musimy zatrudnić więcej osób. Ja też niedługo biorę się do pracy, tak długo już siedzę w domu. Może pan przyprowadzić psa, jeśli jest w samochodzie. Ale tak szczerze, to myślę, że powinien pan zostawić mnie w spokoju.

Słowa płynęły strumieniem. Jakby bała się ciszy, która miała ją obnażyć, bo kiedy milczysz, ciało zdradza tysiące małych sygnałów, nerwowe ruchy rąk i drganie ust, mimo że robiła wszystko, co mogła, aby się uspokoić. Odmówił. Powiedział, że Frankowi nic się nie dzieje w samochodzie, że jest przyzwyczajony do czekania. Czy

nie powinna mówić o Nicolaiu? Jak mogła zignorować jego śmierć? Gdzie dokładnie były jej myśli, nie rozumiał tego.

– Czy to prawda, że przy powieszeniu człowiek łamie sobie kark? – zapytała z nagłą bezpośredniością. – Czy to szybka śmierć?

Spojrzał jej w oczy. Pomyślał chwilę.

– Tak, raczej tak – powiedział wreszcie, prawie niechętnie. – I tak, to szybka śmierć. W ciągu pięciu do dziesięciu sekund tracą przytomność.

Siedziała chwilę i myślała, musiała przetrwać te informacje.

– Ale te sekundy muszą być piekłem. Wszystko się zamyka. Krew nie może odpłynąć z głowy.

– Tak – odrzekł – może i tak. Ale nigdy się tego nie dowiemy, prawda?

– Czy taki człowiek sinieje na twarzy? Język mu wystaje z ust?

– Pewnie różnie bywa.

– Nie chce pan odpowiedzieć – orzekła. – Próbuje mnie pan oszczędzić. To nic. Jeśli będę chciała go zobaczyć, nikt mnie nie powstrzyma. A jeśli chcę, żeby trzymał się pan z daleka, to będzie pan trzymał się z daleka.

– Oczywiście, ale proszę to jeszcze przemyśleć. Ten widok może panią prześladować przez długi czas, na zawsze popsuje pani sobie piękny obraz Nicolaiia. Proszę się zastanowić, zanim poświęci pani wszystkie najlepsze wspomnienia. Gdzie jest pani matka? Jest pani dziś sama?

– Mama wyszła – wyjaśniła, chociaż wyraźnie nie podobał jej się ten temat. – Ale wróci za godzinę. Napije się pan kawy? Proszę mi powiedzieć, jeśli ma pan na coś ochotę, a zaraz to przyniosę.

Ponownie odmówił. Przez cały czas uważnie ją obserwował. Miała na sobie koszulę w kwiaty i rybaczki w paski, a jej białe włosy i duże oczy czyniły ją ozdobą pokoju. Przez całe życie pławiła się w spojrzeniach innych i podziwiała siebie w każdym lustrze. Cały czas przybierała jakąś pozę, co niezbyt mu się podobało, ten styl życia spotykany u wielu młodych dziewcząt.

– Ma pani teraz dużo rzeczy na głowie. – Walczył z lekką antypatią, którą niezmiennie odczuwał podczas wszystkich spotkań z Carmen.

– Tak – przyznała – bardzo dużo. Ale chciałbym znaleźć nowego męża. Jeśli ktoś mnie zechce.

Mówiąc to, przekrzywiła lekko głowę. To oświadczenie trochę go zaskoczyło. Czy naprawdę o tym myślała, zaraz po samobójstwie Nicolaia? O kolejnym mężu?

– Chyba nie musi pani się tym martwić – powiedział z uśmiechem.

Odwzajemniła uśmiech.

– Tak, właśnie to chciałam usłyszeć – powiedziała, po czym oboje wybuchnęli śmiechem, krótkim, wyzwającym śmiechem, pomimo całego mroku.

– Czy korzystacie z tego samego biura pogrzebowego?

– Tak, mamy dziś spotkanie, przyjdą o siódmej. Powiedzieliśmy im wszystko tak, jak jest, to tata z nimi rozmawiał, przyjęli to ze spokojem, profesjonalnie. W kościele nie będziemy ukrywać prawdy, że to było samobójstwo. Jestem pewna, że Nicolai tego by chciał. Nie lubił zamiatać spraw pod dywan. Może tego pan nie wie, ale bardzo go kochałam.

– Wierzę – zapewnił Sejer. – Czy coś pani zauważyła? – zapytał. – W dniach poprzedzających jego śmierć? Może ostatniej nocy, kiedy wychodził z domu?

– Zauważałam coś, odkąd Tommy umarł. Potem on już nie był sobą. Na Majorce był bardzo przygnębiony, obojętny na wszystko. Chodził ponury, palił jednego papierosa za drugim i pił whisky, prawie nie miałam z nim kontaktu. Więc bardzo się martwiłam. Ale nie jestem szczególnie zaskoczona. Nicolai zawsze był zamknięty. Czasami martwiłam się, co może wymyślić.

– Czy wie pani, gdzie był przed śmiercią?

– Nie, nie mam pojęcia. Pewnie po prostu jeździł w kółko bez sensu i celu. Może był na plaży. Poszłam spać o północy. Zasnęłam od razu. Kiedy rano zdałam sobie sprawę, że nie spał w swoim łóżku, bardzo się zdenerwowałam. Ale zachowywałam się jak zwykle, nie chciałam dopuścić myśli, że stało się najgorsze. Dobrze, że to tata go znalazł, przynajmniej uniknęłam największego szoku.

Dłubała w łuszczącym się różowym lakierze do paznokci.

– Nie – odrzekł Sejer – nie pojechał na plażę. Był u mnie. Około północy znalazłem go na schodach.

– Co takiego? – Zmrużyła oczy.

– Miał do przekazania ważną wiadomość, ale była to krótka wizyta.

– Wiadomość... – powtórzyła zdezorientowana. – Jaką wiadomość?

Złożyła ręce na kolanach. Miała na palcach kilka srebrnych pierścionków, które błysnęły w świetle lampy stojącej obok krzesła.

– Nie mogę powiedzieć. Ale traktuję to poważnie.

– Ale o czym rozmawialiście?

- Martwił się procesem. A potem rozmawialiśmy trochę o pani i pani ostatnich zeznaniach.

Naburmuszona wydeła dolną wargę.

- Tak, Nicolai był wściekły, kiedy powiedziałam prawdę. Ale najlepiej jest przecież mówić prawdę, czyż nie?

- Tak, ma pani rację. Więc jak poradzi sobie pani bez Nicolaia?

- Jakoś muszę. Tata pomaga mi, jak tylko może.

- A co z pani epilepsją? Czy jest pod kontrolą?

- Tak - odparła. - No ale nadal ją mam. Teraz właśnie miałam poważny napad, więc wiem, że do następnego mam trochę spokoju. Ale generalnie jest w porządku. Jeśli tylko pamiętam o zażywaniu lekarstwa. Tata o to dba, bo ja mam problemy z pamięcią. A mama opiekuje się grobem Tommy'ego. Nie chce, żebym musiała tam chodzić. Posadziła bluszcz, ładnie rośnie.

- Wiem, byłem tam. Pani obrońcą będzie Friis? - dodał. - Będzie pani pod dobrą opieką. Proszę być z nim szczerą, a on pani pomoże, jak tylko się da.

- Mówi, że powinnam zostać uniewinniona - powiedziała - za wszystkie te straszne rzeczy, które się wydarzyły. Byłam niepoczytalna. Po ataku epilepsji miałam natarczywe myśli, że muszę ukryć, co się stało. Rozmawiał już z moim lekarzem rodzinnym. I nie martwię się o tę sprawę, dam sobie radę. Proszę pozdrowić kolegę. Jest miły, ale okropnie drażny.

Obiecał, że to przekaże. Polecił jej uważać na siebie. Wstał z sofy i podszedł do drzwi. Ruszyła za nim i złapała go za ramię, ścisnęła z całych sił.

- Powiem panu coś, o czym może pan nie wiedzieć.

- Tak?

Wyszedł na korytarz, położył dłoń na klamce.

– Ponad sześćdziesiąt procent płodów z zespołem Downa nigdy się nie rodzi. Robi się aborcje. Ludzie ich po prostu nie chcą.

Zatrzymał się i spojrzał jej w oczy. W pewnym sensie był tym zbulwersowany, sześcioro dzieci na dziesięcioro, pomyślał, czy to może być prawda? A co osoby z zespołem Downa sądzą o tych statystykach? Że w ogóle nie powinno ich tu być, że wielu uważało ich za niechcianych, za wielki ciężar?

– Dlaczego mi to pani mówi? – zapytał i otworzył drzwi.

– Chciałam tylko, żeby pan to wiedział. I chyba mam prawo do współczucia, bo nikt nie jest w stanie zrozumieć, jak ciężko jest z takim dzieckiem.

Wyszedł na schody i położył dłoń na jej ramieniu.

– Tak – rzekł uprzejmie – ja pani bardzo współczuję. Nikt w tym życiu nie dostaje tego, na co zasługuje. Proszę dbać o siebie. I bez względu na to, co pani myśli, życzę pani wszystkiego dobrego.

Pożegnał się i poszedł do samochodu. Widział ją stojącą na schodach, kiedy odjeżdżał.

*

Dziewiętnasty października, deszcz.

W dniu, w którym Nicolai został pochowany przy kościele Møller, niebo było ciemne i groźne, aż w końcu zerwał się wiatr i przygnał gwałtowną ulewę. Ludzie, korony drzew i krzaki, proporce, flagi i żagle szarpani byli gwałtowną wichurą, a deszcz lał się strumieniami. Skromne piętnaście osób – sąsiedzi i przyjaciele, koledzy z Zita Quick i wujkowie z Barcelony odprowadzili go do grobu, obok Tommy’ego, pod drzewami. Ulewa złapała ich, gdy tylko

pojawił się na otwartej przestrzeni przed kościołem i mieli wejść na brukowaną ścieżkę, by dotrzeć do ziejącego pustką grobu. Ksiądz był niewzruszony, chociaż wiatr gwałtownie szarpał jego sutannę, odsłaniając chude nogi i zniszczone, niemodne buty. Mimo to podążał w kierunku miejsca ostatecznego spoczynku Nicolaia, z głową pochyloną w pokorze i oddaniu. A Carmen szukała schronienia za szerokimi plecami ojca i śpiewała najlepiej, jak potrafiła, żałobną pieśń.

„Trwaj przy mnie, mrok szybko zapada”.

– Jezus Chrystus wskrzesi cię z martwych w dzień sądu ostatecznego – zagrzmał ksiądz i sypnął trzy łopaty suchego piasku na wieko białej trumny. Tego dnia też nie urządzili stypy, Carmen po prostu chciała mieć to już za sobą, jak zwykle, pragnęła szybko się z tym uporać. Ceremonia miała zakończyć się przy grobie, tak podano w nekrologu. Ale jej usta drżały, lgnęła do ojca jak dziecko. Po części była to tęsknota, a po części panika. Bo życie wymknęło jej się spod kontroli.

– To musi być wiadomość z góry – zauważył Skarre, kiedy ceremonia wreszcie dobiegła końca i pospieszyli do volvo, by schronić się przed deszczem. – Najbardziej sucha i gorąca jesień, jaką pamiętamy. Ale tu nagle oberwanie chmury.

– Co sądzisz o księdzu? – zapytał Sejer. – Dał radę?

Skarre zatrzasnął drzwi samochodu i otarł wodę z twarzy.

– Ksiądz spisał się świetnie – powiedział. – Stał niewzruszenie. Nicolaiowi by się spodobał, żadnych wymówek i wyjaśnień, tylko szczerą prawdą, tak powinno być. Nawet ten ulewny deszcz nie wytrącił księdza z równowagi. Szczerze mówiąc, taka burza idealnie

pasuje do tego dnia. A ty? – zapytał z ciekawości. – Czujesz się winny?

– Bardzo – odrzekł Sejer. – Powinienem być zauważyć sygnały ostrzegawcze, powinienem był przewidzieć i zapobiec tej sytuacji.

Włożył do ust pastylkę Fisherman's Friend i przeczesał mokre włosy palcami.

– Powiedział wprost, że nie będzie obecny na rozprawie. A potem wyszedł i pojechał się zabić. Nigdy sobie tego nie wybaczę.

Sejer spojrzał ponuro na młodszego kolegę, wyraźnie szukając zrozumienia.

– Musisz zaakceptować, że jedyne, co mogłeś zrobić, to odsunąć w czasie nieuchronne. – powiedział wreszcie. – I tak by to zrobił, tylko później. Uważam, że samobójstwo leży w genach, jest jak tykająca bomba. Prędzej czy później wybuchnie i nikt nie może nic zrobić, aby temu zapobiec.

– Tak, dziękuję. Zawsze jednak będę czuł się winny. Po prostu muszę z tym żyć.

– Wszyscy żyją w poczuciu winy – podsumował Skarre. – Witaj w klubie.

– I znów możesz poskarżyć się Bogu – zauważył Sejer.

– Daj spokój, Bóg nie może wziąć odpowiedzialności za wszystko. My, ludzie, również jesteśmy odpowiedzialni.

– Ale czy nie jest wszechmocny? Czy nie ma planu na wszystko?

– Ma. Ale mógłbym długo mówić o jego nieodgadnionych planach. Jestem przyzwyczajony do większości argumentów i nie odbierzesz mi wiary. Wszystkiego dowiem się później – zapewnił.

– Na sądzie ostatecznym?

- Tak, właśnie wtedy. I wiesz, istnieje wyjaśnienie tego wszystkiego, nad czym się zastanawiamy, na wszystkie pytania jest odpowiedź. Czy Bóg istnieje, czy nie? Jest życie po śmierci czy nie? Na to wszystko można odpowiedzieć „tak” lub „nie”. Pomyśl o tym.

- Miło, że próbujesz uprościć to dla mnie – powiedział Sejer – ale nie do końca wierzę w takie wyjaśnienie. Nie, nigdy nie uzyskamy tych odpowiedzi. Kiedy nabrałeś pewności co do istnienia Boga?

- O nie – zaproponował Skarre – nigdy nie byłem tego pewien.

- No przecież mówisz, że wierzysz.

- Wierzę, ale nie twierdzę, że wiem, to coś innego. Do tego wystarczył nawet malutki cud. Całkowita pewność to nigdy nie był mój cel. To wątpliwości czynią nas ludźmi.

W nocy spał niespokojnie.

Rzucił się z boku na bok, odsuwał kołdrę, bo było za gorąco, naciągał ją z powrotem, bo było za zimno, bez przerwy zmieniał pozycje i nie mógł znaleźć spokoju. Dopiero wczesnym rankiem pograżył się w niespokojnym świecie snów. Śniło mu się, że biegnie, pędzi po suchym piasku. Za nim myśliwy z bronią, widział odzianą na czarno postać z kapturem i łopoczącymi połami płaszcza. Wyraźnie słyszał swój oddech, a od czasu do czasu coś w rodzaju niskiego i niepokojącego pomruku, to go szalenie przerażało. Kiedy się odwrócił, żeby zobaczyć, kto to był, odkrył, że biała twarz pod kapturem nie jest wcale twarzą, ale tarczą zegara, a wskazówki wskazują dokładnie godzinę dwunastą. W panice kopniakiem wzbil duże ilości luźnego piasku. Zamiast jednak ruszyć dalej, zakopał się tylko głębiej. Już za sekundę kula miała przebić plecy z lewej strony i rozedrzeć mu serce na kawałki, krew miała trysnąć i miała nadejść

śmierć. Pomimo jednak tej paniki, gdzieś w jego świadomości rozbrzmiewał szept, że to może być tylko sen i nie ma się czym martwić. Mimo to nie przestawał dziko kopać, by uciec. Jaka to dziwna sprawa z tymi wszystkimi warstwami, pomyślał później, od stanu jawy aż do najgłębszego snu. Kiedy w końcu się obudził, był oszołomiony i zmęczony. Szybko spojrzął na Franka przy łożku.

– Co za okropny sen – jęknął. Frank otworzył oczy, wstał i podszedł do wezgłowia, pozwolił poklepać się po łbie i wrócił do siebie. Sejer ponownie zasnął, tylko po to, by znowu śnić ten sam koszmar. Uczucie bezradnego brodzenia w sypkim piasku bez możliwości oswobodzenia się z niego, wywołało w nim panikę. Później, kiedy obudził się po raz drugi, zadał sobie pytanie, co może oznaczać ten sen. Było w tym coś mrocznego, wskazówka wskazywała dwunastą, to oznaczało, że czas się skończył, czy tak? Czy jego podświadomość próbowała przekazać, że nie ma nadziei? Że zawroty głowy to zapowiedź jego zguby? Odsunął kołdrę i postawił stopy na podłodze. Chyba jestem chory, pomyślał z rozpaczą, poczuł nagłe ukłucie w piersi. I tak, to było po lewej stronie. Może to też coś z sercem? Zastanawiał się, czy jego życie legnie teraz w gruzach. Podszedł do okna i wyjrzał na zaciemnione miasto. I uderzyła go nagła melancholijna myśl. Nigdy, przenigdy nie otrzyma odpowiedzi na wielkie życiowe pytania i nigdy, przenigdy Bóg mu się nie objawi.

– Ale my nie wymagamy wiele, prawda? – powiedział do Franka. – Zadowolilibym się gorejącym krzakiem.

*

Gdy Hannah Chen w końcu zadzwoniła z wynikami rezonansu, był akurat w drodze do samochodu po załatwieniu spraw w centrum miasta. Zapamiętał ten dzień tak wyraźnie, jakby to był ostatni, listopad z nagimi gałęziami i delikatną mżawką. Zapach mokrych liści, ciężkie, ołowiane chmury, ptaki lecące na południe pięknymi wielkimi stadami po szarym niebie. Zauważył opla z brudnymi szybami, pędzącego po chodniku staruszka na elektrycznym wózku inwalidzkim, nastolatka na rowerze. Widział te rzeczy krystalicznie czysto. Powoli podbiegł do samochodu i otworzył go, wpuścił Franka na tylne siedzenie i sam wsiadł na swoje miejsce. Przycisnął telefon do ucha, czując, jak jego serce przyspiesza.

– Mamy diagnozę – powiedziała Hannah Chen – proszę mnie spokojnie posłuchać.

Słowa zawisły w powietrzu. Jej głos był dziwnie neutralny, Sejer natychmiast się zdenerwował. Nie to miała powiedzieć, pomyślał. Miała oznajmić, że wszystko jest w porządku, miała przekazać, że u mnie wszystko w porządku i że życie toczy się dalej. Miała powiedzieć, że to drobiazg, jedno wielkie nieporozumienie, a teraz już po wszystkim i mogę odetchnąć z ulgą.

– Co znaleźliście? – zapytał przez zaciśnięte gardło. On, inspektor, który zwykle mówił czystym basem, teraz piszczał jak dziewczyna.

– Schwannoma – odpowiedziała Hannah Chen. Jakby taka diagnoza była najbardziej naturalną rzeczą na świecie.

– Aha. Niestety jestem kiepski z łaciny.

– Wiem, oczywiście – odparła skruszona. – Siedzę tu z listem ze szpitala i czytam. Nerwiak nerwu słuchowego jest łagodnym guzem nerwu w uchu wewnętrznym. Uciska na nerw odpowiedzialny za

równowagę, dlatego ma pan zawroty głowy. Czy ma pan jakiś ubytek słuchu?

Musiał trochę pomyśleć. Tak, może i tak, troszkę, w prawym uchu, ale w rozpaczy nad wszystkim innym nie zwrócił na to uwagi.

– Guz – powtórzył niepewnie. – To nie brzmi dobrze.

– Ale to zmiana łagodna – przypomniała szybko Hannah Chen. – Należy się jednak spodziewać pewnego dyskomfortu. Nie jest tak łatwo go usunąć, siedzi w takim wąskim miejscu, w uchu wewnętrznym. Innymi słowy, trudno się do niego dostać.

– Czy trzeba go operować? – zapytał przerażony.

Elektryczny wózek inwalidzki niemal musnął jego samochód. Staruszek nawet na niego nie spojrział, najwyraźniej miał jakąś ważną sprawę.

– Tak, potrzebuje pan operacji. Jeśli oczywiście nie chce pan spędzić reszty życia, zataczając się jak pijany. Usunięcie guza jest jak najbardziej możliwe. Jest kilka metod wykonywania takiego zabiegu. Ale jest to dość skomplikowana operacja, więc prawdopodobnie trochę potrwa. Chirurg musi zdecydować, która metoda będzie najlepsza w pańskim przypadku, wrócę do pana z tą informacją.

– Ale dostanę znieczulenie? – pisnął Sejer.

– Drogi panie – roześmiała się Hannah Chen. – Nie żyjemy w średniowieczu. Operacja odbędzie się w pełnej narkozie, spokojnie.

Zastanowił się chwilę. Próbował się uspokoić. Spojrział na Franka w lusterku – leżał nieruchomo z głową na łapach i nie zdawał sobie sprawy z powagi sytuacji. Ty mała mendo, pomyślał czule, ściskając mocno telefon komórkowy w spoconej dłoni.

- Możemy użyć czegoś, co nazywa się nożem gamma - powiedziała Hannah Chen. - W takim przypadku dostajemy się przez przewód słuchowy i tamtędy usuwamy guza. To najczystsza metoda, że tak to ujmę. Mamy też inną, bardziej krwawą. Wchodzimy skalpelem pod kość skroniową i tamtędy usuwamy guza. Obie są skuteczne, okaże się, która jest najwłaściwsza dla pana. Często zostawiamy takie guzy w spokoju. Ale kiedy daje tak intensywne objawy jak u pana, trzeba się nim zająć, prawda? Prawdopodobnie będzie musiał pan poczekać w kolejce. Nasz system jest dobry, ale niestety powolny.

Urwała. Słyszał jej oddech, szybki i lekki. Sejera minął elektryczny wózek inwalidzki, staruszek jechał stałym kursem, z nieruchomym spojrzeniem. Przednia szyba była pokryta małymi, okrągłymi kroplami wody.

- Ale jest pan zajęтым człowiekiem, inspektorze, więc spróbuję przesunąć pana na początek kolejki - powiedziała uprzejmie.

Zalała go fala ulgi, czuł się lekko i ciepło.

Dostanę jeszcze kilka lat, pomyślał, co za szczęście!

- Czyli dostanę wiadomość ze szpitala?

- Tak, otrzyma pan list. Poza tym jest pan zdrowy jak ryba. Wszystkie wyniki były w porządku. Bez wątpienia czeka pana jeszcze długie życie na tym łoż padole.

Rozłączyła się. Przez chwilę siedział w samochodzie. Jakby nie mógł ruszyć. Ale oddech miał powolny i spokojny, a tętno spadło do poziomu spoczynkowego. Łagodny, tak powiedziała, łagodny, co za szczęście! Będzie żył, to niemal zbyt piękne, aby mogło być prawdziwe. Potem zaczęły go dręczyć myśli, dokładnie wtedy, gdy

staruszek zniknął za zakrętem. Uzdrawienie było w zasięgu ręki. Ale najpierw musieli wbić mu nóż w ucho.

*

W grudniu w końcu nadeszły mrozy i wszystko pokrywał szron.

Cienki lód na stawach, trawa kłująca jak igły, wszystkie gałęzie drzew posrebrzane. Tommy, Carmen i Nicolai pojawiali się i znikali w jego świadomości, pierwsza rozprawa miała się odbyć dwudziestego czwartego czerwca. Ale pojawiły się też inne sprawy, które zajęły jego myśli. Ludzie się nie zmienili, skakali sobie do oczu o byle co. Strzelali do siebie i dźgali się nożami, a potem mówili: nie, to nie było zamierzone, nie chciałem, żeby tak się stało, on mnie sprowokował i wbiegł prosto na nóż, on albo ja. Mówiąc wprost, działałem w obronie koniecznej. I nie przyznaję się do winy, to był wypadek, mogę tylko przeprosić. Kilka tysięcy osób rocznie zniknęło, zgłaszano zaginięcie, większość wracała, cała i zdrowa, często z niejasnymi wyjaśnieniami, gdzie byli i co robili. Tysiące skazanych nie stawiało się do odbycia kary, nie wracali po przepustkach lub po prostu uciekali przed wyrokiem skazującym. Jednych znajdowano w basenie portowym, innych pod drzewem, w lesie. Zawsze, pomyślał, pod drzewem. Nie zawsze podejrzewano przestępstwo. Bo wielu dokonało takiego samego wyboru jak Nicolai. Szybki i gwałtowny skok poza życie.

Dwudziestego stycznia przeszedł operację.

Stało się to o ósmej rano w Rikshospitalet, a Sejer bał się bardziej, niż przewidywał. Serce biło mu szybko w drodze na salę

operacyjną, dziesięć miligramów diazepamu nie zadziałało, był dużym mężczyzną. Oślepiło go jasne białe światło na suficie, zamknął więc oczy. Zmówił krótką modlitwę, czego się trochę wstydział, nie wierzył przecież w nic, w żadną siłę wyższą. Ale teraz nie miał na pocieszenie nic innego niż ta żałosna prośba do niebios. Pomóż mi przez to przejść, żeby się tylko udało. I biedne, prawie haniebne „amen” na koniec.

Zdecydowali się użyć noża gamma, to dobrze. Kiedy się obudził, poczuł ogromną ulgę, że to już koniec. Tak długo chodził z zawrotami głowy, a teraz czuł się lekko i błogo. Wkrótce pozwolono mu wrócić do domu. Ingrid go odebrała, pojechali do niej na obiad. Czekał tam również Frank, szczęśliwy, że go widzi.

– Następnym razem, gdy coś ci będzie, nie czekaj tak długo – powiedziała córka surowo – jesteś absolutnie niemożliwy.

Podniósł rękę i przyrzekł na swój honor.

*

Naczelnik wydziału Holthemann przeszedł na emeryturę w wieku pięćdziesięciu ośmiu lat. Nigdy nie był szczególnie wylewny, nie radził sobie też z ludźmi, ale był niezwykle zdolnym administratorem, wielką gwiazdą w całym Søndre. Jakimś cudem pilnował budżetu, wśród jego podwładnych zawsze panował porządek, od samej góry aż do posterunkowych. Sejer wiedział, że pomimo ponurego usposobienia szefa będzie mu brakować stukotu laski po długich, ruchliwych korytarzach, surowego, dudniącego basu i zmrużonych oczu. Funkcjonariusze zrzucili się na ciasto. Jakby odejście było powodem do świętowania, Holthemann nie do

końca wiedział, co myśleć o tej akcji, teraz, gdy było już po wszystkim, ale przynajmniej opuścił swoje stanowisko z wysokim poziomem cukru we krwi. Skarre mimo młodego wieku chciał kontynuować dzieło Holthemanna, Sejera również poproszono o ubieganie się o to stanowisko. On jednak nie czuł potrzeby administrowania, wolał pracować w terenie. Zawsze chciał być blisko tragedii, w pierwszym rzędzie życiowego dramatu. Wszystkie te spotkania z ludźmi. Jeśli chodzi o Carmen Zitę, wciąż rozmyślał nad biegiem wydarzeń. Ale nie doszedł do żadnych nowych wniosków, młoda matka była silna, dumna i uparta i powtarzała swoją historię o atakach i dezorientacji.

Brodził jak w głębokim śniegu. Wszystko było tak trudne. Myślał o tym, co kiedyś powiedział Nicolai, że Carmen jest ze stali. Zobaczymy, pomyślał, każdy ma punkt krytyczny, łącznie z tobą, mała Carmen, a ja nie zamierzam się poddać. I tak czas płynął z tygodnia na tydzień, z okazjonalnymi silnymi mrozami i kilkoma obfitymi opadami śniegu. Czarne lodowate noce, olśniewająco białe dni, skrzące się słońce i zasypane śnieżne, bezlitosna zima. Już w marcu słońce zaczęło roztopiać śnieg, który powoli, ale nieubłaganie zniknął. Nadchodziła wiosna. Pomyślał o złożonej sobie obietnicy, że sprawiedliwość zatriumfuje, że w jakiś sposób prawda wyjdzie na jaw. Ale w głębi duszy nie wiedział, jak to zrobić. Dręczyło go to przez długi czas, dzień i noc. Nie było ani cienia dowodu, tylko zmyślona opowieść o tym, co się stało. Do pięknych świat należy, pomyślał z goryczą, a Carmen wszystkich nabierze na swoje łyżki. Żadnych dowodów, a ona chciała wygrać. Bo taka była jej natura. Była jak wąż i miała mu się wyślizgnąć.

Zobaczył ją znów dopiero wczesnym latem. Właśnie przechodził przez plac, nie mógł uwierzyć własnym oczom, stał oszołomiony, z uśmiechem na twarzy. Carmen Cesilie Zita stanowiła niezwykle widok, gdy spacerowała między straganami. Kiedy się opanował, podszedł się przywitać. Nie mógł ukryć zdziwienia, stała tam po prostu, rozkwitając, w kolorowej sukience. Wokół niej tańczył jack russell terrier.

– Muszę przyznać, że jestem zaskoczony – powiedział. – Widzę, że u pani wiele się działo od naszego ostatniego spotkania. Wygląda pani kwitnąco, który to miesiąc?

Roześmiała się i pogłaskała po okrągłym, niewielkim brzuchu, jednak bardzo widocznym przy jej drobnej sylwetce.

– Piąty – odparła – połowa drogi za mną. – Śmiała się, była wyraźnie szczęśliwa. – Zrobiłam amniopunkcję i płód jest zupełnie zdrowy, co za szczęście, prawda?

Sejer z ciężkim sercem pomyślał o Tommym, który nie spełnił oczekiwań swojej mamy. Rozumiał jednak jej troskę, potrzebowała takiego zabezpieczenia, należało się jej. Wielu zrobiłoby to samo, pomyślał, Elise i ja zrobilibyśmy to samo, bo właśnie takie jest życie ludzkie, każdy szuka doskonałości, każdy chce mieć dziecko bez wad i skaz.

– Kim jest szczęśliwy tata? – zapytał. Chciał być miły, bo przecież nic nie było pewne w nadchodzącym procesie. Będzie musiał zaakceptować decyzję sądu, a wszelkie wątpliwości trzeba interpretować na korzyść Carmen. Chociaż gryzło go, że czasami system zawodził.

– Nazywa się Anders. Nie jest zbyt podekscytowany, mówi, że wszystko poszło za szybko, ale stało się. Nieważne, że Anders ma

wątpliwości, bo ja nie mam. Jeśli umiem coś zrobić, to na pewno urodzić dziecko.

Tak, rzeczywiście, pomyślał Sejer. Potem pomyślał o Andersie, niezbyt szczęśliwym z powodu dziecka. To chyba nie był najlepszy start dla nowego życia, ale ona nie przejmowała się tym, naprawdę była wyjątkowa, tak pełna odwagi i optymizmu, nigdy nie spotkał podobnej osoby. A może dziecko dorośnie i będzie miało się dobrze, z pewnością to niewykluczone. Co ja tam wiem, pomyślał z powagą, nie mam wyłączości na prawdę o ludziach i życiu.

- Pani rozprawa ma się odbyć dwudziestego czwartego - powiedział uprzejmie. - Obawia się pani decyzji sądu?

- Nie, czego mam się bać! - zaczęła jak skowronek. - Mogę tylko powiedzieć, jak było, szczerść zawsze się opłaca. Prawda może boleć, ale zawsze jest lepsza od kłamstwa. Friis jest optymistą, mówi, że wszystko będzie dobrze, a ja mu ufam. Brzuch tylko mi pomoże. Sędziowie na pewno okażą współczucie przyszłej matce, nie mogą mnie zamknąć, muszę zająć się dzieckiem. Bo nikt inny nie potrafi tego tak jak ja. Bo to jest po prostu mój obowiązek. I nie uciekam od odpowiedzialności. Nic mi nie będzie - podsumowała stanowczo i pewnie. Poprawiła jaskrawą sukienkę, bardzo z siebie zadowolona. Do Sejera podszedł pies i zaczął obwąchiwać jego buty. Był to krótkowłose czarno-brązowo-biały terier, żywy, mały, dobrze zbudowany.

Tak, pomyślał Sejer z przygnębieniem, sąd uwierzy w twoją historię, jestem tego absolutnie pewien. Carmen Zita z Granfoss nie była oczywiście zatwardziałą przestępczynią, tylko dziewczynką, która nigdy nie dorosła. W głębi duszy irytowało go, że prawda prawdopodobnie nigdy nie wyjdzie na jaw. Poglaskał psa po głowie.

- W takim razie do zobaczenia w sądzie - powiedział z uśmiechem. - I cokolwiek pani myśli, Carmen, życzę pani wszystkiego dobrego.

- Dziękuję, to miłe. Jesteśmy chyba na przyjacielskiej stopie? Proszę przekazać Jacobowi Skarremu, że wybaczyłam mu drażnienie.

- Przekażę - obiecał. - I oczywiście, że jesteśmy na przyjacielskiej stopie. Proszę uważać na siebie i dziecko i do zobaczenia w sądzie.

Przeszła przez duży plac i zniknęła między straganami. Z przyszłym dzieckiem w brzuchu, z tańczącym psem u stóp i wysoko uniesioną głową.

*

Dwudziesty drugi czerwca, wieczór.

Drogi pamiętniku!

Mój najdroższy, najbliższy powierniku. Dzisiaj dużo leży mi na sercu, teraz albo nigdy. Po prostu muszę coś wyznać i nie będę mogła już tego cofnąć. Nie jestem gorsza od innych, rozumiesz? Ale zostałam wystawiona na niemożliwą próbę i chociaż jestem silna, to było dla mnie zbyt wiele. Rzecz w tym, że Tommy wciągnął mnie w błoto, nagle stałam się tą dziewczyną z Granfoss, która ma debila za syna. Wiesz, jak ludzie gadają, to jest nie do zniesienia, nie była to przyszłość, jaką planowałam. To, co teraz piszę, jest bardzo ważne, bo taka jest prawda, a moja rozprawa już za dwa dni. Muszę pogodzić się z faktem, że mogę zostać skazana. Gdybym tylko mogła wykręcić się jakąś grzywną! Wtedy tata mógłby zapłacić i wszystko skończyłoby się raz na zawsze. Mogę zostać skazana zarówno za zaniedbanie, jak i zbezczeszczenie zwłok, tylko dlatego, że

przeniosłam go z wanny do jeziora. Tak mówił inspektor, brzmi to tak źle. I przez całą tę długą zimę śniłam o śmierci. Gniewie mnie jak robak i nie daje spać. Siada na dywanie przy łóżku i szczęka zębami.

Dziesiąty sierpnia w Granfoss.

Napełniłam wannę prawie do pełna i dodałam mydła, piana sięgała prawie krawędzi. Uwielbiał pianę, tak bardzo chciałam być dla niego dobra, musisz mi uwierzyć na słowo. Ale tego konkretnego dnia Tommy był strasznie zdenerwowany, może był w złym stanie przez ten upał, nie wiem, ale jęczał i narzekał, niczego nie chciał, nie chciał być przytulany ani myty. Uderzył mnie swoimi małymi piąstkami, chciał, żebym odeszła. Nie mogę znieść odrzucenia, kiedy staram się być miła, chyba nikt tego nie lubi, mogę tylko przeprosić i robię to z całą mocą. Dlatego wpadłam w absolutny szal, musisz mi wybaczyć, drogi pamiętniku, jestem jaka jestem. I te dzieci z zespołem Downa, tak uparte i trudne, jeśli czegoś nie chcą, nie sposób ich przekonać. Chciałam go zmusić, ale nie dał się, był silniejszy ode mnie, a ja nie mogę znieść spotkania z kimś silniejszym, wtedy popadam w kompletną desperację. To było jak walenie głową w ścianę. Klęczałam na podłodze przy wannie, podtrzymując go lewą ręką i myjąc prawą. Tak, dbałam o niego, bo takiego go dostałam, ale myślałam o nim jak najgorzej, o tym dziecku z wadami i brakami. Siedziałam tam, na podłodze, z gąbką, to było tak zupełnie niezasłużone, co zrobiłam źle? Nie popełniłam żadnego grzechu, którym zasłużyłabym na taką karę. Mówi się, że wszyscy ludzie są warci tyle samo. Ale to wcale nie jest prawda, idioci zajmują tyle czasu i miejsca, że obciążają wszystkich dookoła. Kto z tych, którzy mają dzieci z zespołem Downa, może powiedzieć z ręką na sercu, że nie marzył o czymś innym? Kiedy powiedzieli mi

na oddziale położniczym, jak się sprawy mają, chciało mi się krzyczeć. Ale przez wzgląd na tatę wzięłam się w garść, Nicolai oczywiście też był w szoku, chociaż nie do końca się do tego przyznawał. Ale przyjął to znacznie lepiej niż ja, to mu trzeba przyznać, taka była jego ostrożna natura, graniczyła z tchórzostwem. Jego rozpacz nigdy nie wyszła na powierzchnię, po prostu się ze wszystkim godził, to nie jest zdrowe. Więc zabraliśmy powolnego, bezwładnego dzieciaka do domu, zabraliśmy go do domu z ciężkim sercem, nie mieliśmy wyboru, tak się nam trafiło. Nie mogliśmy go oddać i powiedzieć, że zmieniliśmy zdanie. Och, gdybyśmy tylko mogli! To miała być radość, a zamieniła się w smutek i wściekłość, rozpacz i gorycz. Potem przyjaciele i krewni przybyli tłumnie, aby zobaczyć mojego syna, i bardzo się wstydziałam, bo widzieli, jak jest, widzieli w jego oczach, że coś jest nie tak, że jest odmieńcem. Nie było gratulacji i zachwyty, a ja w ogóle nie mogłam sobie z tym poradzić, chciałam tylko ukryć twarz w zakłopotaniu, tak bardzo się wstydziałam. A potem nie wiedzieli, co powiedzieć, i wszystko stało się takie trudne. Zacisnęłam pięści i zęby. Moje policzki płonęły z upokorzenia. Właśnie o takich rzeczach myślałam, siedząc przy wannie, z wiercącym się, namydlonym dzieciakiem w dłoniach.

Ale przecież nie jestem zła! Tylko że zawsze byłam impulsywna, a teraz mi się całkowicie przelało, ogarnęły mnie złość i frustracja. Więc złapałam go za kostki i wciągnęłam pod wodę. Szybko i niezgrabnie, zupełnie bez zastanowienia, to stało się tak nagle. A teraz wyjaśnię coś bardzo ważnego. Nie myślałam wtedy, że go zabiję. Musiałam tylko wyrzucić z siebie rozpacz, przerwać ten hałas, który działał mi na nerwy. Nie ma na świecie nic gorszego niż krzyki dziecka, wariuję od tego, jakby głowa miała mi eksplodować.

Dlatego go zanurzyłam. A on w ciągu zaledwie kilku sekund wpadł w kompletną histerię. Machał rękami, połknął dużo wody, słyszałam, jak próbuje nabrać powietrza. Potem puściłam jego stopy i przytrzymałam go na dnie, trzymałam go tam, aż zaczęły się konwulsje. Wreszcie uznałam, że może to wystarczy, powoli dochodziłam do siebie. A potem oczywiście chciałam to cofnąć, ale było już za późno, zbyt szybko przestał się opierać i po mniej więcej minucie stał się bezwładny, bez życia. A i tak to trwało zaskakująco długo. Od adrenaliny zaschło mi w ustach, serce waliło. Ale zacisnęłam zęby, nie było łatwo. Nie, bez względu na to, co pomyśleliby ludzie, gdyby mnie wtedy zobaczyli, nie odebrałam życia Tommy'emu z lekkim sercem. Nie chcę, żeby wisiało nade mną, że zabiłam go z premedytacją. To nie było morderstwo z zimną krwią, nigdy wcześniej moja krew nie była tak gorąca jak w ten sierpniowy dzień. Po chwili leżał zupełnie nieruchomo na dnie wanny, z oczami, które straciły całe życie, tęczęwka była jak matowe mleczne szkło. Ledwo go poznałam, nie był już Tommym, którego urodziłam, tylko zimnym, białym, gładkim i prawie obcym, małym odpadem. Na ustach miał pianę i rzygi, a do mnie zaczęło docierać, co zrobiłam. Ale nie planowałam niczego takiego, nie jestem zła z natury, jednak chciałam czegoś innego niż Tommy, nie chciałam całego tego wstydu. Całego tego trudu. Potem musiałam znaleźć wyjście, musiałam podać logiczny ciąg zdarzeń i zdałam sobie sprawę, że mam wielki problem. Siedziałam tam z martwym dzieciakiem i potrzebowałam wyjaśnienia. Stąd ta pierwsza wersja, że chwiejnym krokiem sam zszedł do jeziora. A potem, z dziecięcym zapalem, wyszedł na pomost. Tak, pomyślałam, to było oczywiste, tak się stało, a ludzie po prostu muszą w to uwierzyć. A ja

zawsze stawiam na swoim, więc jestem do tego przyzwyczajona. Siedziałam przez chwilę i słuchałam, ale z piwnicy, gdzie Nicolai tak jak zawsze pracował przy rowerach, nie dochodził żaden dźwięk. Wzięłam Tommy'ego i zaniiosłam go nad brzeg. Szłam przez trawę z małym ciałkiem w ramionach. Stałam na końcu pomostu i spojrzałam w czarne lustro wody, a oczy mnie piekły. Rozejrzałam się na boki i wrzuciłam go do jeziora. W mgnieniu oka zniknął w czarnej wodzie, zatonał jak ołowiany klocek. Nie jestem bezduszna, żebyś wiedział, drogi pamiętniku, i nie spodziewałam się, że policja może coś odkryć. Dlatego po drodze musiałam dostosować swoją historię. I zrobiłam wszystko, co mogłam, aby przez to przejść. W końcu zostanę mamą, mam pewne obowiązki. Teraz wreszcie będę mieć nowe dziecko. Nieważne, że Anders jest sceptyczny, mnie takie rzeczy nie interesują, to ja decyduję o swoim życiu.

To jest cała i kompletna prawda.

Teraz wreszcie chcę spokoju od złych snów. Odejdź, śmierci, odejdź!

Granfoss, dwudziesty drugi czerwca, Carmen Cesilie Zita, z ręką na sercu.

*

Dwudziesty trzeci czerwca, dzień Świętego Jana, rano.

Zawołał ją i spytał, czy ma może jakieś śmieci.

Położył kilka kartonów w korytarzu, chciał pojechać na plażę i wrzucić je do ogniska. Carmen podniosła wzrok znad gazety i zobaczyła jego rude loki, sterczały jak sprężyny i błyszczały jak świeżo wypolerowana miedź. Anders nie był ani trochę podobny do

Nicolaia. Był dużo bardziej umięśniony, miał szerokie ramiona i potężne pięści, a jego szczeka świadczyła o sile i wytrzymałości. Mimo to potrafiła owinać go sobie wokół małego palca, jak to miała w zwyczaju, gdy chodziło o chłopaków.

– Co masz w tych pudłach? – zapytała. Złożyła gazetę.

– Stare podręczniki szkolne – odparł pospiesznie. – Znalazłem je w piwnicy. I dużo starych papierów, posprzątałem wszędzie, w szufladach i szafkach. Robiłem porządki, kiedy spałaś. Jak tam, doszłaś już do siebie? Denerwuję się, kiedy masz te ataki. Zapominasz o lekach, widzę to. Teraz jadę na plażę i rzucę to wszystko w ogień. Papierów nie należy wyrzucać do śmieci, lepiej je spalić, zgadzasz się?

– Tak – powiedziała Carmen – zgadzam się z tym. Chcesz, żebym pomogła ci nosić?

Potrząsnął głową.

– Nie, zrobię to sam, nie martw się, zaraz wracam. Nie będziesz dźwigać niczego w tym stanie.

Wstała z krzesła i podeszła do niego, a on pocałował ją delikatnie w policzek, nie mógł się napatrzeć na jej złocistą i niemal jedwabistą skórę. Porwał Carmen Zitę sprzed oczu bandy flirtujących chłopaków i był z tego dumny. Gdziekolwiek się pojawiała, przyciągała uwagę swoim pięknym wyglądem. Młoda czy nie, Carmen była zdobyczą, nigdy na całym świecie nie znalazłby kogoś tak pięknego, kogoś tak uroczego jak ten anioł o śnieżnobiałych włosach.

– Dziś wieczorem zjemy na mieście – zasugerował – jest tak gorąco. Nie mogę stać nad kuchenką w ten szalony upał.

Carmen się zgodziła. Ręce i stopy miała spuchnięte, głowa wydawała się ciężka. Czuła, jak migrena przybiera na sile. Anders zaniósł pudła ze starymi książkami i papierami do samochodu i wyjechał przez bramę. Zita postawił ogrodzenie, lśniło świeżo pomalowane w letnim słońcu, jak biała sfera ochronna wokół starego domu. Jezioro leżało jednak tam, gdzie wcześniej, ze swoim błyszczącym czarnym lustrem, irytując ją niezmiernie. Ta straszna rzecz, która zakłóciła jej uporządkowaną egzystencję. Kurwa, pomyślała z przygnębieniem, kurwa mać! Potem wzięła się w garść i pogłaskała po brzuchu. Życie toczyło się przecież dalej, była w tak absolutnie dobrym nastroju mimo nadchodzącej rozprawy, w której miała walczyć o życie, tak, zębami i pazurami miała walczyć o własną wolność. Na którą zasłużyła, tak to widziała. Stała na schodach i machała. Pies skakał i tańczył obok niej, szczekając ochoczo w pogodny dzień. Anders, pomyślała i uśmiechnęła się, mój kochany Anders. Teraz jesteśmy tylko we dwoje, a dziecko jest zdrowe.

Potem weszła do domu z nagłym niepokojem. Nie przejrzała zawartości dwóch kartonów, nie sprawdziła, co tak naprawdę zamierzał wyrzucić. A teraz było już za późno, samochód zniknął na zakręcie, papiery jechały do ogniska, wszystko miało się spalić. Postanowiła zrobić kolejny wpis. Wróciła do salonu. Wysunęła dolną szufladę biurka i zaczęła gorączkowo ją przeszukiwać, jej oddech przyspieszał i poczuła gorąco w policzkach. Tu zawsze leżał pamiętnik.

Dwudziesty trzeci czerwca, wieczór, przesilenie letnie.

Dłuższe wieczory i noce, krótsze dni. Piękne lekko niebieskie światło wieczorem, półprzezroczysta ciemność nocą, z fruującymi świetlikami tańczącymi w świetle. Od czasu do czasu energiczna mucha lub osa wściekle wali w szyby w poszukiwaniu czegoś słodkiego.

Tego wieczoru, przed rozprawą, Sejer pojechał do kościoła Møller i powoli spacerował po wąskich brukowanych ścieżkach cmentarza. Jego kroki odbijały się głuchym echem w ciszy. Wszystko było piękne i kielkowało zielenią, wszystko było obietnicą obfitości i urodzaju lata, całego dobra, jakie ludzie mieli w zanadrzu. Lekki i łatwy czas. Po krótkim spacerze znalazł groby Tommy'ego i Nicolaia, stał przez chwilę i rozważał wszystko, co się wydarzyło. Przygłębił go widok tych dwóch nagrobków. Więc w pewnym sensie znów byli razem, te dwie zagubione dusze, w końcu mogły odpocząć obok siebie. A oba groby porośnięte były bujnym bluszczem. Byłoby miło, pomyślał Sejer, gdybym znalazł niezbity dowód. Bo czy to naprawdę możliwe, że zabiła go świadomie? Potrzebowałby jakiegoś tropu. Czegoś, czym mógłby uderzyć w stół podczas procesu, czegoś wartego więcej niż przeczucie. Doświadczenie mówiło mu, że ma dobrze rozwiniętą intuicję i często pozwalał jej się prowadzić, w sytuacjach, gdy ewidentnie brakowało dowodów. Co więcej, była pomocą, cennym uzupełnieniem wiedzy. Ale nie mógł iść do prokuratora z przeczuciem. Nieszczęście samo przychodzi, pomyślał, o szczęście trzeba ciężko walczyć. Być może właśnie to zrobiła Carmen Zita. Mimo tragedii zacisnęła zęby i wszystkiemu zaprzeczyła. Cokolwiek się stało, trzymała głowę nad wodą. Myślał o minionym roku, próbował skondensować go w coś zrozumiałego,

czym mógłby się pocieszyć, idąc w swojej głębokiej melancholii wśród wszystkich zmarłych spoczywających koło kościoła Møller. Cóż, nie zawsze człowiek dostaje to, czego chce. Tej sprawy nie wygram. Muszę zaakceptować wyrok sądu, pomyślał i wrócił do samochodu, gdzie Frank drzemał na tylnym siedzeniu, opierając orientálną głowę na grubych łapach. Teraz tylko krótka wycieczka na plażę, a potem do domu. Ruszył i skręcił w drogę, pomyślał o zbliżającym się procesie i przypomniał sobie słowa Nicolaia z jego ostatniej nocy. „Nie wolno wam wierzyć w ani jedno słowo Carmen”.

Sporo ludzi niosło drewno na ognisko Świętego Jana, wyjątkowo wielkie, wyglądało jak ogromna wieża nad samą wodą. Na dole podkład ze starych palet, kartonów, papierów i drewna, ułożonych ładnie. Stelaż łóżka, taboret i krzesło, kartony i stare opakowania, ludzie grzebali tam w poszukiwaniu skarbów. Błoga mieszanina śmieci i odpadów. Czy widział tam komodę z giętymi nogami? Wkrótce ognisko rozgorzeje gwałtownie, zapach paliwa rozerwie nozdrza, a iskry polecą w niebo jak jasne spadające gwiazdy w granatową norweską noc, podczas gdy ludzie staną w kręgu wokół ognia z migoczącymi oczami i świecącymi policzkami. Sejer przechadzał się przez chwilę po brzegu, od czasu do czasu rzucał patyk, a Frank natychmiast ruszał z miejsca, by go przynieść. Po pewnym czasie pies się znudził i postanowił zbadać ognisko Świętego Jana. Węszył wokół sterty odpadów i w końcu znalazł trofeum, piękny mały zeszyt z czerwoną okładką. Zaniósł go swojemu panu. Położył u jego stóp, niezmiernie dumny.